

KATE DENTON

Wybrała miłość



Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan * Paryż • Praga • Sofia • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Co? Ożeniłeś się?!

Zana siedziała przy telefonie i kurczowo ścisnęła w rękę słuchawkę. Nie wierzyła własnym uszom. Słowa ojca z trudem docierały do jej świadomości.

- Caroline jest oczywiście młodsza ode mnie... To urocza kobieta. Zobaczysz, że i ty ją pokochasz...

Ta wiadomość do tego stopnia wzburzyła Zanę, że potrzebowała dłuższej chwili, by oprzytomnieć. Tymczasem ojciec wyłączył się i w słuchawce był już tylko sygnał. Odłożyła ją na widełki i ukryła twarz w dłoniach.

- W co też ten staruszek znowu się wplątał? - jęknęła. Wystarczyło spuścić go na chwilę z oczu, by Russell Zachary natychmiast napytał sobie jakiejś biedy. Tak było od lat. Prawdę mówiąc borykała się z nim całe życie: jakby to ona była rodzicem, a on niesfornym dzieckiem. Zastanawiała się, czy zanim pojedzie do studia baletowego, nie powinna wpaść do domu i zobaczyć, co tam się dzieje. Ale doszła do wniosku, że skoro Russell wyjechał, to nie ma po co wstępować.

Wściekanie się nic mi nie da... - pomyślała, podnosząc się z fotela. Ojciec już się na pewno nie zmieni. Mężczyznom koło siedemdziesiątki to się raczej nie zdarza.

Ale żeby się ożenić? Niczym się nie zdradził. Ani słowem nie napomknął o tym, że myśli o powtórny małżeństwie. Co takiego mogło się wydarzyć w ciągu tych paru dni, gdy była poza domem? Otworzyła terminarz z rozkładem swoich zajęć w czerwcu i sprawdziła, co robiła w ciągu ostatniego tygodnia. Zaraz...

zaraz... W czwartek wieczór była z ojcem na koncercie, w piątek wyjechała na konkurs baletowy do Jackson Tego samego dnia wieczorem, a także w sobotę mówiła z nim przez telefon. W żadnej rozmowie nie wspomniał o Caroline. A przedtem? Zaczęła się zastanawiać. Była całkiem pewna, że od kiedy przenieśli się do Natchez, z ust ojca ani razu nie padło imię Caroline czy jakiegokolwiek innej kobiety.

A teraz całkiem niespodzianie oznajmia jej, że się ożenił. Bez żadnego uprzedzenia, bez przygotowania... Jak mógł jej to zrobić? Nie powinien był tak postąpić, choćby przez wzgląd na pamięć matki. I jak mógł się spodziewać, że Zana przyjmie tę wiadomość z zadowoleniem. Przecież nawet rok nie minął od śmierci matki. Szybko się pocieszył... Ciekawe skąd on wytrzasnął tę swoją żonę? Gdy go o to spytała, Russell zbył ją zdawkową uwagą o jakichś swoich spacerach. Zana była jednak głęboko przekonana, że okoliczności, które skłoniły go do zawarcia małżeństwa, musiały być znacznie poważniejszej natury. Nie sposób było uwierzyć, że się przypadkowo spotkali na spacerze.

Już za dziesięć minut zaczynała następną lekcję, nie miała więc dużo czasu, by się uspokoić i wziąć w garść. Z trudem udało jej się skupić uwagę na nowych krokach baletowych, które należało dziś pokazać uczennicom Automatycznie zleciła dziewczynkom ćwiczenia na rozgrzewkę. Przeszły gładko: te dzieci były za małe, by zauważyć roztargnienie nauczycielki.

Zana była średniego wzrostu; przewyższała swoje uczennice co najmniej o dwie głowy. Miała gibką kibić tancerki i cerę tak jasną, że niemal przezroczystą. Tego dnia nosiła różowy obcisły trykot, krótką spódniczkę z żorżety i różowe rajstopy, które podkreślały piękną linię jej nóg. Przypominała figurynkę, obracającą się na wieczku pudełka z pozytywką.

Nikt nie domyśliłby się, że rajstopy przykrywają brzydką bliznę, przecinającą jej lewe kolano, a malutki znak na skroni jest jedynym widocznym śladem po

urazach, jakich doznała w wypadku samochodowym. Ale te zewnętrzne blizny były bez znaczenia. O wiele gorsze pozostały na jej zranionej duszy.

By ulżyć nogom, Zana oparła się jedną ręką o fotel i z tej pozycji obserwowała ćwiczenia swoich uczennic przy drażku. Kolano bolało ją dziś bardziej niż zwykle. To pewnie stres w połączeniu ze złą pogodą - powiedziała sobie. W drodze do studia widziała gromadzące się na niebie złowróźbne chmury, ale ponieważ tutaj nie było okna, nie miała możliwości sprawdzenia, co się teraz dzieje na dworze. Ból w kolanie mówił jej, że z pewnością leje. Będzie szczęśliwa, gdy lekcja się skończy, a ona wróci do domu, wysoko ułoży nogę i poleży tak, póki ból nie przejdzie.

Kulejąc podeszła do magnetofonu i puściła taśmę. Rozległy się dźwięki „Walca kwiatów” Czajkowskiego. Wsłuchując się ze wzruszeniem w melodię, na chwilę przymknęła powieki. Gdy je podniosła, oczy miała pełne łez. Czajkowski był ulubionym kompozytorem jej matki. Zawsze z ogromną przyjemnością patrzyła, jak Zana tańczy do jego muzyki.

Skarciła się w duszy za okazanie słabości. To, że nie mogła już tańczyć na scenie Czajkowskiego, nie było dla niej zbyt bolesną stratą. O wiele dotkliwszą była ta, którą najwidoczniej jej ojciec już przebolewał: śmierć matki. Nie po raz pierwszy i na pewno nie ostatni poczuła bolesny przypływ niechęci do ojca. Bardzo go kochała, ale Russell Zachary był czasem niezwykle irytujący...

Znów skupiła uwagę na ośmiu tańczących dziewczynkach. To były jej najmłodsze uczennice: nie miały jeszcze sześciu lat. Stały szeregiem, odwrócone tyłem do lustra. W różowych trykotach, rajstopach i baletkach wyglądały jak miniaturowe kopie Zany. Tyle że jedwabiste włosy Zany sięgały jej do pasa i były kruczoczarne, zaś warkoczyki dziewczynek miały jaśniejsze i bardziej stonowane barwy: jasnoblond, kasztanowe i rudawe.

Lekcja miała się już ku końcowi, gdy przez szybę, dzielącą studio od poczekalni, Zana dostrzegła nieznanego mężczyznę, niecierpliwie chodzącego tam i z powrotem, jak to czynią ojcowie spacerujący pod drzwiami oddziału położniczego w oczekiwaniu na wiadomość o urodzeniu dziecka. Kim był ten pan? Zanie wydał się obcy, choć sądziła, że zna rodziców swoich uczennic. Wyglądał na okropnie rozwścieczonego.

Może córeczka, będąca jego dumą i radością, nie otrzymała znaczącej roli podczas ostatniego występu zespołu? - pomyślała Zana. Tatuś miał pewnie zamiar czynić jej z tego powodu wymówki. Uczenie dzieci było wdzięcznym zajęciem, ale miało i swoje ujemne strony. Po bulwersującej wiadomości od własnego taty, na pewno niepotrzebne jej było starcie z cudzym ojcem.

Kimkolwiek był ten pan, widać było, że wzbudził zainteresowanie czekających na swoje dzieci pań. Matka małej Mindy przerwała nawet robotę na drutach I bezwstydnie mu się przyglądała, a matka Sary przysłoniła usta ręką i szeptała coś do ucha matce Lizy. Natchez nie było wielką metropolią. Większość rodziców znała się, a nawet przyjaźniła ze sobą. Nikt jednak nie znał nowo przybyłego mężczyzny.

Zana, mimo iż cały czas czuła na sobie spojrzenie nieznanego, postanowiła kontynuować zajęcia jak gdyby nigdy nic.

- Proszę się ustawić w pozycji pierwszej - zleciła dziewczynkom. Ramiona dzieci uniosły się, tworząc nad głowami owal, a ich małe stopki ustawiły się w kształcie szeroko rozwartej litery „V”. Zana starała się usilnie skoncentrować na lekcji i nie zwracać uwagi na obcego.

Nakazując uczennicom przyjęcie drugiej pozycji, machinalnie spojrzała w szybę i spotkała jego wzrok. Zauważyła, że nerwowo uderza paznokciem o szkło zegarka, jakby dając jej znać, że powinna się pośpieszyć. O nie! - pomyślała. „Pan Niecierpliwy” będzie musiał poczekać. Ona tu pracuje i nie ma najmniejszego

zamiaru skracać lekcji tylko dlatego, że jakiś apodyktyczny facet sądzi, że powinna to zrobić.

Pięć minut, jakie pozostało do końca zajęć, ciągnęło się w nieskończoność. Potem matki żegnały się z Zaną. Ponaglając swoje córeczki do wyjścia, cały czas spozierały na nieznanego i pewnie snuły przeróżne domysły.

Zana spodziewała się, że gdy tylko skończy się lekcja, obcy wtargnie do studia. Ale nic takiego się nie stało. Nieznajomy pozostał w poczekalni, podpierając plecami ścianę i czekał całe piętnaście minut, póki się wszyscy nie rozeszli.

Dopiero gdy ostatnia matka z córką opuściły studio, podszedł do Zany i, groźnie marszcząc brwi, zapytał niskim głosem, takim tonem, jakby chciał ją zastraszyć:

- Gdzie oni są?!

Mimo szatańskiej miny, gość Zany nie przypominał Lucyfera: miał płowe włosy o piaskowym odcieniu i żywe zielone oczy, w głębi których migotały świetliste ogniki.

- Oni? - powtórzyła speszona.

- Proszę nie udawać, panno Zachary! Chcę wiedzieć dokąd pani ojciec ją zabrał?

- Ja? - Przez chwilę nie rozumiała, o co mu chodzi, ale zaraz domyśliła się, że „ona” to na pewno nowa żona Russella Zachary'ego, i widocznie ktoś bardzo ważny dla mężczyzny, który stał przed nią.

Uspokoiła się. Wprawdzie nieznanomy nadal był naburmuszony, ale teraz wiedziała już, dlaczego.

- Jak pan widzi, panie...?

- Westbrook, Brian Westbrook.

- ...jak pan widzi... - ruchem ręki wskazała na pusty pokój - tutaj ich nie ma. - Poczowała, że musi usiąść i podeszła do biurka, drugi fotel wskazując Brianowi.

- Pani jest zapewne po ich stronie - powiedział z goryczą w głosie.

Spojrzała na niego zbyt zdziwiona, by zdobyć się na natychmiastową odpowiedź. Poczowała, że znowu rośnie w niej niechęć i to zarówno do ojca, jak i do tego gbura.

Zana była zawsze dumna z tego, że potrafi panować nad swoimi emocjami. Jednak w tej chwili miała wielką ochotę rzucić w nieproszonego gościa jakimś ciężkim przedmiotem albo wykopać go za drzwi, co sprawiłoby jej taką samą przyjemność.

- Domyślam się - ciągnął dalej Brian, biorąc jej milczenie za przyznanie się do winy - że pani jest z nimi w zмовie. Więc chyba pani wie, gdzie oni są. - Mówiąc to nerwowo stukał palcem o blat jej biurka.

- Nie jestem z nimi w zмовie! - wrzasnęła, tracąc resztki samokontroli. Zerwała się na nogi i pochylając nad biurkiem spojrzała mu prosto w twarz. Miała już dość tego bezczelnego intruza

Równocześnie intensywnie myślała o tym, kim jest Brian Westbrook. Może nowa żona taty jest jego siostrą? A może jego była kochanką? Nie, to bez sensu... Owszem, Russell Zachary potrafił być czarującym, ale żadna młoda kobieta przy zdrowych zmysłach nie wybrałaby jej ojca, mogąc mieć tego wspaniałego mężczyznę, stojącego naprzeciw niej. Nawet fakt, że ów wspaniały mężczyzna odznaczał się zupełnym brakiem manier, był tu bez znaczenia.

- Przypuszczam, że są w Nowym Orleanie, a więc niech pan tam pędzi i spróbuje ich znaleźć. Mnie proszę do tego nie mieszać!

- Chcę wiedzieć, gdzie się tam zatrzymali - nalegał.

- Tego mi ojciec nie powiedział - westchnęła. Odeszła ją ochota do dalszej walki. Czuła tylko ogromne zmęczenie.

- I pewnie nie zdradziłyby mi pani ich adresu, nawet gdyby go pani знаła.

Jakby czytał w jej myślach. Choć jej żal do ojca nie zmalął, skłamałaby, nawet gdyby wiedziała, gdzie się nowożeńcy znajdują. Brian był tak wściekły, że nie wiadomo, czy nie rzuciłby się na Russella, a Zana nie miała wątpliwości, kto wyszedłby zwycięsko z tej próby. Teraz wskazywał na nią palcem w oskarżającym geście i groził:

- Niech się pani nie spodziewa, że pozwolę, aby to wam obojgu uszło płazem!!!

Przecież mówię prawdę! - Jej głos zabrzmiał ostro. Była tak samo wściekła jak on. I rzeczywiście nie kłamała. Russell nie powiedział jej, gdzie się zatrzyma. Miała jednak powody, aby przypuszczać, że zamieszkała wraz z żoną u swojej siostry, Cil. - Czy nie pomyślał pan, że, być może, mnie ta sprawa tak samo martwi jak pana? Nie dość, że dopiero kilka godzin temu dowiedziałam się o ożenku ojca, to muszę jeszcze znosić pańskie przykre zachowanie. Jakim prawem ośmiela się pan mnie napastować?

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby ją w tej chwili po raz pierwszy zobaczył. Pod jego intensywnym spojrzeniem Zana uświadomiła sobie z przykrością, że nie zdążyła się przebrać, i ma na sobie jedynie trykot i rajstopy. Poczowała się obnażona, chociaż nosiła ten strój tak często, że powinna już była uważać to za rzecz normalną.

Brian potrząsał przecząco głową, jakby chciał odrzucić od siebie wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z Caroline i ojcem Zany.

- Widzę, że daleko z panią nie zajadę... - Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął swoją wizytówkę: - Proszę do mnie zadzwonić, gdy się pani czegoś dowie! - Rzucił kartę na jej biurko i opuścił pokój.

- To się nazywa tupet! - mruknęła Zana, osuwając się na fotel. Przez chwilę siedziała bez ruchu czekając, aż uspokoi się jej puls, a potem chwyciła wizytówkę Briana i porwała ją na strzępy. - Oto, co myślę o pańskim grubiańskim zachowaniu! - zawołała za nim, wrzucając porwane kawałki wizytówki do kosza na śmieci. - Prędej mi kaktus wyrośnie na dłoni, nim zadzwonię do tego obrzydliwca! - dodała, już tylko do siebie.

Pojechała do domu swoją ulubioną trasą. Nie była to najkrótsza droga, ale prowadziła obok rezydencji Zacharych. Pałac, wzniesiony jeszcze przed wojną

secesyjną, stał dumnie na wzgórzu, u stóp którego płynęła Missisipi. Deszcz minął bez śladu i na niebie zaśniło południowe słońce, dodając swoim blaskiem jeszcze większego przepychu białym tynkom, którymi świeżo pokryto rezydencję.

Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy Zana i jej ojciec przybyli do Natchez, rezydencja Zacharych przypominała starzejącą się, zaniedbaną wdowę. Dopiero od paru tygodni coś się zaczęło zmieniać. Wdowie zaaplikowano kurację odmładzającą. Przyczepa stojąca na podwórzu zamieniła się w kwatere główną budowniczych, prowadzących rekonstrukcję budynku.

Naprawiony parkan skutecznie odgradzał ciekawskich, uniemożliwiając im myszkowanie w pobliżu budowy. Przez pomalowane na biało kute żelazne sztachety Zana widziała robotników na rusztowaniach. Nowi właściciele pałacu to chyba bardzo bogaci ludzie - pomyślała. Musieli niezłą sumkę wpakować w odbudowę tej zniszczonej i zmurszałej budowli, by ją przywrócić do dawnej świetności.

Zdjęła stopę z hamulca i nacisnęła gaz. Nie pora teraz na rozmyślenia o rezydencji. Miała poważniejsze sprawy na głowie. Poza tym nadjeżdżał jakiś samochód, a ona za nic nie chciała, żeby ktoś zauważył, iż przygląda się domowi, który kiedyś należał do jej rodziny. Czułaby się zawstydzona, gdyby ją przyłapano na tym, że gapi się na pałac, jak małe dziecko na witrynę z cukierkami.

A jednak była zbyt zaintrygowana rekonstrukcją pałacu, aby wracać do domu inną drogą. Widok rezydencji podnosił ją na duchu i równocześnie budził w niej żal do ojca. Nie miała wątpliwości, że gdyby ojciec przed laty inaczej pokierował swoimi sprawami, ten dom należałby kiedyś do niej.

Teraz jej domem była schludna i dobrze utrzymana willa z trzema sypialniami, usytuowana na przedmieściu Natchez. Zana zdążyła się już do niej przyzwyczać. Niemniej wystarczyło raz tylko rzucić okiem na nową

siedzibę Zacharych, by zobaczyć, jak daleko jej było do pełnej przepychu dawnej rezydencji lub choćby do standardu, do jakiego Zachary'owie przywykli, żyjąc za granicą.

Przez całe lata rodzinie Zacharych dobrze się powodziło. Russell był skrzypkami i występował z wieloma europejskimi orkiestrami. Vivi, matka Zany, grała z dużym powodzeniem na harfie. Jednak najbardziej utalentowana była sama Zana. Miała osiemnaście lat, gdy została solistką Królewskiego Baletu i od tej pory tańczyła we wszystkich największych baletach: w „Giselle”, „Jeziorze Łabędzim”, „Romeo i Julii”... Popularność Zany i jej rodziców sprawiała, że byli rozrywani towarzysko, nieustannie zapraszani i fetowani. Chętnie korzystali z okazywanej im gościnności i tak przywykli do tego stylu życia, że uważali go za normalny.

Tragiczny wypadek samochodowy radykalnie odmienił ich sytuację. Kariera baletowa Zany została nagle i brutalnie przerwana i tylko dwoje członków rodziny Zacharych powróciło do Natchez. Zana starała się nie myśleć o przeżytej tragedii i unikać bolesnych wspomnień, ale nie zawsze jej się to udawało. Dziś męczyło ją na dodatek poczucie zdrady ze strony ojca.

Jak mógł zapomnieć o Vivi i tak szybko powtórnie się ożenić? I do tego poślubił kobietę, której prawie nie znał. Powiedział jej przez telefon, że jego nowa żona jest młoda, nawet młodsza od Vivi, a przecież już matka była o piętnaście lat młodsza od ojca. Czyżby Russell, znany z tego, że podejmuje pochopne decyzje, zakochał się w kimś niewiele starszym od własnej córki?

Zana nie była bojaźliwa z natury i wiedziała, że nie ma sensu za bardzo się tym wszystkim przejmować, a jednak odczuwała niepokój. Doszła do wniosku, że trzeba koniecznie dowiedzieć się coś więcej o ożenku ojca i postanowiła zadzwonić do ciotki Cil, by ją wy badać. Ciotka uchodziła za najlepiej poinformowaną osobę w rodzinie. Była istną kopalnią wiadomości na temat rodu Zacharych.

Usiłując połączyć się z ciotką, Zana jedną ręką zonglowała słuchawką telefoniczną, a drugą zalewała wrzątkiem ziółka na herbatę. Przez ostatnie dziesięć minut, ilekroć nakręcała numer ciotki, telefon był stale zajęty. Nie było w tym nic dziwnego. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że ciotka większą część dnia spędza ze słuchawką przy uchu. Uzyskanie połączenia z jej numerem graniczyło z cudem.

W holu zegar z kukułką wykukał pierwszą godzinę. Jest jeszcze wcześniej - pomyślała. Ma dość czasu, żeby skoczyć samochodem do Nowego Orleanu. Chyba zrezygnuje z ułożenia wysoko nogi z bolącym kolaniem. Weźmie dwie aspiryny i w drogę... to znacznie mądrzej-sze niż godzinami wykręcać numer ciotki i coraz bardziej się denerwować.

Do Nowego Orleanu było ponad trzysta kilometrów, ale uznała, że mimo wszystko warto pojechać i spotkać się z ojcem, zanim go dopadnie Brian Westbrook. Na samą myśl o tym strasznym facecie i jego brutalnym wtargnięciu do jej studia, Zanę przejmowała zgroza. Zmusiła się jednak, żeby przestać o nim myśleć i skupiła się na przygotowaniach do podróży. Ponieważ ciotka Cil zachowała maniery typowe dla dam z Południa i nie znosiła kobiet w spodniach, Zana postanowiła się przebrać. Zamiast dżinsów włożyła spódnicę w kolorze khaki z pęknięciem z boku, a tenisówki zamieniła na espadryle. Uzupełniła strój klipsami w kształcie kół; świetnie pasowały do jej czerwonej bawełnianej bluzki.

Nie była głodna, ale doszła do wniosku, że trzeba coś przekąsić w drodze. Szybko więc zrobiła sobie kanapkę z zimnym kurczakiem, sałata i pomidorem i wzięła butelkę wody mineralnej. Najważniejsze, żeby jak najszybciej znaleźć się w Nowym Orleanie.

Prowadziła samochód prawie automatycznie. Stale myślała o najnowszym wyskoku ojca i nie zwracała uwagi na błyskawicznie mijane okolice. Zwykle jadąc tędy delectowała się pięknem deltowej krainy: wysoki-

mi sosnami, rosnącymi po obu stronach szosy, i majestatycznym ogromem jeziora Pontchartrain Ale nie dzisiaj.

Od wypadku, jakiemu jej rodzina uległa koło Monte Carlo, minęło zaledwie jedenaście miesięcy i jeszcze teraz Zana czuła się niepewnie przy kierownicy, szczególnie na autostradzie. Do katastrofy doszło, gdy samochód prowadziła matka. W pewnym momencie na szosę wbiegła koza. Vivi, chcąc ją wyminąć, gwałtownie skręciła w bok i straciła panowanie nad wozem. Samochód przekoziołkował i przewrócił się na dach. Matka zginęła na miejscu. Russellowi udało się ująć cało: miał tylko zadrapania, ale Zana, która w czasie jazdy drzemała na tylnym siedzeniu, znalazła się w potrzasku, z nogą uwięzioną przez skręcone blachy rozbitego samochodu. Całe tygodnie spędziła w szpitalu, lecząc się z ran i próbując pogodzić się ze stratą matki.

Gdy wyszła ze szpitala, dała się namówić ojcu na wyjazd w jego ojczyste południowe strony. Przejęty rozpaczą Russell stracił chęć do życia; chciał umrzeć jak Vivi. Podobnie jak wielu Amerykanów z Południa uważał, że pożegnać się z życiem może tylko w swoim rodzinnym stanie. I tak Zana znalazła się wraz z ojcem w Missisipi. Skoro lekarze uznali, że jej występy na scenie należą już do bezpowrotnej przeszłości, nie miało sensu pozostawać za granicą. Ojciec potrzebował jej: był chory na serce. Ale śmierć, na którą Russell Zachary czekał, nie przychodziła. Po miesiącach przegnębienia uczucie smutku zaczęło powoli ustępować, a nawet w ostatnich kilku tygodniach Zana stwierdziła, że ojcu powraca dawny temperament i żywotność.

Także Zanie czas pozwolił ukoić żal za matką i straconą karierą. Odzyskiwała równowagę. Wkrótce jednak przyszło jej się zmierzyć z nowym aspektem twardej rzeczywistości: brakiem pieniędzy. Rachunki lekarzy uszczupliły niezbyt zasobne konto bankowe rodziny i niewielką sumę, jaka im przypadła z tytułu ubezpieczenia na życie. Zana zainwestowała wszystkie

posiadane oszczędności w urządzenie studia baletowego. Taniec był jedyną dziedziną, na której naprawdę dobrze się znała: otworzyła więc szkołę tańca. Szkoła nie przynosiła zbyt wielkiego dochodu, ale zapewniała jej i ojcu utrzymanie i dach nad głową. Od chwili wypadku Russell nie wziął już do ręki skrzypiec. Twierdził, że jest za stary i nie ma odwagi wrócić do zawodu muzyka.

Zana nie spodziewała się, że prowadzenie szkoły baletowej może dawać tyle radości. Tymczasem okazało się, że uczenie tańca sprawia jej autentyczną przyjemność. Oczywiście, brak jej było dreszczyku emocji, jaki dają występy na scenie, ale, wprowadzając młodych adeptów sztuki baletowej w cudowny świat tańca, odczuwała ogromną satysfakcję. Unikała jednak kontaktu z ludźmi sceny. Dużo czasu upłynęło, zanim przyjęła bez zastrzeżeń zaproszenie do uczestnictwa w Międzynarodowym Konkursie Baletowym. Zgadza-
jąc się na udział w tej imprezie udowodniła, że już odzyskała równowagę. Jednym z jej nowych, ważnych obowiązków podczas konkursu było wyławianie obiecujących młodych tancerzy.

Konkursy odbywały się co roku, kolejno w jednym z czterech miejsc na świecie: w Moskwie, Helsinkach, Warnie i... choć to może brzmi nieprawdopodobnie - w Jackson, w stanie Missisipi. Mieszkańcy Jackson uważali jednak zaszczyt, jaki przypadł w udziale ich miastu, za coś zupełnie naturalnego i byli zapalonymi zwolennikami konkursu.

Większość Amerykanów nie ma oczywiście zielonego pojęcia, gdzie spotykają się wybitni przedstawiciele sztuki baletowej, ale dla Zany związek rodzinnych stron jej ojca ze światem baletu był czymś niezwykle podniecającym. Marzyła nawet o tym, że kiedyś wystąpi gościnnie w konkursie jako solistka, choć zdaniem lekarzy nie było szans na spełnienie tego marzenia.

A jednak, mimo kiepskich prognoz medycznych, Zana nie utraciła wiary, że jeszcze będzie mogła tańczyć na scenie. Widziała, że stan jej nogi z każdym dniem

się poprawia, bóle słabną i coraz lepiej panuje nad ruchami. Przy deszczowej pogodzie odczuwała wprawdzie pewne dolegliwości, ale były one niewielkie w porównaniu z poprzednimi cierpieniami.

Najtrudniejszym dla niej problemem było wykształcenie w sobie odporności psychicznej. Do tej pory panicznie bała się wszelkich wycieczek w przeszłość. Nie mając pewności, czy jeszcze kiedyś zatańczy na scenie, unikała jak ognia uczestniczenia w jakichkolwiek imprezach baletowych.

I nagle nastąpiło przesilenie. Zana przewyciężyła własną słabość i postanowiła w najbliższy weekend wziąć udział we wszystkich możliwych imprezach baletowych. Zamierzała nawet jeszcze raz wrócić do Jackson w następną sobotę, by uczestniczyć w galowym przedstawieniu i rozdaniu nagród.

Była ogromnie dumna z siebie, że przyjęła wyzwania i odważyła się na ponowne spotkanie ze światem baletu. I właśnie w tym momencie idiotyczne małżeństwo ojca znów naruszyło jej duchową równowagę. Wystarczył jeden telefon od tatuśka, by zwątpiła we własne siły. Nie chciała ojca osądzać, ale miała już tego dość, że zawsze wysuwał swoje sprawy na pierwszy plan i nie brał pod uwagę tego, co czują inni.

Psychiczne rozterki nękały ją przez całą drogę do Nowego Orleanu. Podróż minęła niezwykle szybko i oto znalazła się na wąskich uliczkach francuskiej dzielnicy miasta, kierując się w stronę rezydencji ciotki.

Zaparkowała tuż przed rzędem poczerniałych ze starości, kamiennych pachołków, służących dawniej do przywiązywania wierzchowców. Stąd do domu ciotki Cil było już bardzo blisko. Zana zawsze świetnie się czuła we francuskiej dzielnicy. W dzieciństwie spędziła wiele lat na pensjach dla dziewcząt we Francji i Hiszpanii i może dlatego czuła się w Nowym Orleanie jak w domu. To miasto miało nie tylko architekturę, ale i atmosferę europejską. Nawet lekko europejski akcent Zany był tu bardzo na miejscu.

Ojciec Zany, Russell Zachary, i jego rodzeństwo - William i Lucille - wzrastali w luksusowych warunkach. Dobrobyt zawdzięczali rodzinnemu przedsiębiorstwu, produkującemu samochodowe przyczepy. W rodzinie Zacharych rozumiało się samo przez się, że Russell, jako najstarszy, przejmie pewnego dnia firmę, mimo iż on sam nie wykazywał najmniejszego zainteresowania dla biznesu ani nie miał żadnych zdolności w tym kierunku. Rodzina przeżyła prawdziwy szok, gdy jej ojciec oświadczył pewnego dnia, że ma zamiar poświęcić się karierze muzycznej i wyjeżdża do Europy.

Pałeczkę przejął jego młodszy brat, William, i to on wszedł do rodzinnego interesu, przystępując do spółki z dziadkiem. Mimo to senior rodu nigdy nie wybaczył Russellowi jego ucieczki i za karę pozbawił go spadku, pozostawiając zarówno przedsiębiorstwo, jak i rezydencję stryjowi Williamowi.

Stryj okazał się jednak kiepskim biznesmenem. Gdy zmarł w stanie bezżennym w wieku pięćdziesięciu lat, firma była na krawędzi bankructwa. Aby pokryć długi, nie wystarczyło sprzedanie fabryki, trzeba było także wystawić na licytację rezydencję.

W tej rodzinie jedynie ciotka Cil miała głowę do interesów. Ale że w tamtych czasach pracujące kobiety były źle widziane, ciocia zrobiła to, czego po niej oczekiwano: wyszła dobrze za mąż. Romantyczna Lucille miała przy tym dużo szczęścia; jej związek okazał się małżeństwem z miłości.

Wkrótce po ślubie mąż wywiózł Cil do swego domu w Nowym Orleanie i tam, otoczona luksusem, korzystała ze wszystkich rozkoszy, jakie są udziałem żony bogatego człowieka. Niestety, nie trwało to długo, gdyż ciotka wcześniej owdowiała. Dzięki pieniądze, jakie młoda wdowa odziedziczyła po mężu, nadal była w stanie prowadzić luksusowe życie w swojej nowoorleańskiej rezydencji. Tam właśnie udawała się teraz Zana.

Ledwo zdążyła dotrzeć do drzwi wejściowych i dotknąć kołatki z brązu, wyrzeźbionej w kształcie głowy lwa, gdy usłyszała za sobą męski głos:

- Od razu się domyśliłem, że pani wie, gdzie ich szukać!

Zaskoczona obróciła się i zobaczyła Briana Westbrooka, stojącego na stopniu tuż za nią.

- Pan mnie śledził! - krzyknęła.

- Tak! - przyznał się. - Śledziem panią i wcale nie miałem łatwego zadania. Pani prowadzi samochód w iście diabelskim tempie. Aż dziw, że oboje nie wylądowaliśmy w więzieniu.

Zmieszała się. Nie zdawała sobie sprawy, że przekroczyła dozwoloną prędkość. Zawsze dotąd jeździła uważnie. Nigdy jej się nie zdarzyło wejść w kolizję z prawem, a już szczególną ostrożność zachowywała od czasu wypadku. Dzisiejszy dzień był jednak nietypowy. Szaleńcza jazda stanowiła jeszcze jeden dowód, jak bardzo była zdenerwowana ożenkiem ojca.

Drzwi się gwałtownie otworzyły.

- Zano, kochanie, jaka miła niespodzianka! - Ciotka Cil objęła ją i serdecznie uściskała. - A ten pan to kto?

- Pozwól, ciociu, że ci przedstawię pana Briana Westbrooka. Moja ciocia, Lucille Hebert! - Nazwisko ciotki wymawiała z francuska, co brzmiało jak „Eber”!

- Bardzo mi przyjemnie! - powiedział Brian, choć ton jego głosu sugerował nie tyle przyjemność, co ubawienie. Bo też ciotka Cil wyglądała nieco szokująco. Patrząc na nią, nie wiadomo było, na co najpierw obrócić oczy. Miała na sobie szeroki wschodni kaftan w turkusowe wzory, falujący przy każdym jej ruchu. Pomarańczowego koloru włosy otaczały jej głowę niby chmura cukrowej waty, a w uszach dyndały klipsy wielkości małych parówek. Mocno ułożone policzki i silnie zaznaczone fioletowe cienie pod błękitnymi oczami dopełniały całości obrazu. Cio-cia Cil zawsze, nie tylko dziś, przypominała bajecznie

kolorową wróżkę. Zanie kojarzyła się z matką chrzestną baśniowego kopcieszka.

- Wejdźcie, drogie dzieci, bardzo proszę! Powinnam się była domyślić, że to Brian. . - mówiąc to wzięła jego dłoń w swoje ręce. - Caroline ani trochę nie przesadziła. Rzeczywiście ma tak przystojnego syna, że niech się inni schowają... - Uśmiechnęła się do niego, a potem, trzymając oboje pod łokcie, poprowadziła ich przez hol do salonu.

Ach, więc on jest synem Caroline - ucieszyła się Zana. To wiele wyjaśniało. Zrozumiała, dlaczego tak się wściekał. Przecież i ona była zirytowana, choć nie wyrażała tego w tak agresywny sposób. Westchnęła z ulgą. O jedno zmartwienie mniej! Skoro bowiem Caroline jest matką Briana, to już na pewno wiadomo, że ojciec nie ożenił się z dwudziestolatką.

- Nie do wiary... - mruknął Brian, gdy weszli do salonu. Oszałamiający feerią barw wystrój wnętrza doskonale pasował do stylu pani domu. Brian rozglądał się ciekawie po pokoju, ciotka zaś zapraszała, by usiedli, wskazując na dwuosobową kanapkę, pokrytą adamaszkiem w kolorze kości słoniowej.

Salon przepełniony był staroświeckimi ozdobami i obrazami. Płótna Moneta wisiały obok dzieł Andy Warhola, lampy były w stylu wiktoriańskim, dywan perski, fotele zbyt przepastne i zatrzęsienie poduszek. Na stoliku stała klatka z papugą, a obok ksylofon. Ciotka stale zapowiadała, że się nauczy grać na tym instrumencie. Na sofie koło niej rozsiadł się po królewsku olbrzymi kocur, Sid. Cil znalazła go półżywego na ulicy i odchuchała. Teraz nosił obróżkę, wysadzaną sztucznymi brylantami, co niezbyt licowało z jego nieco parszywym wyglądem.

- Czy podać szampana? - zapytała ciotka i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się pokojówka z tacą, na której stały kieliszki, srebrne wiaderko z lodem i butelka importowanego szampana. Postawiła tacę na stole i zniknęła. Lucille, nie czekała na od-

powieź gości, sięgnęła po butelkę i napełniła musującym napojem wysmukłe kieliszki z waterfordzkiego szkła. Obok wiaderka z lodem Zana zauważyła ów tak niezbędny ciotce telefon. Był to specjalny model: wyobrażał Myszkę Miki.

Zana usiadła na kanapce, ale Brian nadal uparcie stał. Gdy ciotka zaoferowała mu drinka, potrząsnął przecząco głową. Nie przejmując się odmową, postawiła napełniony szampanem kieliszek na marmurowym gzymsie kominka tuż obok jego ramienia. Spojrzała pytająco na Zanę, ale ona nie zareagowała. Chciała, by się wreszcie od niej odczepił i zajął ciotką.

- Gdzie oni są? - zwrócił się do Lucille takim samym niegrzecznym tonem, jakim przedtem indagował Zanę.

- Napij się szampana, mój drogi! - odpowiedziała spokojnie. - Usiądź, zrelaksuj się, potem o nich porozmawiamy. - Wskazała mu ręką kanapkę. Mimo że słowa ciotki brzmiały ugodowo, Brian sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę wybuchnąć. A jednak uległ ciotczynej perswazji. Ku zdziwieniu Zany wziął do ręki kieliszek szampana i podniósł go do ust. Ale nie usiadł.

- Gdzie oni są? - ponowił pytanie, tym razem łagodniej modulując głos.

- Przecież to ich miódowy miesiąc. Nie uważasz, że nowożeńcom należy się trochę czasu dla siebie? Chyba znasz to ludowe powiedzenie: „Gdzie są dwoje, tam trzeciego nie trzeba”. - Mówiąc to ciocia gładziła kota po głowie, a on z rozkoszy mrużył oczy. - Jestem pewna - ciągnęła dalej - że wkrótce, najdalej w przyszłym tygodniu, odezwą się do ciebie.

Brian nie ukrywał rozczarowania.

- Widzę, że wy, rodzina Zacharych, trzymacie ze sobą! - stwierdził z goryczą i odstawił kieliszek. - Nie musi mnie pani wyprowadzać, madame Hebert! Dziękuję za szampana! - I ruszył w stronę drzwi frontowych. Zana była mocno zdziwiona, że wychodząc nie trzasnęła drzwiami.

Wstała z fotela i podeszła do okna. Widziała, jak Brian szybkimi krokami przechodzi przez ulicę, a złość biła z niego jak żar z rozgrzanego asfaltu w upalny dzień. Obserwowała go. Stał, obejrzał się, przez chwilę spoglądał na ich dom, potem potrząsnął głową, wsiadł do swego brązowego jaguara i natychmiast ruszył. Dopiero teraz Zana zdobyła się na odwagę i spojrzawszy ciotce prosto w oczy, powtórzyła za Brianem.

- Gdzie oni są?

- Poczekaj, Zano...

- Nie zbywaj mnie, ciociu. Przecież doskonale wiesz, gdzie oni są. Zawsze poznaję, kiedy mówisz nieprawdę.

- Wcale nie kłamałam - broniła się Lucille. - Powiedziałam tylko, że nowożeńcom należy się trochę czasu dla siebie.

- Ciociu, przecież oni są tutaj. Przyznaj się! - Mówiąc to skierowała się ku schodom i już zdążyła wejść na pierwszy stopień, gdy na górnym podeście pojawił się Russell.

- Czy Brian już sobie poszedł? - spytał z obawą w głosie.

- Tak!

- To dobrze! Caroline nie czuje się jeszcze na siłach, by się z nim spotkać. Nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji z jego strony. - Widząc wyraz ulgi na twarzy ojca, Zana zrozumiała, że nie tylko Caroline bała się spotkania z Brianem.

- Przekaż jej, że może już bezpiecznie zejść na dół - zawołała ciotka Cil z salonu. - Mamy szampana do wypicia, a Zana powinna wrócić do Natchez, zanim się całkiem ściemni.

No tak - pomyślała Zana - już mnie ustawiła: pozwoli mi łaskawie wznieść toast za pomyślność młodej pary, a potem mam się wynieść... Wiedząc, że za chwilę ma się spotkać z nową żoną ojca, wróciła do salonu, ale nie umiałyby powiedzieć, co w tym momencie czuła do macochy. Aby uspokoić nerwy, pociągnęła

duży łyk szampana i omal się nim nie zakrztusiła, bo oto do pokoju wszedł ojciec, czule otaczając ramieniem jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Zana kiedykolwiek widziała.

- Kochanie, chciałbym, żebyś poznała Caroline - z dumą przedstawił jej swoją żonę.

Caroline uwolniła się spod jego opiekuńczego ramienia i podeszła do Zany, całując ją delikatnie w policzek.

- Witaj, moja droga! Miło mi cię poznać. Słyszałam o twoich przejściach z Brianem i tak mi przykro... Sądziłam, że on jest jeszcze w Europie i że dostanie zawiadomienie o naszym ślubie dopiero za tydzień. Napisałam mu, żeby się z tobą skontaktował, bo byliśmy niespokojni, jak sobie radzisz po nagłym wyjeździe Russella, ale nie myślałam, że on to tak szybko uczyni. - Pogładziła Zane po ręce. - Chyba powinnam była zejść na dół i z nim porozmawiać... - Mówiąc to spojrzała na męża.

- Nic dobrego by z tego nie wynikło, kochanie - zapewnił ją Russell.

Przypatrując się Caroline, Zana przestała się dziwić, że ojciec z miejsca się w niej zakochał. Ta kobieta miała niezwykle szlachetną urodę, typowe dla pań z Południa nienaganne maniere i, mimo małego wzrostu, bardzo zgrabną figurę. Zana zwróciła uwagę na jej gładką, kremowobrzozkwiniovą cerę, blond włosy ze złotawym połyskiem i zielone oczy, takie same jak u jej syna. Caroline patrzyła jednak na świat wesoło, a nie ze złością, jak Brian. Od częstego śmiechu potworzyły jej się drobne mimiczne zmarszczki dokoła oczu.

Bez względu na to, jak bardzo piękna była jej macocha, Zana nie mogła wyzbyć się uczucia żalu, że ojciec tak szybko powtórnie się ożenił. Zabołało ją to szczególnie mocno, gdy sobie uświadomiła, jak bardzo Caroline przypomina zewnętrznie jej matkę: była po prostu jasnowłosą wersją drobnej, czarnowłosej Vivi. Zana domyślała się, że ojciec niecierpliwie czeka na jej błogosławieństwo dla swego związku. Ale Vivi zmarła

tak niedawno... i wszystko potoczyło się zbyt szybko, by Zana mogła spokojnie zaakceptować następczynię matki u jego boku. Nie miał prawa oczekiwać tego po niej.

- Wiecie, co myślę? - zwróciła się Caroline do Cii i Zany. - Myślę, że mojemu synowi trzeba zostawić jeszcze trochę czasu, by mógł się pogodzić z moim zameściami. Russell ma rację. Lepiej się z nim nie spotykać, póki się nie oswoi z nową sytuacją. W końcu przecież musi...

Mimo optymistycznego tonu, wyraz zmartwienia na twarzy Caroline przeczył jej zapewnieniom. Zana nie bardzo wierzyła w przemianę Briana. Może zaślepionej matce wydawał się inny, ale ona widziała w nim tylko impulsywnego, źle wychowanego gbura i miała poważne obawy, że taki był zawsze i takim już zostanie.

Caroline jednak nie dawała za wygraną.

- Prawdę mówiąc, to właśnie Brian mnie namawiał, żebym ponownie wyszła za męża - ciągnęła dalej. - Chciał, żebym poślubiła księgowego z jego firmy. - Obdarzyła Russella uśmiechem pełnym miłości i ponownie zwróciła się do pań: - Księgowy Briana to bardzo sympatyczny pan, ale nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym z nim żyć, a już na pewno nie teraz, gdy poznałam Russella.

To wyznanie dało Russellowi asumpt, by ucałować rękę żony, a Zana, obserwując tych dwoje, nie mogła pohamować ogarniającej ją fali smutku. Caroline jakby wyczuła jej nastrój, bo poklepała ją przyjaźnie i uśmiechnęła się przepraszająco.

- Wiem, że to wszystko jest trudne dla ciebie, kochanie. Wybacz nam ten brak powściągliwości.

- Ale tu nie ma nic do wybaczenia, prawda, Zano? - wtrącił ojciec. - Przecież moja córka dobrze wie, że życie nie stoi w miejscu, ale idzie dalej...

Zana chciała mu powiedzieć, że cierpi; chciała mu to wykrzyknąć, ale się powstrzymała. To nie miało żadnego sensu, tylko by jeszcze bardziej wszystkich

przygnębiło. Czyż doświadczenie nie nauczyło jej, że życie jest zbyt krótkie, by je zatruwać wątpliwościami, a szczęście jest jak kruchy kwiat i trzeba je troskliwie pielęgnować? Uśmiechnęła się lekko, co natychmiast wywołało uśmiech radości na twarzy ojca.

Uwierzył, że ją przekonał i w pewnym sensie tak naprawdę było. Jeśli nawet czuła się nieszczęśliwa, to nie zdradzała się z tym i gotowa była nadal, jak dotąd, pobłażać ojcu. Wątpiła jednak, czy Brian też się okaże taki potulny wobec niego i swojej matki. Mimo zapewnień Caroline, że syn już wkrótce przywyknie do myśli o jej małżeństwie, zachowanie Briana bynajmniej o tym nie świadczyło. Nic nie wskazywało na to, że ma zamiar szybko przejść nad tym do porządku dziennego. Przeciwnie, Zana podejrzewała, że będzie robił wszystko, co w jego mocy, żeby utrudnić nowożeńcom życie.

Zana tylko do połowy wypiła szampana, odstawiła kieliszek i zaczęła się żegnać. Ciotka Cii miała rację. Powinna wrócić do domu o przyzwoitej porze. Już był najwyższy czas, by wyruszyć w drogę.

- Zostaniemy tu jeszcze jeden lub dwa dni, a potem zrobimy sobie rejs po Wyspach Karaibskich - poinformowała ją ojciec, całując na pożegnanie w policzek. - Za parę dni zadzwonimy do ciebie z którejś z wysp. Dziękuję ci za wyrozumiałość, kochanie.

Potem wśród uścisków i pocałunków pożegnała się z Caroline i ciotką Cil i wreszcie znalazła się w drodze powrotnej do domu. Gdy tylko została sama, natychmiast wrócił niepokój. Zaczęła się zastanawiać, gdzie nowożeńcy będą mieszkali. Czyżby w tym małym domku, który Zana dzieliła dotąd z Russellem? A jeśli tak, to jakie przypadnie jej miejsce, gdy ta druga kobieta wprowadzi się do ich domu? To były trudne i denerwujące sprawy. Zana wcale nie była pewna, czy potrafi bez uszczerbku na zdrowiu przeżyć jeszcze jedną radykalną zmianę w swoim życiu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zana skręciła w podjazd. Stanąwszy przed domem zobaczyła przednie światła brązowego jaguara, który jechał tuż za nią. Ledwie wysiadła, Brian natychmiast wyszedł ze swego samochodu i podszedł do niej.

- Co to ma znaczyć, dlaczego pan wszędzie za mną jeździ? - spytała.

- Chciałem się tylko upewnić, czy pani szczęśliwie dotarła do domu. Przy pani szalonej jeździe nie miałem pewności, czy pani wróci cała i zdrowa.

- Wzruszająca troska. . Ale zapewniam pana, że umiem sobie świetnie sama radzić.

- Jestem przekonany, że on się już nieraz dał pani we znaki.

- Nie rozumiem, o kim pan mówi?

- O pani lekkomyślnym ojcu. Mam jednak nadzieję, że o moją matkę będzie się lepiej troszczył niż o panią.

- Kto dał panu prawo źle się wyrażać o moim ojcu? Nie mam zamiaru słuchać tego. - Odwróciła się i zamierzała odejść.

- Zadziwia mnie pani opiekuńczy stosunek do tego żigolaka...

Zaną zamurowało. Spojrzała na niego i po prostu wybuchnęła śmiechem. Żigolak? Jej ojciec?

Kto choć raz widział Russella Zachary'ego, zrozumie, co ją tak rozbawiło. Ojciec Zany był niewysokim grubaskiem z pokaźnym, stale powiększającym się brzuszkiem. Na czubku głowy miał okrągłą łysinę, otoczoną obwódka siwych włosów. Stanowczo nie miał wyglądu pozeracza serc niewieścich. Wszystko można było o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że był Don Juanem.

Jeśli już, to duchem przypominał raczej marzycielskiego Don Kichota, walczącego z wiatrakami. Kochał książki i muzykę. Od powrotu do Natchez wstawał skoro świt i słuchał taśm z muzyką klasyczną. Potem odbywał długie spacerunki, wieczorami czytał, a o dziesiątej kładł się do łóżka. Zana usiłowała go namówić, żeby udzielał lekcji gry na skrzypcach, ale się nie zgodził. Żigolak? Co za absurd! Wytarła łzy, wywołane gwałtownym śmiechem.

- Cieszę się, że choć jedno z nas znajduje w obecnej sytuacji powód do radości - uszczypliwie zauważył Brian. - Choć z drugiej strony, kto wie? Może i mnie by uszczęśliwiło, gdyby jakaś bogata wdowa weszła do mojej rodziny. - Mówiąc to spojrział pogardliwie na skromny dom Zany.

- Podlec! - krzyknęła, obrzucając go oburzonym wzrokiem i ruszyła w stronę domu.

Brian poszedł za nią, nie przestając mówić.

- Może i jestem podły, ale radziłbym, żebyście nie zaczynali od razu wydawać pieniędzy mojej mamy. Owszem, jest zamożna, ale to ja sprawuję pieczę nad jej kasą.

Ach, więc tu był pies pogrzebany. Brian najwyraźniej uważał, że jej ojciec ożenił się z Caroline dla pieniędzy. Stali w progu jej domu i Zana zmagala się z kluczami. Dom tonął w ciemności. W końcu udało jej się otworzyć drzwi i zapalić światło.

- Pana podejrzenia dotyczące mojego ojca są śmieszne. Mój ojciec nie ma w sobie ani krzty chytrości. Na pewno nawet mu przez myśl nie przeszło, że może liczyć na jakiś majątek.

- Nie sądzi pani, że powinna już przestać go bronić? - Wyraz twarzy Briana wydawał się jeszcze surowszy niż słowa, które wypowiadał.

- Muszę go bronić, skoro go pan tak niesprawiedliwie osądza. - Przeciagnęła dłonią po swojej rozburzonej fryzurze. - Czuję się bardzo zmęczona. Może by pan zechciał opuścić te progi i wynieść się stąd razem ze swoim współczuciem.

Nie przyjął jej słów do wiadomości.

- Przypuszczam, że widziała się pani z nimi w Nowym Orleanie.

- A jeśli tak, to co? - spytała wyzywająco. Uznała, że nic się nie stanie, jeśli mu to wyzna. I tak się w końcu dowie. Zresztą, kto wie? Może, gdy odpowie na jego pytania, Brian da jej w końcu spokój. - Wiem, że planują rejs po Wyspach Karaibskich. Obiecali, że zadzwonią z jednego z portów, do których mają zawinać.

Zaśmiał się krótko.

- Jestem zdziwiony, że pani ojciec ma dość pieniędzy na podróż poślubną. A może to moja matka finansuje tę imprezę?

Prawdę mówiąc, Zaną też to zastanawiało. Russell miał niewiele pieniędzy. Podejrzewała, że będzie posługiwał się kartą kredytową, nie myśląc o tym, skąd znajdzie środki, by potem pokryć rachunki. Wiedziała, że rejsy są kosztowne i już z góry martwiła się czekającymi ich wydatkami. Łzy nabiegły jej do oczu. Odwróciła się i szybko je wytarła.

Poczuła dłonie Briana na ramionach.

- Łzy? Omal się na to nie nabrałem. Przez chwilę miałem nawet wyrzuty sumienia, że może jestem zbyt surowy dla pani. Ale przypomniałem sobie, że wy, artyści, umiecie na zawołanie wywołać uśmiech na twarzy, a jak trzeba, to zaraz potem produkujecie fontanny łez. Muszę o tym zawsze pamiętać.

Mimo iż używał ostrych słów, na jego twarzy malowało się współczucie. Dłonie Briana wciąż spoczywały na jej ramionach. Zana stanowczo uwolniła się od nich.

- Jeśli pańska pamięć jest równie zła, jak jego stosunek do ludzi, to nie mam się czego obawiać. A teraz proszę już iść! - Nie chciała jego współczucia. Był urzekającym mężczyzną, tak przystojnym, że nie mogło z tego nic dobrego wyniknąć dla żadnej kobiety, a już szczególnie dla niej, tak bardzo nieodpornej na ciosy.

- Jak pani sobie życzy. Czy mogę panią prosić o książkę telefoniczną? Muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym się zatrzymać.

Podawała mu książkę i wyszła.

Zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie pozostawia wiele do życzenia, ale wątpiła, czy tego typu człowiek, co Brian, w ogóle zwraca uwagę na maniery. A zresztą, co tam. . Nie miała wobec tego gburą żadnych zobowiązań.

Zdjęła biżuterię i zegarek, zrzuciła pantofle i nagle sobie uświadomiła, że nie może się przebrać, póki on tu jest. Gdy po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi samochodu, odetchnęła z ulgą. Ach, jak to dobrze, że się w końcu wyniósł. Nawet nie pofatygował się, żeby ją pożegnać. Zdjęła spódnice i bluzkę i włożyła frotowy szlafroczek.

Kilka minut później idąc do kuchni zobaczyła nagle z przerażeniem, że Brian wchodzi przez drzwi wejściowe. W rękę trzymał skórzaną teczkę i torbę podróżną.

- Jeszcze pan tu jest? Myślałam, że pan już pojechał.

Nie odezwał się, ale obrzucił ją wiele mówiącym spojrzeniem. Od razu sobie uzmysłowiła, że jej szlafrok jest przykrótki i nieprzyzwoicie wysoko odstawia nogi.

- Zmieniłem zdanie - oświadczył, wchodząc za nią do kuchni. - Zostaję! - Rozsiadł się na jednym z kuchennych krzeseł, pokrytych słomianą plecionką, oparł się wygodnie o poręcz i założył ręce na kark.

- Nie ma mowy! - krzyknęła ze złością. - Pan musi stąd wyjść i to zaraz - dodała z naciskiem. Jego pobyt w tym domu nie wróżył jej niczego dobrego.

- Widzę, że rodzina Zacharych odznacza się niezwykłą gościnnością - zauważył z sarkazmem. - Ale pani ciotka przynajmniej poczęstowała mnie szampanem i dopiero potem wyprosiła z domu.

- To nieprawda! Sam pan się stamtąd wyniósł.

- Możliwe, ale musi pani przyznać, że obie nie mogłyście się już doczekać, żeby mi się poszedł. Zupełnie jak pani teraz. Aż się dziwię, że nie zatrzasnęła mi

pani drzwi przed nosem. Pochylił się nieco do przodu i oparł łokcie na stole. - A ja mam zamiar pozostać tu tak długo, dopóki nie zjawią się nasi rodzice. Muszę porozmawiać z mamą i zastanowić się, jak ją wydobyć z tych tarapatów.

- No cóż? Mogę pana tylko zapewnić, nawet dać na to słowo, że a nasi rodzice długo się tu jeszcze nie zjawią. A poza tym nie sądzę, by pańska matka uważała, że trzeba ją ratować z opresji. Proszę więc skorzystać z telefonu, znaleźć sobie jakieś lokum i odejść stąd. Naprawdę nie mam ochoty do dalszych kłótni.

- Ale ja już odbyłem z tuzin rozmów telefonicznych, dzwoniłem gdzie się tylko da... okazuje się jednak, że w związku z jakąś imprezą turystyczną w promieniu wielu kilometrów wszystkie hotele są przepełnione. Zjechali tu goście z różnych stron, całymi grupami zwiedzają miasto, i to ma jeszcze potrwać parę dni.

- Mimo to nie może pan u mnie pozostać...

- Tak? To proszę spróbować mnie się pozbyć!

- Utkwił w niej wyzywające spojrzenie zielonych oczu.
- Pół nocy spędziłem w samolocie, wracając z Europy do domu, potem prawie cały dzień włączyłem się za panią. Jestem zmęczony i nie mam zamiaru jeździć po okolicy w poszukiwaniu miejsca do spania. A poza tym moja matka zleciła mi, żebym się panią zaopiekował... nie mogę tego chyba zrobić w lepszy sposób. Jeśli nie ma pani dodatkowej sypialni, to mogę spać na kanapie.

- Powiedzmy, że pan zostanie i... co dalej?

- Nic! Będę czekał na naszych rodziców. Może się tu nie zjawią dzisiejszej nocy, ale w końcu muszą... Chcę tu być, gdy przyjadą. Chcę, żeby Russell Zachary przekonał się, że moja matka nie jest jakąś samotną, łatwą do zdobycia kobietą.

- A więc ma pan zamiar tu zostać i czekać na nich?

- Tak! Dokładnie tak! - powiedział stanowczym głosem.

- Ale zanim oni wrócą, minie wiele dni, być może tygodni.

To pani tak mówi...

Zana była zbyt wyczerpana, by kontynuować sprzeczkę

- Proszę bardzo westchnęła zrezygnowana - niech pan zostanie, ale zapewniam, że będzie pan spędzał czas samotnie, bo nie mam zamiaru dotrzymywać panu towarzystwa. Za dwa dni wyjeżdżam do Jackson.

Wzruszył ramionami.

- Może pojedę tam z panią...

- Nie sądzę. Postąpiłby pan mądrzej, gdyby do chwili otrzymania wiadomości od rodziców wrócił tam, skąd pan przybył.

- Przyjechałem z Memphis, ale nie zamierzam tam teraz wracać. Stamtąd nie mógłbym spełniać swoich obowiązków wobec pani. Nie! Na razie mój dom będzie tutaj. - Podeszedł do kredensu kuchennego i zaczął przeglądać półki.

- A co pomyślą o tym sąsiedzi? To nie jest w porządku...

- Jak to? Czy nie jest w porządku, żeby starszy brat, pod nieobecność mamy i taty, opiekował się swoją młodszą siostrą? Sąsiedzi na pewno to zaakceptują - dodał z nieco głupawym uśmiechem.

- Pan nie jest moim bratem!

- Ale skoro nasi rodzice się pobrali, myślę, że mogę mówić do pani „siostrzyczko”? Byłbym zapomniał... tu jest kawa. - Wyciągnął z torby puszkę. - Może byłaby pani taka miła i zaparzyła dzbanek kawy, a ja tymczasem przyniosę resztę moich rzeczy z samochodu. - Wcisnął jej puszkę do ręki i wyszedł.

Patrzyła za nim przez kuchenne okno. Widziała, jak postawił na progu walizkę, a potem wrócił do samochodu po drugą. Chyba rzeczywiście nie był jeszcze w domu po powrocie z Europy. A może on po prostu mieszka w samochodzie? Wprowadza się do mnie z całym kramem - pomyślała z przerażeniem. Czy w ogóle uda mi się go kiedykolwiek pozbyć?

Podeszła do drzwi i zapaliła światło przed domem. Nie mogła pozwolić, żeby się potknął w ciemności i zrobił sobie jakąś krzywdę. Wystarczy, by skrzył nogę w kostce, a wtedy musiałyby na długo tu pozostać.

Brian w dalszym ciągu rozładowywał zawartość samochodu. Zana nie mogła pojąć, po co on wnosi tak dużo rzeczy do jej mieszkania. Przecież na pewno za dzień czy dwa znudzi mu się ta zabawa... Ze słów Caroline wynikało, że Brian jest przemysłowcem i prowadzi jakieś przedsiębiorstwo. Siedząc u niej chyba nie może się zajmować firmą?

Okazało się, że była w błędzie.

- Czy pani zawsze tak długo śpi? - Rozsunął szeroko zasłony, wpuszczając do pokoju słońce. Zana usiadła. Kołdra zsunęła jej się do pasa, odsłaniając górną część niebieskiej, przezroczystej nocnej koszuli. Szybko włożyła na ramiona lizeskę.

- Co pan tu robi?

- Dbam o to, żeby pani nie przespała całego życia.

- Postawił filiżankę kawy na stoliku nocnym przy jej łóżku.

Trochę nieprzytomnie przecierała oczy. Przez pół nocy nie mogła zasnąć, rozmyślając o wszystkim, co się wydarzyło.

- Sądziłem, że pani chodzi do pracy...

- Owszem, chodzę, ale muszę wyjść z domu dopiero o dziesiątej trzydzięci.

- Wygodna pora! - Podał jej filiżankę. - Ale i tak najwyższy czas, żeby pani wstała, „śpiąca królowo"! Jest już po dziesiątej.

- O Boże! - Spojrzała na budzik. Była dziesiąta piętnaście. Już miała wyskoczyć z łóżka, gdy sobie uświadomiła, że nieproszony gość bacznie ją obserwuje. - Przepraszam, może pan jednak wyjdzie - mruknęła.

- Skoro pani tak ładnie prosi... - uśmiechnął się kąpiąco i skierował ku drzwiom, ale po drodze się

zatrzymał. Proszę się nie spodziewać, że zrobię pani śniadanie: ja robię tylko kawę.

- Nie jadam śniadań.

- No tak, to widać! - stwierdził, przyglądając się jej szczupłej sylwetce, której kontury zaznaczały się pod kołdrą. Choć była przykryta od stóp do głów, pod jego przenikliwym spojrzeniem poczuła się naga.

- Proszę! - powtórzyła, wskazując, by wyszedł. Wzruszył ramionami i opuścił pokój.

Wzięła szybki prysznic i w pośpiechu szukała czegoś czystego do włożenia. Zdażyła zauważyć, że Brian na dobre rozgościł się w jej domu. Na półce z kosmetykami leżały jego przybory do golenia, w szklance stała nowa szczotka do zębów, a w powietrzu unosił się zapach męskiej wody kolońskiej.

Zana wskoczyła w różowy kombinezon, błyskawicznie wyczyściła zęby, lekko uszminowała usta i nałożyła błyszczak. Wystarczy! Skarciła się w duchu za to, że za bardzo się przejmuje obecnością Briana. Gdy przechodziła z łazienki do sypialni, mignęła jej przed oczami jego smukła postać w obcisłych džinsach i koszulce polo. Stał przy zlewie w kuchni i jakby nigdy nie pukał dzbanek po kawie. Zastanawiała się, dlaczego on czuje się tak swobodnie w jej domu, podczas gdy ona zamienia się w kłębek nerwów.

Postanowiła uczesać się już w studio. Czuła, że potrzebny jej jest, i to natychmiast, pewien dystans do niego, że musi się znaleźć w jakimś odległym miejscu, gdzie będzie mogła w spokoju wrócić do równowagi.

Nie była przyzwyczajona do takiego jak on typu *mężczyzn*. Jej ojciec był zupełnym przeciwieństwem Briana: niefrasobliwy, szczęśliwy, że nie musi się zajmować codziennymi sprawami, z radością zostawiał je innym. Matka żyła tylko muzyką i jej stosunek do codzienności był równie niepoważny. To właśnie Zana, z konieczności, musiała się zajmować praktyczną stroną życia. Od najmłodszych lat przywykła do tego, że to ona podejmuje decyzje i kieruje życiem rodziny.

Z przykrością sobie uświadomiła, że teraz ni stąd, ni zowąd ktoś inny rządzi się w jej domu.

Tego dnia prowadziła swoje lekcje jak automat. Skończyła zajęcia o godzinie siódmej i wracała zwykłą trasą. Była jednak tak zmęczona, że tym razem niewiele uwagi poświęciła rezydencji Zacharych.

Weszła do domu bardziej niż zwykle zdenerwowana i stwierdziła ze zdumieniem, że jej jadalnia przemieniła się w biuro. Stało tu teraz biurko, automatyczna sekretarka i komputer, wyposażony w modny i drukarkę, przy którym urzędował Brian.

Pamiętała, że zeszłej nocy Brian wnosił do domu różne rzeczy ze swego samochodu, ale było zupełnie wykluczone, by tego rodzaju przedmioty mogły się pomieścić w jego wozie.

- Skąd się to wszystko tu wzięło? - spytała. Z wrażeń nie zapomniała się przywitać.

- Witam! - zawołał prowokująco. - Te urządzenia dostarczono mi z Memphis.

- Ale po co?

- Dzięki tej aparaturze mogę utrzymywać stały kontakt z firmą, nie ruszając się z miejsca. Muszę czuwać, bo a nuż szanowny tatuś zdecyduje się któregoś dnia przywieźć tutaj moją mamę. - Rzucił okiem na zegarek. - Pani się spóźniła - stwierdził z wyrzutem.

- Nie, właściwie nie... - nie wiedzieć po co tłumaczyła mu się. - We wtorki mam zawsze więcej zajęć, a moje uczennice, mimo że mają teraz przerwę wakacyjną, wolą przychodzić na lekcje w późniejszych godzinach. - Zmęczona, usiadła na kanapce i oparła głowę o poduszkę.

- Miałem właśnie przygotować sobie drinka. Może napije się pani ze mną wina?

Z jednej strony miała ochotę zbesztać go za to, że zawładnął jej domem i zachowuje się tak, jakby to on był tu gospodarzem. Z drugiej - musiała przyznać, że miło jest przyjść do domu, w którym ktoś na nią czeka, szczególnie gdy tym kimś jest młody mężczyzna.

Wolałabym mrożoną herbatę. Stoi w lodówce i już się pewnie zamroziła.

Brian poszedł do kuchni i po chwili wrócił, niosąc szklankę herbaty z kostkami lodu.

Zana z przyjemnością wypijała kilka łyków zimnego napoju.

Dziękuję! - powiedziała. - To właśnie było mi potrzebne.

Nie jestem zbyt dobrym kucharzem, ale kartofle już się pieką, sałatka gotowa, a befsztyki tylko czekają, by je rzucić na patelnię. Jakie pani lubi?

- Na wpół surowe. - W duchu pomyślała sobie, że ten facet jest pełen niespodzianek. Niby gość, choć nieproszony... ale niczego od niej nie wymaga.

Razem przygotowywali resztę posiłku i Zana czuła, że się zaczyna uspokajać. Być może niesprawiedliwie go osądziła. Przypomniała sobie, jak ją zaszokowała wiadomość o ślubie ojca. Z jakiej racji miała się więc spodziewać, że Brian zaakceptuje ten mariaż. Widać oboje nie umieli się z tym pogodzić i to ich łączyło.

Siedzieli przy kuchennym stole i gawędzili przy kawie, gdy Brian nagle spytał:

Czy pani tęskni za sceną?

- Czasem tęsknię... - Była zaskoczona, że on wie o jej wypadku i o tym, że już teraz nie występuje na scenie. Pewnie pisano o tym w amerykańskiej prasie.

- Nagłe przerwanie kariery musiało być dla pani ciężkim ciosem...

Zawahała się z odpowiedzią. Nie chciała się zdradzić ze swymi uczuciami. Nie ujawniała ich od śmierci matki. Ojciec miał dość własnych problemów i nie był w stanie zajmować się jeszcze i jej kłopotami. Nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc i pocieszyć. Lekarze interesowali się nią jedynie od strony medycznej, a jej cierpienia były przecież także psychicznej natury.

- Opuśczenie sceny było dla mnie tak ciężkim przeżyciem, że nie chciałabym już nigdy przez coś takiego przechodzić. - Powiedziała to dość nonszalanckim

tonem, sądząc, że w ten sposób położy kres jego indagacjom. AJe okazało się, że niełatwo go zrazić.

- Czy pani zawsze chciała zostać tancerką?

- Zawsze! Połknęłam bakcyła tańca od pierwszej lekcji. Miałam wtedy zaledwie trzy lata, ale taniec mnie urzekł. Jak daleko mogę sięgnąć pamięcią wstecz, zawsze kochałam balet.

- To była miłość ze wzajemnością. Taniec przyniósł pani sławę.

- Sławę? Czy to nie przesada?

- Nie uważam, żeby to była przesada i dlatego dziwi mnie, że pani nie zabawiła dłużej w Paryżu. Nie rozumiem też, czemu pani tak szybko opuściła Królewski Balet w Danii.

- Tak, ma pan rację. Tancerze raczej nie zmieniają często zespołów...

Niewiele ta jej zdawkowa odpowiedź wyjaśniała. Jego dociekliwość stawiała ją w kłopotliwej sytuacji. Nie chciała dać Brianowi jeszcze jednego argumentu, by mógł go użyć przeciwko jej ojcu, bo to z winy ojca właśnie przenosiła się z kraju do kraju. Russell nie mógł nigdzie dłużej zagrzać miejsca. W okresie, gdy jego kariera miała się już ku schyłkowi, robił to celowo. Po prostu nigdy nie czekał, aż go zastąpią kimś młodszym i lepszym. A ponieważ Zanie wydawało się ważne, by rodzina trzymała się razem, zawsze ilekroć ojciec postanawiał się przenieść, ona też szukała sobie nowego miejsca.

- Nie sędzę, żeby ustawiczne przenoszenie się z jednego zespołu do drugiego było właściwą strategią, jeśli chodzi o zrobienie kariery. Czy wówczas, gdy zdarzył się ten tragiczny wypadek, nie zaangażowała się pani właśnie do Monte Carlo?

Zana bacznie mu się przyjrzała. Wiadomości, jakie miał na jej temat, znacznie przekraczały to, co się mogło kiedykolwiek ukazać w prasie.

- Skąd pan tyle o mnie wie? Przecież aż tak sławna nigdy nie byłam, a już na pewno nie w Stanach

Zjednoczonych. Czyżby pan specjalnie śledził moje losy?

- Nie chodziło mi o panią, ale o jej ojca. A przy okazji dowiedziałem się też wiele o córce - Wstał i poszedł dolać sobie kawy, po chwili jednak wrócił.

- Chciałbym pani jedno wyjaśnić. Nie chcę, by moja matka cierpiała, gdy pani ojcu przyjdzie ochota wlec ją za sobą z miejsca na miejsce. Ona nie jest wędrownym ptakiem. Chce uwić sobie gniazdko w jednym miejscu. Całe życie marzyła o tym, żeby mieć własny dom. Teraz, kiedy stać nas na to, by go miała, nikt nie ma prawa jej go pozbawiać, a już na pewno nie mąż, który lubi się włóczyć jak Cygan. Obawiam się, że Russell Zachary będzie musiał zacząć żyć inaczej. Czy wyłożyłem to jasno?

- Tak, dostatecznie jasno. Ale nie rozumiem, jak pan może tak źle oceniać mego ojca, wcale go nie znając. Przecież nigdy dotąd nie spotkaliście się.

- Chociaż go nigdy nie spotkałem, udało mi się dostatecznie dużo o nim dowiedzieć. Wystarczyło prześledzić jego życiorys. Zapewniam panią, że tym razem nie uda mu się zjeść ciastka i nadal go mieć.

- O jakim ciastku pan mówi? O co panu, na miłość boską, chodzi?

- Mówię o rezydencji Zacharych. To jasne, że przez małżeństwo z moją matką pani ojciec chce odzyskać ten dom. Ale jest w błędzie. Zapłaci wyższą cenę. Dokonał wyboru i niech teraz towarzyszy mojej matce przez dwanaście miesięcy w roku i nie opuszcza jej ani na chwilę. Musi do końca grać rolę najszcześniejszego człowieka na ziemi i najbardziej zakochanego mężczyzny pod słońcem. Nie pozwolę, by matka z jego powodu cierpiała.

- To pan... to pan jest właścicielem rezydencji?

- Proszę nie udawać niewiniątka... to się nie uda. Może pani zaprzeczać, ile się da, ale ja wiem i pani wie równie dobrze, że od chwili, gdy Russell Zachary dowiedział się, kto kupił dawną rezydencję, nie mógł

się wprost doczekać, żeby jak najprędzej poślubić moją matkę.

- Nie wiem, dlaczego pan tak myśli... - nie protestowała już z tak gorącym przekonaniem jak poprzednio. Zdała sobie bowiem sprawę, że niejeden mógł widzieć i opacznie zinterpretować zainteresowanie, jakie Russell okazywał odbudowie pałacu. Jej ojciec nawet nie usiłował ukryć swojej ciekawości. A jeśli chodzi o nią, to mimo że interesowała się budową bardzo dyskretnie, to i tak, ponieważ Natchez było małym miasteczkiem, wielu ludzi mogło ją na tym przyłapać. Kto wie, czy nie sam Brian. Postanowiła jednak nadal uparcie bronić ojca.

- Zapewniam pana, że chęć wykorzystania pańskiej matki jest czymś zupełnie obcym mojemu ojcu; to do niego niepodobne.

- Nie? Z tego, co wiem, to właśnie jest jak najbardziej w stylu pani ojczulka. Ten człowiek jest oportunistą, który myśli wyłącznie o sobie. A jeśli chodzi o rezydencję, to sprawa jest dla mnie oczywista. Jestem przekonany, że to właśnie rezydencja Zacharych jest powodem tego nagłego małżeństwa i uprowadzenia mojej matki. Tak to się niestety przedstawia, moja droga siostrzyczko.

- A dlaczego nie bierze pan pod uwagę, że w grę mogła wchodzić miłość?

- O, co to, to nie! Z całą pewnością nie była to miłość! - Brian roześmiał się, choć w jego śmiechu nie było cienia wesołości. - Z czasem się pani przekonają, że miłość w ogóle nie istnieje. To taka społeczna bolączka, polegająca na złudzeniu. Każdy ma jedynie swój własny interes na myśli, a nazywa to miłością, bo tak najłatwiej. - Postawił swoją filiżankę kawy na ladzie i wyszedł, zostawiając Zanę samą w kuchni.

Stała oparta o kredens i nie mogła się dość nadziwić temu, jak Brian komentował pojęcie miłości. Czy to możliwe - myślała - żeby miał rację? Może jej ojciec rzeczywiście ożenił się z Caroline, żeby odzyskać dawną

rodową siedzibę? Nie! Tym razem usiłowała przekonać samą siebie, że to jest do niego absolutnie niepodobne, ale gdzieś na dnie duszy zacząła się niepewność... Wiedziała, że Russell żywił ogromny sentyment do rezydencji. Sięgała pamięcią wstecz i wspominała, jak ojciec z ogromnym przejęciem opowiadał jej o latach, które spędził w tym domu. Być może przyglądanie się pracom renowacyjnym na terenie pałacu przenosiło go w szczęśliwą atmosferę dzieciństwa i pozwalało zapomnieć o codziennych troskach. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie w rezydencji po raz pierwszy spotkał Caroline i że tam, w owej szczególnej atmosferze, jaką roztaczał ten dom, zakochał się w niej. Tak, jakby ten stary pałac rzucił na niego jakiś czar, i widocznie był to czar zaraźliwy, gdyż udzielił się również Zanie... choć na razie przyniósł jej same kłopoty.

Każdy dzień rozpoczynał się teraz dla Zany tak samo. Brian budził ją z rana, przynosząc do pokoju kawę. Spędzał przy tym w jej sypialni więcej czasu, niż to było konieczne, starał się ją zagadywać i na wszelkie sposoby zainteresować swoją osobą.

Nie można powiedzieć, żeby w życiu Zany nie było mężczyzn. Kręcili się koło niej różni nadający się na mężów młodzieńcy, ale w większości wypadków interesowali ją tylko jako partnerzy do tańca. Jej jedyną prawdziwą miłością był taniec i tylko on się dla niej liczył. Na inne sprawy nie miała ani czasu, ani ochoty. Aby utrzymać się na najwyższym poziomie i zwyciężać w tak silnej konkurencji, jaka istniała w świecie baletu, musiała mu się bez reszty poświęcić.

Od kiedy zamieszkała w Natchez, zdarzyło jej się kilka razy umówić na randkę, ale nigdy więcej niż dwa razy z tym samym mężczyzną. Ostatnio spotkała się kilkakrotnie z Jeffem Spencerem, ortodontą, którego gabinet mieścił się o kilka domów od jej baletowego studia.

Jeff był młody, miły i miał dużo wolnego czasu. Niestety, nie zachodziła między nimi owa niezbędna

chemiczna reakcja, za której sprawą na sam widok Briana Westbrooka odczuwała podniecające oczekiwanie. Jeff nie budził w niej żadnych dreszczy. To było równie szokujące, co prawdziwe. Zana nie potrafiła stłumić rodzącego się w niej zainteresowania Brianem. Wciąż nasuwały jej się pytania, jakby to było, gdyby go pocałowała, lub co by czuła, gdyby ich ciała znalazły się bardzo blisko siebie.

- Hej, siostrzyczko! - wołał do niej z sąsiedniego pokoju. - Jesteś jeszcze w łóżku?

Właśnie... „siostrzyczko"... To słowo najdosadniej odzwierciedlało, jak Brian patrzył na te sprawy: widział w niej osobę spowinowaconą, członka rodziny, a tymczasem ona miała w związku z nim zupełnie inne pragnienia. Wolała ich jednak nie analizować. Najlepiej zrobi, jak zajmie się pracą...

Ledwie weszła do studia, usłyszała telefon. To była ciotka Cil.

- Dzień dobry, kochanie! - szczebiotała z wyjątkowo silnym południowym akcentem. Dziwne, ale ten akcent zawsze się u niej potęgował przez telefon. - Dzwoniłam do ciebie do domu - mówiła z nieukrywaną radością - bo byłam ciekawa, czy miałaś jakąś wiadomość od tego niebiańsko pięknego chłopca. I wiesz, kto podniósł słuchawkę? On we własnej osobie! To wspaniale, Zano, wspaniale - piała z zachwytem.

- Ależ, ciociu...

- Lepiej jednak nie mówić Russellowi i Caroline, że on u ciebie mieszka... Wyjechali stąd dopiero dziś rano. Między innymi dlatego do tej pory nie dzwoniłam. Teraz mam pierwszą okazję... rozumiesz?! Strasznie jestem ciekawa twojej opinii o Caroline. Czy nie uważasz, że to wymarzona żona dla twego ojca? Jest taka słodka i delikatna... całkiem jak twoja matka. Ale dość o niej! Opowiedz mi lepiej o Brianie! Przyznaj się, że mdlejesz z wrażenia na jego widok... - Ten styl telefonicznej rozmowy był typowy dla cioci Cii. Wygłaszała monologi, ignorując znaki przestankowe i przeskakując

z tematu na temat. Często wysnuwała fałszywe wnioski i wypowiadając sądy trafiała jak kulą w płot.

Zana postanowiła przerwać ten słowotok i zahamować ciotczyne zapędy, bo bała się, że jeszcze trochę, a Cil zabierze się do rozsyłania zaproszeń na ślub.

- Ciociu, widzę, że masz zamiar swatać mnie z Brianem. Lepiej o tym zapomnij.

- Ale dlaczego, Zano? Męska uroda i duże pieniądze to doskonałe połączenie...

- Brian nie darzy rodziny Zacharych szczególną sympatią. Czyżbyś tego nie zauważyła? Wcale się mną nie zachwyca...

- I cóż z tego? Pamiętasz „Przeminęło z wiatrem”? Rhett Butler też nie zawsze zachwycał się Scarlett, a jak ich ciągnęło ku sobie, mój ty Boże!!!

- Wolałabym, ciociu, żebyś nie rozdmuchiwała tej historii. Brian nie czuje do mnie żadnych ciagot...

- Bzdura! - zbyła ją ciotka. - Ucieliśmy sobie z Brianem miłą i długą rozmowę przez telefon. Mówiliśmy o Russellu i Caroline, a także o tobie. To czarujący chłopiec. Jest dokładnie taki, jak go opisywała Caroline.

Zana miała ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o tej „miłej i długiej rozmowie” ciotki z Brianem. Interesowało ją zwłaszcza to, co mówili o niej, ale w końcu uznała, że im mniej o tym wie, tym lepiej. Pewnie ciotka zastosowała wszystkie swoje triki, by ją wyswatać z Brianem. Kto wie, co mu nagadała...

- Caroline opowiadała mi o jego sprawach sercowych - mówiła dalej ciotka. - Podobno Brian przeżył jakieś poważne rozczarowanie i zniechęcił się do miłości. Będąc na studiach zakochał się w jakiejś dziewczynie i nawet jej się oświadczył. Wyobraź sobie, że ona początkowo zgodziła się zostać jego żoną, a potem porzuciła go dla jakiegoś bogatego młodzieńca. Złamała mu serce... Teraz dziewczyny wychodzą ze skóry, by się za niego wydać, ale Brian stał się cyniczny. A ja uważam, że jak spotka właściwą kobietę, to na pewno zmieni swoje nastawienie.

- Ciociu, proszę cię, przestań!

- Ale co mam przestać, kochanie?

- Nie próbuj nic motać. Najgorsze, co mogłoby mnie spotkać, to jeśli Brian pomyśli, że ja na niego lecę. On i tak uważa ojca za łowcę posagów. Teraz gotów dojść do wniosku, że to rodzinna cecha Zacharych.

- Daj spokój, Zano! Niczego nie motam. - Westchnęła głośno. - Ale jak masz tylko narzekać, to odkładam słuchawkę... Pozdrów ode mnie Russella i Caroline, gdy się do ciebie odezwą.

Tego wieczoru Zana starała się jak najdłużej przeciągnąć swój pobyt w studio. Była pewna, że w rezultacie telefonicznej rozmowy ciotki z Brianem czeka ją po powrocie do domu ciężka z nim przeprawa. Aby jak najdalej odsunąć od siebie tę konfrontację, zaaplikowała sobie nowy zestaw ćwiczeń, mających przyspieszyć powrót chorej nogi do zdrowia. Po gimnastyce odpoczywała, a potem celowo marudziła to przeglądając książki, to znów odkurzając studio. W drodze do domu wstąpiła do restauracji i kupiła dwie porcje pieczonego kurczaka na wynos. Była już prawie dziewiąta, kiedy się zjawiła w domu.

Gdy weszła, Brian siedział pochylony nad komputerem. Odwrócił się w jej stronę i rzucił okiem na torby z jedzeniem.

- A więc jednak będzie dziś kolacja, a raczej przekąska na dobranoc...

- Wypadałoby już zrozumieć, że jest pan tutaj nieproszonym gościem. Powinien pan być szczęśliwy, że w ogóle pana karmię, bez względu na to, o jakiej porze.

- Postaram się o tym nie zapominać... - Wyłączył komputer, wstał i wziął torby z kurczakami z jej rąk.

- Hmm, widzę, że mamy dziś pieczony cholesterol...

- Ciekawa jestem, czy pan potrafi być tylko złośliwy, czy ma pan także jakieś dodatnie cechy?

- To właśnie jest moja dodatnia cecha - odparował jej z uśmiechem. Powąchał zawartość toreb. - Ten kurczak całkiem smakowicie pachnie. Skoro już go pani przyniosła, to właściwie moglibyśmy zjeść.

Przeszedł mi apetyt – stwierdziła, zirytowana jego bezustannym dogadywaniem. – Ale proszę, niech pan je, jeśli ma pan ochotę.

- Nie lubię jeść samotnie...

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim pan zdecydował się na uszczypliwe uwagi.

- Nie miałem zamiaru zrzędzić... Zdenerwował mnie ten przekłety komputer. Właśnie połknął dwie strony cyfr. – Ton jego głosu brzmiał niemal pojednawczo.

Może w jego pojęciu to wystarczało za przeproszenie, ale Zana nie czuła się udobruchana. Bez względu na to, jakie niepowodzenia spotkały go w pracy, powinien był docenić jej gest, zamiast robić przykre uwagi.

Muszę się zabrać za pakowanie – powiedziała, chcąc zmienić temat. – Mam zamiar jutro wyjechać, i to zaraz po zakończeniu rannych lekcji.

- Właśnie. O ile pamiętam, pani wybiera się do Jackson...

- Tak. Będę uczestniczyć w końcowej sesji Międzynarodowego Konkursu Baletowego.

- Hmm. Ciekaw jestem, czy to prawdziwy powód pani wyjazdu? A może właśnie w Jackson przebywają nasi nowożeńcy?

- No, wie pan, to już naprawdę graniczy u pana z jakąś obsesją. – Sama się zdziwiła, że użyła tak ostrych słów. – Ile razy mam panu powtarzać, że nasi rodzice nie wrócą wcześniej niż za tydzień. Nie ma ich w Jackson. I ja nie mam zamiaru z nimi się spotkać ani tam, ani gdziekolwiek indziej. Nie rozumiem, w jakim celu miałabym ich spotykać i dlaczego oni mieliby ochotę spotkać się ze mną?

Brian nadal spoglądał na nią z niedowierzaniem.

- Proszę bardzo, może pan czatować i węszyć dookoła jak policyjny pies, ale ja mam coś lepszego do roboty. – Zrzuciła torbę na ramię i wyszła z pokoju. Ten człowiek był nie do zniesienia. I pomyśleć, że ojciec ożenił się z jego matką. Oby tylko nie musiała go

w przyszłości zbyt często widywać z okazji rodzinnych spotkań.

Cała śmietanka światowego baletu zjechała do Jackson, by uczestniczyć w Międzynarodowym Konkursie Baletowym, który odbywał się tutaj w drugiej połowie czerwca. Kierownicy zespołów spodziewali się, że odkryją przy tej okazji młode, obiecujące talenty, licząc, że w przyszłości staną się one gwiazdami baletu.

Hotel, w którym Zana wynajęła pokój, mieścił się przy Capitol Street. Świeżo odnowiony, był z daleka widoczny. Zana minęła gwarny tłum w holu i podeszła do recepcji. Tylko paręset metrów dzieliło hotel od miejskiego audytorium, w którym trwał przegląd przybyłych na konkurs zespołów i solistów. Nic dziwnego więc, że większość gości stanowili tancerze, ich pedagodzy, choreografowie, reżyserzy i krytycy. Wyczuwało się tu towarzyszące konkursowym eliminacjom napięcie i ostrożny optymizm uczestników.

Przechodząc przez hol, Zana wymieniała po drodze serdeczne uściski rąk z wieloma starymi przyjaciółmi. Wreszcie wraz z boyem hotelowym, który niósł za nią walizki, stanęli przed drzwiami jej pokoju. Boy otworzył drzwi i puścił ją przodem. Zana stanęła w progu jak wryta. Nie był to skromny pokój, podobny do tego, jaki zajmowała przed tygodniem, ale wytworny apartament.

- Obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka - zwróciła się do boya.

Spojrzał na klucz.

- Nie! Wziąłem właściwy.

- To jednak musi być pomyłka - i chciała dalej wyjaśniać nieporozumienie, gdy w drzwiach, prowadzących do drugiego pokoju apartamentu, nieoczekiwanie pojawił się Brian.

- No, proszę! - zawołał. - Co za zbieg okoliczności! Okazuje się, że otrzymaliśmy sąsiadujące ze sobą pokoje... - Wcisnął boyowi do ręki parę dolarów i odprowadził go do wyjścia.

- Zbieg okoliczności? Jeszcze czego? Przecież to jasne, że pan to wszystko ukartował. Niech pan nawet nie próbuje zaprzeczać! - wybuchnęła, gdy tylko drzwi zamknęły się za boyem.

Brian przyglądał jej się spokojnie, lekko uniósłszy brwi.

- Przecież mam się panią opiekować. Już pani zapomniała? A więc jestem tutaj i robię, co do mnie należy. A cóż to byłaby za cudowna niespodzianka, gdyby jeszcze tatuś i mamusia przyłączyli się do nas...

Zana głośno westchnęła.

- Kiepski z pana detektyw. Gdyby pana dochód zależał od pańskich dedukcyjnych talentów, to nie zarobiłby pan nawet na to, żeby odnowić mój dom, nie mówiąc już o rezydencji Zacharych. Proszę mi wierzyć, że nasi rodzice są daleko stąd, przypuszczam, że gdzieś pośrodku Wysp Karaibskich.

Pochylił się do tyłu, oparł o zamknięte drzwi i potrząsnął przecząco głową:

- Nie sądzę...

Zana miała ochotę głośno krzyknąć. Czy nigdy nie pozbędzie się tego człowieka i jego podejrzeń? Podeszła do niego i chwyciła go za ramię.

- Jeśli pan już skończył z oskarżaniem mnie, to czas, żeby pan poszedł do swego pokoju i pobawił się komputerem. Nie mam do pana cierpliwości...

- Nie przywiozłem tu komputera.

- Szkoda! Musi więc pan sobie znaleźć jakieś inne zajęcie, bo ja mam swoje plany na ten weekend.

- Mówiąc to popychała go w stronę drzwi.

- Ależ ja wcale nie narzekam na brak zajęć... Mam zamiar towarzyszyć pani i dreptać za nią krok w krok.

- Nie ma mowy! Tu są ludzie, którzy znają mego ojca i nie mam zamiaru wojować z panem w ich obecności.

- Nie ma takiej potrzeby. Zawrzemy pakt o nieagresji i zachowamy małżeństwo naszych rodziców w tajemnicy. Słowo honoru! -I dla większej wiarygodności uderzył się w pierś.

- Jak w takim razie wytłumaczę pana tutaj obecność? - Zana coraz bardziej się denerwowała. - I proszę mi nie sugerować, żebym mówiła ludziom, że pan jest moim starszym bratem. Wszyscy moi znajomi wiedzą, że nie mam żadnego brata.

- No, to trzeba im będzie powiedzieć, że jestem pani kochankiem.

- A może to właśnie mojemu kochankowi muszę wytłumaczyć pańską obecność?

- To by raczej skomplikowało sprawę. - Brian zmarszczył czoło. - Ale nie sądzę, żeby pani miała kochanka. Nigdy nie traktowała pani poważnie tego angielskiego tancerza. Gdyby było inaczej, nie zostawiłaby go pani. A ponieważ nie zjawił się jeszcze nikt inny, by zająć jego miejsce, więc to ja będę na razie pełnił obowiązki mężczyzny w pani życiu.

Brian wie o Kurcie - pomyślała. Poczwała, że się czerwieni.

- Widzę, że prowadząc dochodzenie niczego pan nie przepuścił.

- Staram się być dokładny. A zresztą wystarczyło tylko przeczytać kolumnę plotek towarzyskich. Nie musiałem robić nic więcej. Sądząc z informacji prasowych, mieliście jakiś burzliwy romans. - Nagle Brian chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Czy w tych ploteczkach jest jakaś prawda, Zano? Czy on działał pani na nerwy?

- To nie pański interes. - Uwolniła się z jego objęć. - Czemu pan nie wraca do Memphis?

- Pani nie jest ani o jotę bardziej gościnna tutaj niż w Natchez. Ale to się na nic nie zda, bo ja na pewno stąd nie wyjadę. - Położył jej ręce na ramionach i skierował ją w stronę sypialni. - Proponuję, żeby się pani przebrała. Za godzinę mamy kolację.

Zana weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Żałowała, że nie ma w nich zasuw, bo chętnie by się przed nim zaryglowała. Nie wątpiła, że jeśli by nie

przyszła na czas, to za godzinę Brian szturmowałby do tych drzwi.

Właściwie miała zamiar zadzwonić do Kurta i spędzić z nim ten wieczór, snując wspomnienia o ich baletowej przeszłości. Angielski tancerz był jej stałym partnerem i w świecie baletu uchodzili za parę. Dużo się plotkowało na temat ich rzekomo burzliwego romansu. Ale pleciuchy nie miały racji. To nie ich romans był niespokojny. Niespokojnym duchem był sam Kurt. Nigdy mu się ponoć nie zdarzyło, by jakaś kobieta odtrąciła jego zaloty. Zana była pierwszą i jedyną, która to uczyniła i właśnie dlatego stała się obiektem jego szaleńczego pożądania. Bezustannie prześladował ją swoją miłością. Urządzał jej dzikie sceny, chcąc siłą skłonić do uległości. Zana podejrzewała, że gdyby mu uległa, Kurt od razu straciłby dla niej zainteresowanie.

A jednak lubiła go pomimo wszystko... Gdy się nie złościł, potrafił być czarujący i ciekawy. Ale go nie kochała, a miłość była dla niej niezbędnym warunkiem, by pójść z kimś do łóżka. Kurt nie był w stanie zrozumieć jej „przestarzałego, wręcz wiktoriańskiego”, jak go nazywał, poglądu na te sprawy. Prowadzili nie kończące się dyskusje na ten temat i stale się kłócili.

Tymczasem, gdy się tu w Jackson w ubiegłym tygodniu po długim niewidzeniu znowu spotkali, Kurt był dla niej niezwykle uprzejmy. Poświęcił jej cały swój czas i okazał wiele cierpliwości. Zana bała się jednak, że w ten weekend zażądałby już od niej czegoś więcej. Może dlatego lepiej pójść na kolację z Brianem? Choć i to nie jest dobre wyjście. Była między młotem a kowadłem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Brian zręcznie przemykał się smukłym jaguarem przez duży o tej wczesnowieczornej porze ruch na ulicach. Bez kłopotu udało mu się także znaleźć miejsce na parkingu obok włoskiej restauracji.

- W tym lokalu podają świetne łazanki *fettuccine* i doskonały makaron - zapewniał, biorąc na siebie wybór potraw. Zana nie oponowała. Była głodna, a poza tym w momencie, gdy weszli do restauracji, poczuła pikantny zapach czosnku i oliwy, który jeszcze bardziej zaostrzył jej apetyt, skutecznie tłumiąc wszelkie potencjalne obiekcje.

Brian zamówił antipastę i butelkę Chianti. Gdy siedzieli przy stoliku, czekając na zamówione zakąski, ogarnęło ich dziwne onieśmienie.

- Czemu pan się tak we mnie wpatruje? - przełamała w końcu milczenie Zana.

- I cóż w tym złego? Chyba pani wie, że jest bardzo piękną kobietą.

- Prawdę mówiąc, czuję się bardzo nieswojo, gdy pan tak badawczo na mnie patrzy. Jak tak można?

- Sądziłem, że jest pani przyzwyczajona do tego, że na panią patrzą. Przecież pani jest artystką i występowała na scenie.

- Na scenie inaczej się to odbiera... Widownia tonie w ciemności i znajduje się poniżej sceny, a pan mnie lustruje z odległości pół metra... - W tym momencie przyniesiono im antipastę, co Zana uznała za prawdziwe wybawienie z kłopotliwej sytuacji. Speszył ją nieoczekiwany komplement z ust Briana. O wiele łatwiej rozmawiało jej się z nim, gdy traktowali się wrogo.

Przy zakąskach gawędzili o włoskiej kuchni i o ciekawym wystroju sali, a gdy przyniesiono im danie główne, a były to eskalopki cielece saute z cytryną i do tego owe słynne *fettuccine* z parmezanem - za temat rozmowy obrali pogodę.

Brian jadł z dużym apetytem i za każdym razem, gdy Zana odkładała widelec, namawiał ją na jeszcze jeden kęs.

- Pani jest za szczupła - argumentował.

- W moim zawodzie to duża zaleta. - Sądziła, że będzie się z nią dalej przekomarzał, ale on zabrał się ostro do tego, co miał na talerzu i przestał ją namawiać do jedzenia. Nagle cały się rozpromienił. Zana po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy prawdziwy uśmiech.

- Co pana tak rozbawiło?

- Wciąż mam przed oczami tę scenę, którą zaobserwowałem w Nowym Orleanie na tarasie u pani ciotki. Moja mama i pani ojciec ostrożnie wyglądali przez drzwi balkonowe, jak psotne dzieci, które chowają się przed dorosłymi.

- A więc pan ich widział? Trzeba było wrócić i przygadać im.

- Przyznam się pani, że poczułem się jak łajdak. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że moja matka tam była i nie miała ochoty zobaczyć się ze mną... Nie wiem, jakie лихо mnie tam zaniósło. Do dziś tego żałuję.

- Tak! Nasi rodzice bardzo się boją, żebyśmy ich nie potępili. Ojciec nieomal błagał mnie, żebym mu powiedziała, że wszystko jest w porządku, że akceptuję to, co zrobił.

Brian spochmurniał.

- Nie uważam, żeby wszystko było w porządku i nie to chciałem powiedzieć. Przeciwnie, nadal uważam, że to nie jest w porządku. - Pochylił się ku niej. - Żałuję jedynie, że byłem wówczas taki nieopanowany... Niemniej ani na jotę nie zmieniłem zdania w sprawie tego małżeństwa. Powtarzam raz jeszcze, że nie dopuszczę

do tego, żeby mojej matce stała się jakakolwiek krzywda.

Zanie jeszcze przed chwilą się zdawało, że mogłaby polubić Briana. Teraz, gdy znów przybrał ostry ton, zrozumiała, że to niemożliwe. Jego bezkompromisowość była dla niej nie do przyjęcia.

- To jeszcze nie powód, żeby pani miała taką zatroskaną minę - powiedział i pogładził ją po ręce, licząc, że się udobrucha. - Dalej nie jestem zadowolony z tego mariażu, ale już nigdy więcej nie będę się zachowywał jak wariat. Przrzekam! - I znowu się do niej uśmiechnął. A Zana poczuła, że przenikają dziwny dreszcz, choć usilnie starała się nie dać po sobie nic poznać. Sięgnęła po kieliszek wina, modląc się w duchu, by jej nie zadrżała ręka.

- Jak się panu pracowało w tym tygodniu? - spytała, by zmienić temat.

- Dobrze! Zrobiłem nadspodziewanie dużo. Tym niemniej przez to, że się tu z panią wybrałem, będę musiał nadgonić robotę.

- Na czym polega pańska praca?

- Jestem konsultantem.

- Można zapytać, jakiego rodzaju porad pan udziela?

- Specjalizuję się w wykrywaniu wirusów komputerowych. Mam w Memphis małe biuro, ale przeniosę je do Natchez, gdy tylko rezydencja będzie gotowa. Bardzo dużo podróżuję; muszę utrzymywać kontakt z biznesmenami na całym świecie. Dla mnie nie jest ważne, gdzie się mieści moja kwatera główna, byle była w pobliżu lotniska.

- Z tego co wiem z prasy, zwalczanie wirusów komputerowych jest obecnie bardzo lukratywnym fachem.

- Tak! To bardzo dochodowe zajęcie. Zainteresowałem się komputerami jeszcze na uniwersytecie, a po ukończeniu studiów bez trudu otrzymałem posadę w dużej firmie usług komputerowych. Należę jednak do ludzi, którzy nie lubią mieć nad sobą szefa, toteż

przy pierwszej nadarzającej się okazji oszedłem i założyłem własną firmę. Miałem szczęście: powiodło mi się!

- Czy pan ma rodzeństwo?

- Nie mam. Mój ojciec od dawna nie żyje. Moją jedyną siostrą jest. pani.

- A to dopiero! - Podniosła kieliszek i napiła się wina.

- Czy jest coś jeszcze, co chciałaby pani o mnie wiedzieć? Proszę pytać!

Zana postanowiła skorzystać z okazji. Niewiele wiedziała o Westbrookach, a powinna, skoro losy ich rodzin splotły się teraz ze sobą.

- Pan rzeczywiście może mówić o sukcesie... Od skończenia uniwersytetu do założenia własnej firmy wystarczyło panu dziesięć lat.

- Tak, coś koło tego. Mam trzydzieści dwa lata, jeśli to panią interesuje. Moja życiowa sytuacja uległa radykalnej poprawie od czasu, gdy byłem nastolatkiem, mieszkającym w ubogiej dzielnicy miasta. Kiedyś, przejeżdżając z kolegami obok posiadłości Elvisa Presleya, chełpiłem się, że gdy dorosnę, to kupię mojej mamie taki sam piękny i duży dom, jak „Graceland”. Przywiązywałem do tego przyrzeczenia ogromną wagę, znacznie większą niż mama, bo ona ani przez chwilę nie wierzyła, że mi się to kiedykolwiek uda.

Wiele pytań nasunęło się Zanie, gdy rozpamiętywała jego słowa. Wiedziała jednak, że się nie ośmieli ich zadać. A więc Brian żył w biedzie, gdy był młodym chłopcem. Może dlatego podejrzewał jej ojca, że się ożenił z Caroline dla pieniędzy.

- To wspaniale, że udało się panu zrealizować to, co sobie pan kiedyś wymarzył. Tylko dlaczego kupił pan właśnie rezydencję Zacharych? - spytała w końcu.

- Tak się złożyło, że pracowałem dla pewnej firmy, która przejęła rezydencję tytułem rekompensaty za nie spłacony kredyt. Zainteresowałem się tym domem, gdy

usłyszałem od mego szefa, że jest stary i piękny, tyle że potwornie zniszczony. Postanowiłem go obejrzeć. Któregoś dnia przyjechałem, zobaczyłem, spodobał mi się i kupiłem go.

Zana nie wiedziała, co ma teraz powiedzieć. Jeśliby się za bardzo dopytywała o dom, Brian mógłby się umocnić w przekonaniu, że razem z ojcem knuje, jak wejść w jego posiadanie. Uratował ją kelner, przynosząc im desery i kawę.

- Czy miałyby pani ochotę zwiedzić tę waszą starą siedzibę?

- Mówi pan poważnie?

- Oczywiście! Chciałyby ją pani obejrzeć?

Jakżeby mogła się temu oprzeć? Bardzo pragnęła przejść się po pokojach i komnatach rezydencji, zwiedzić miejsca, gdzie wzrastał jej ojciec i dziad.

- Miałabym na to ogromną ochotę - odrzekła, uśmiechając się do niego serdecznie.

- No to załatwione. Pójdziemy tam zaraz po powrocie do Natchez.

Brian prowadził Zanę środkiem widowni, trzymając ją lekko za łokieć. Szli między rzędami krzeseł, szukając swoich miejsc. Za chwilę miało się zacząć galowe przedstawienie z rozdaniem nagród. Zana włożyła na tę okazję suknię wieczorową z szyfonu w kolorze dojrzałej pomarańczy, a Brian wystąpił w smokingu. Nie miała pojęcia, skąd go w tak krótkim czasie wytrzasnął, ale bardzo jej było przyjemnie mieć u swego boku wytwornie ubranego mężczyznę. Acz niechętnie, musiała przyznać, że woli być w towarzystwie nawet tak denerwującego kompana, jak Brian, niż siedzieć sama podczas koncertu.

- Nie miałem pojęcia, że ten konkurs to taka wielka impreza - szepnęła jej do ucha Brian.

- Nie jest to impreza powszechnie znana, ale wśród wielbicieli baletu jest ogromnie popularna. Przecież gwiazdy tej miary, co Barysznikow i Makarowa właśnie

na tych konkursach zdobyły swoje najcenniejsze medale.

- I Zana Zachary też. To było w Moskwie, prawda?

- Może jednak ma pan pewne detektywistyczne zdolności mimo wszystko... - Uśmiechnęła się.

Światła na widowni pogasły i zaczęło się przedstawienie. Zana głęboko przeżywała każdy akt. W myślach wykonywała wraz z tancerzami na scenie każde ich *bouffée* i każdy piruet. Upojona muzyką przeistoczyła się z okaleczonej, poznaczonej bliznami Zany w dawną słynną balerinę, która potrafiła nawet wymagającą europejską widownię rzucić sobie do stóp.

Przeżywanie baletu tak ją wyczerpało emocjonalnie, że podczas pierwszej przerwy wołała zostać na widowni, gdy inni wyszli do foyer. Kiedy znowu podniosła się kurtyna, Brian wziął jej dłoń w swoją i mocno otulił palcami, co podziałało na nią kojąco, ale uspokoiło ją tylko na krótko. Podczas finalnego *pas de deux* Kurta z jego nową partnerką, Aleksandrą Bereskową, znowu poczuła bolesne ukłucie w sercu.

Brian ani na chwilę nie wypuścił jej dłoni z uścisku i dzięki temu udało jej się przetrwać owacje. Gdy na widowni zapaliły się światła, Brian widząc, że ona wyciera chusteczką przepełnione łzami oczy, pochylił się i spytał szeptem:

- Czy pani dobrze się czuje?

Zrobiła przeczący ruch głową.

- Czy pani chce wyjść?

- Wkrótce ma się odbyć przyjęcie. Obiecałam, że na nim będę.

- Wcale pani nie musi.

- Niestety, muszę.

Po przedstawieniu Brian i Zana wrócili do hotelu i weszli na chwilę do apartamentu, żeby Zana mogła poprawić makijaż i doprowadzić się do porządku. Czekały ją trudne spotkania z ludźmi, których znała przed wypadkiem. Nieunikniony też był bolesny nawrót wspomnień z przeszłości.

Sala balowa hotelu huczała od rozmów. Brian i Zana ruszyli w sam środek podnieconego tłumu. Sponsorujący konkurs miejscowy bank przygotował bogato zaopatrzonego bufet dla uczestników i zaproszonych gości. Brian skorzystał z okazji, że podszedł do niego kelner z tacą pełną napojów i wziął dwa kieliszki szampana: jeden dla Zany, drugi dla siebie. Zana nie potrafiła ukryć zdenerwowania, ale on czuł się zupełnie zrelaksowany.

Wciąż pojawiał się na sali któryś z artystów, biorących udział w przedstawieniu. Przybycie każdej wielkiej gwiazdy baletu kwitowane było głośnym szmerem podziwu zebranych. Wielu tancerzy podchodziło do Zany, by się jej przypomnieć. Oboje z Brianem ciągle się z kimś witali lub byli komuś przedstawiani. Zaną targały sprzeczne uczucia: z jednej strony cieszył ją widok starych przyjaciół, z drugiej - nie mogła bez zazdrości spoglądać na tych, którzy wciąż jeszcze występowali, i coraz częściej marzyła o powrocie na scenę.

Obecność przy niej Briana stwarzała dodatkowy stres, bo choć przyjemnie jej było mieć u swego boku mężczyznę, nie wiedziała, jak ma wyjaśniać znajomym, kim on dla niej jest. Najprostszym wyjściem było przedstawienie go jako kogoś z rodziny. „To mój kuzyn z Memphis” - mówiła. Ale za każdym razem, Brian zawstydział ją, dodając: „Kuzyn do przytulania”. Całe szczęście, że tego nie demonstrował.

Nagle sala rozbrzmiała szalonym aplauzem i Zana domyśliła się, że zjawił się Kurt. Stał w otwartych drzwiach i dziękował za owacje, kłaniając się ruchem ręki i pochylem głowy. Widać było, że brawa sprawiły mu wielką radość. Lubił, gdy mu schlebiano. Wyglądał bardzo pięknie w ciemnej marynarce, różowej jedwabnej koszuli i wzorzystym fularowym szaliku, związanym pod szyją. Kurt był jedynym mężczyzną, jakiego znała, który mógł nosić fularowe szale i nie wyglądać przy tym pretensjonalnie.

Na jej widok uniósł lekko brwi o dramatycznie zarysowanych łukach i zaraz ruszył w jej stronę. Po drodze całował różne panie to w rękę, to w policzek i w ciągu paru minut znalazł się przed nią i Brianem.

- Zano, kochanie. Przyciągnął ją do siebie i, ściskając wylewnie, ucałował w oba policzki. - Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Już się bałem, że zmieniłaś zdanie i nie przyjedziesz w ten weekend.

Zażenowana uwagą, jaką na siebie zwracali, Zana wyzwoliła się z jego objęć, po czym odwróciła się, żeby go przedstawić Brianowi. Nie była pewna, czego się może po Brianie spodziewać, ale z wyrazu jego twarzy domyśliła się, że tym razem powinna zrezygnować z nazywania go kuzynem.

- Kurt Rutherford, Brian Westbrook przedstawiła ich krótko.

- Miło mi pana poznać - powiedział Kurt i wyciągnął rękę, darząc Briana miękkim uściskiem dłoni. Następnie zniżając głos zapytał: - Kim jest pan Westbrook?

- Jestem adoratorem Zany - odpowiedział za nią Brian i objął ją w pasie.

Zana zaniemówiła. Nie zdziwiło jej też zdumione spojrzenie Kurta. Nie był przyzwyczajony do konkurencji z innymi mężczyznami. Nie wiedziała, jak wytłumaczyć postępek Briana. Czy chciał sprowokować Kurta? A może tylko mu dokuczyć? To przecież była jego specjalność...

- Tak naprawdę, to Brian jest moim nowo upieczonym krewnym - szybko wmieszała się Zana. - Mój ojciec ożenił się ponownie i... ale nie czas teraz na szczegóły. Musisz się przywitać z resztą swoich wielbicieli.

- Wcale nie! Przecież wiesz, że ty jesteś najważniejsza... - Wziął ją za rękę i raz jeszcze przyciągnął do siebie. - Ach, więc Russell ponownie się ożenił. To świetnie! Będzie mi łatwiej zaproponować ci to, z czym się już cały tydzień noszę. Czy możemy się spotkać później?

Zana poczuła się nieswojo. Zawsze ogarniało ją lekkie przerażenie, gdy Kurt chciał z nią zostać sam na sam.

- Może spotkamy się w hotelowej kawiarni? - spytała.

Tancerz roześmiał się.

- Ty się chyba nigdy nie zmienisz. Wciąż się ze mną bawisz w kotka i myszkę. Nie! Dla tej dyskusji wybrałbym raczej coś bardziej intymnego, na przykład... twój pokój. Przestań się przekomarzać i powiedz mi, w którym pokoju cię znajdę.

Zapisała mu numer pokoju na kawałku papieru, wyrwanym z programu, rzucając równocześnie szybkie spojrzenie w stronę Briana. Bawiło ją, że starania Kurta o to, by się znaleźć z nią sam na sam w pokoju, udaremni obecność jej współlokatora. Na twarzy Briana też dostrzegła rozbawienie...

- A więc, do zobaczenia! - Kurt schował kartkę z numerem jej pokoju do kieszeni, pocałował ją w rękę i chwilę potem witał się już z kimś innym.

- Nietrudno sobie wyobrazić, jaką ma dla pani ofertę. Dobrze, że będę w pobliżu. Zabawię się w przyzwoitkę - oznajmił jej Brian.

- Nie trzeba mi przyzwoitki - zaprotestowała. Czuła, że oni obaj doprowadzają do rozpaczki. - Proszę tylko, by mnie pan stąd wyprowadził. Chcę wrócić na górę.

Gdy weszli do apartamentu, Brian od razu udał się do swego pokoju, a Zana ucieszyła się, że dał jej szansę na chwilę wytchnienia, zanim zjawi się Kurt. Zastanawiała się, czyjej eks-partner w tańcu naprawdę wierzył, że uda mu się tego wieczoru zająć z nią dalej niż dotychczas. Gdy się spotkali przed tygodniem, niczego takiego nie sugerował, ale ilekroć Kurt za bardzo ją czarował, zawsze nabierała wobec niego podejrzeń. Spojrzała w lustro i uśmiechnęła się do własnego odbicia. Jeśli Kurt liczy na romans z nią, to się rozczaruje. Jej uczucia do niego nie uległy zmianie i była pewna, że się nigdy nie zmienią.

Bez względu na to, jakie były Kurta intencje, wiedziała, że nie zostanie u niej, jeśli się zorientuje, że w pokoju obok jest Brian. I to ją urządziło. Nie podejrzewała Briana o tyle uprzejmości, by chciał ich zostawić samych. Nie miała też najmniejszej ochoty występować jako mediator, gdyby doszło między panami do spięcia.

Szybko się przekonała, że jej obawy dotyczące Kurta były zupełnie bezpodstawne. Jego propozycja miała czysto zawodowy charakter i nie chodziło tym razem o żadne uczucia. Kurt został powołany na stanowisko kierownika artystycznego nowo powstałego zespołu baletowego w Londynie i po prostu chciał Zanie zaproponować, żeby została nauczycielką tańca w jego zespole.

- Chciałem ci to już w zeszłym tygodniu zaproponować, ale wtedy liczyłem się z tym, że niełatwo będzie namówić cię do opuszczenia ojca. Teraz nie ma już żadnego powodu, żebyś miała mi odmówić. - Położył obie ręce na jej ramionach. - Bardzo cię na tę pracę namawiam, Zano! Możesz sobie stworzyć nowe, ciekawe życie. Nie będzie to wprawdzie scena, ale będziesz nadal obracała się w świecie baletu, który znasz i lubisz. A jeśli tylko tego zechcesz, nasza współpraca może się rozwinąć w coś znacznie głębszego...

Wyzwoliła się z jego objęć i podeszła do okna. W szybie odbijała się twarz Kurta. Przez dłuższą chwilę ją studiowała. Miał taką minę, jakby był absolutnie przekonany, że ona przyjmie jego propozycję. Zastanawiała się, skąd u niego ta pewność, skoro ona sama jeszcze nie wie, jak ma postąpić. Większość kobiet przyjąłaby jego ofertę z radością, czemu się więc ociąga? Praca w Londynie rozwiązałaby wiele jej problemów i pozwoliła choć częściowo wrócić do dawnego życia. A jednak, choć bardzo chciała mu powiedzieć, że się zgadza, coś w niej kazało mu odmówić.

- Jestem zaskoczona - wyjąkała - nie spodziewałam się takiej propozycji. Czuję się zaszczycona, ale... po prostu...

- Chyba mi nie chcesz odmówić, kochanie. Od-
mawianie moim prośbom weszło u ciebie, widzę,
w zwyczaj.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, doprawdy. Tyle się zmieniło... mój
ojciec... całe moje życie... - Nie wspomniała mu o tym,
że myśli o ewentualnym powrocie na scenę. Ale gdyby
się taka możliwość przed nią otworzyła, na pewno by
z niej skorzystała. - Musisz mi zostawić trochę czasu,
żebym to mogła przemyśleć.

Kurt zbliżył się do niej i pieszczotliwym ruchem
gładził jej policzek.

- Oczywiście! - uśmiechnął się. - Jeśli w końcu
zgodzisz się, to dam ci tyle czasu, ile tylko zechcesz.
Zadzwoń do mnie, gdy podejmiesz decyzję. Przyrzę-
kam, że nie będę cię naciskał.

Spojrzała na niego niedowierzająco.

- Powiedzmy, że nie będę cię zbyt mocno naciskał.
- Znowu się do niej uśmiechnął, odwrócił się i wyszedł.

Zana usiadła na wersalce i, zamyślona, rękami
objęła kolana.

- Pani gość jakoś wcześniej wyszedł - zauważył
Brian, wchodząc do pokoju.

- Pewnie pan tam siedział z uszami przyklejonymi
do drzwi...

- Nie, raczej próbowałem starego triku z przyłoże-
niem szklanki do ściany, ale nie podziałało. Nie słysza-
łem ani słowa.

- Kurt zaoferował mi posadę w Londynie.

- I zgodziła się pani ją przyjąć?

- Nie wiem. Trudno mi się zdecydować.

- Pomogę pani: proszę mu odmówić. Kurt jest w pani
zakochany, a pani go nie kocha; więc jeśli będziecie
razem pracować, to żadne z was nie będzie szczęśliwe.

Zanie od razu przyszło na myśl, że jednak musiał
usłyszeć więcej, niż chce to przyznać.

- Jeszcze niedawno twierdził pan, że miłość nie
istnieje.

- Bo nie istnieje. Są jednak tacy zagubieni ludzie, którzy wierzą w miłość bez względu na fakty. Skoro Rutherford myśli, że jest zakochany, to praktycznie rzecz biorąc jest zakochany.

- To bardzo ciekawa teoria. Trudno jednak na niej polegać, gdy jej autorem jest taki cynik jak pan.

- Nie jestem cynikiem. Jestem tylko realistą.

- To nie ma znaczenia. - Wzruszyła ramionami.

- Jedno jest pewne, że ma pan negatywny i chyba dość brutalny stosunek do tych spraw. A teraz, zanim pan wymyśli jakąś nową teorię, powiem już panu dobranoc.

- Wstała i przeszła do swojej sypialni.

- Czy na pewno nie chce pani towarzystwa w sypialni? - spytał, gdy wychodziła.

Nawet się nie obejrzała.

- Gdybym chciała, poprosiłabym Kurta, by został i dotrzymał mi towarzystwa! - Trzasnęła drzwiami, co miało wzmocnić wymowę jej słów.

Kładąc się do łóżka, Zana wciąż rozmyślała nad propozycją Briana. Oczywiście żartował, ale już nie po raz pierwszy prawie, prawie... Prawie, co? Nie umiała wypowiedzieć tej myśli do końca.

Wracali do domu każde w swoim samochodzie: Zana przodem, a Brian tuż za nią. Wchodząc do domu, już z daleka słyszała telefon. Podbiegając do aparatu, który stał w kuchni, usłyszała, jak Brian podnosi słuchawkę telefonu, który zainstalował sobie w jadalni.

- Witaj, dziecinko! - mówił jej ojciec. - Jak się masz?

- Mamy się bardzo dobrze - odpowiedział Brian, zanim ona zdążyła się odezwać. - A jak się panu i mojej mamie podobał rejs?

Ojciec odchrząknął.

- Owszem, podobał nam się. Proszę poczekać, matka zaraz podejdzie.

- Proszę pana, proszę jeszcze chwilę zostać przy telefonie! - zawołał Brian, ale się spóźnił. Russell już przekazał słuchawkę żonie.

- Brian, kochanie, co ty robisz w Natchez?

- Dozoruję prace w rezydencji. Wpadłem do Zany, tak jak sugerowałaś, a ona była tak uprzejma, że mnie zaprosiła, żebym tu zamieszkał.

Zana rozciągnęła sznur telefonu na całą długość i stanęła tak, by Brian mógł zobaczyć jej oburzony wzrok. Ale on nie czuł się ani trochę zakłopotany. Patrzył jej prosto w oczy, jakby prowokował do zaprzeczenia jego słowom.

- Wybacz mi, synku - mówiła Caroline - że ci wcześniej nie powiedziałam o moich małżeńskich planach. Ale sprawy potoczyły się tak szybko. Działaliśmy pod wpływem chwili. Wzięło nas... i nie mogliśmy nic na to poradzić. My się naprawdę kochamy...

- Mamo, proszę, nie tłumacz się przede mną - przerwał jej. - Pragnę tylko, żebyś była szczęśliwa. I chyba jesteś, prawda?

- Bardzo! A ty jesteś niezwykle wyrozumiałym synem.

Zana nie wierzyła własnym uszom. Gdyby jego matka wiedziała, jak to naprawdę jest z wyrozumiałością jej syna...

- Brian! Może pozwolimy teraz Zanie i Russellowi porozmawiać ze sobą. Dobrze? Do widzenia, kochany!

- Do widzenia, mamo!

- Zana? - Głos Russella brzmiał niepewnie, jakby się wciąż bał, że nie jej głos usłyszy, a Briana... Ale Brian już się wyłączył. Z sąsiedniego pokoju dochodził ją szelest papieru i delikatny stuk klawiszy komputera.

- Tak, to ja, tatusiu! Kiedy zamierzacie wrócić do domu?

- W piątek wracamy do Miami. Zostaniemy tam kilka dni, a potem przylecimy samolotem do Nowego Orleanu. Być może przenocujemy u Cil przed powrotem do Natchez. Jeszcze do ciebie zadzwonię i powiadomię cię o dokładnej dacie powrotu. A u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, jak najbardziej! - kłamała. Nie miało sensu informowanie go, że Brian przejął we władanie nie tylko jej dom, ale i jej życie. Narzekając, unieszczęśliwiłaby ojca i Caroline, ale nie pomogłoby jej to w pozbyciu się nieproszonego gościa. - Nie martw się o mnie - dodała. - Bawcie się dobrze, przecież to wasza poślubna podróż... Wkrótce się zobaczymy, do widzenia!

- Do widzenia, kochanie!

Właśnie odkładała słuchawkę, gdy zobaczyła Briana o kilka kroków od siebie. Chyba jednak podsłuchiwał... Powinniśmy się porachować ze sobą od razu, tu teraz - pomyślała, i oparła się o kredens, gotowa do walki. Ale z ust Briana nie padły żadne złośliwe uwagi, jakich oczekiwała. Podeszedł spokojnie do lodówki, wyjął puszkę soku owocowego i wrócił do swego komputera.

Zana postąpiła chwilę w drzwiach pokoju jadalnego i przyglądała mu się. Była zmęczona, ale równocześnie zbyt podniecona, żeby zasnąć. Pomyślała, że jeśli posiedzi pół godziny przed telewizorem, to jej nerwy się uspokoją. Włączyła telewizor.

Brianowi nie było to w smak. Odwrócił się od komputera i spojrzął na nią.

- Jeśli pani nie robi to różnicy? Chciałbym popracować.

- Kiedy mi to właśnie robi różnicę. To jest mój dom, moja jadalnia i mój telewizor. Nie trzeba było jechać za mną do Jackson, to nie musiałyby pan teraz nadrabiać zaległości.

Mówiła mu te przykre słowa dobrze wiedząc, że nie tylko nie jest dla niego miła, ale że zachowuje się wręcz antypatycznie. W dodatku nie miała racji, bo gdyby nie pojechał z nią do Jackson, weekend bez niego byłby okropny. Wolała jednak być z nim w stanie wojny. Niepokoiła się stanem swoich uczuć. W drodze powrotnej do Natchez o nikim innym nie potrafiła myśleć, jak tylko o nim. Zastanawiała się, co nim powodowało, że

tak brutalnie rozprawił się z pojęciem „miłość”. Posuwała się nawet do rozważań, co by było, gdyby pozwoliła mu pozostać w swojej sypialni, gdy jej to zaproponował w Jackson.

Niepokoił i intrygował ją ten tajemniczy mężczyzna, który ukrywał swoje prawdziwe oblicze pod maską kpiarza. Bywał wobec niej czasem niegrzeczny, ale z jaką troską i czułością odnosił się do swojej matki. Zana rozumiała, że sytuacja, w jakiej się znalazła, wymaga ostrożności. Nie wolno jej dać się ponieść uczuciu. Musi się bronić, szczególnie teraz, gdy wciąż jeszcze jest emocjonalnie okaleczona i łatwo można zawładnąć jej sercem.

- Jeśli panu telewizja przeszkadza, to wolna droga! Nie musi pan tu mieszkać! - I, by dopełnić miary, dodała: - Chyba są już teraz wolne pokoje w mieście...

Brian przyglądał jej się przez chwilę bez słowa, a wreszcie wybuchnął:

- Nie! Nie wypłoszy mnie pani odrobiną hałasu. Mnie jest tu dobrze. Przyjemnie mi dzielić z panią ten dom i korzystać z jej gościnności. A więc, proszę bardzo, niech sobie pani ogląda telewizję, a ja będę mimo to dalej pracował. - I znowu całą uwagę skupił na komputerze.

„Odrobiną hałasu?” - zobaczymy! Przeleciała wszystkie kanały, szukając czegoś głośniego, czegoś, co by mu naprawdę przeszkadzało. Komedia sytuacyjna, z podłożonym na taśmie śmiechem, była niezła, ale może znajdzie się jeszcze coś głośniejszego. Wiadomości w telewizji kablowej? Takie sobie. Telewizja publiczna? Odpada. Jest zbyt spokojna i powściągliwa. A tu co mamy? Film wojenny. Tak. To jest to! Nieustający huk strzałów karabinowych, grzmot dział, wybuchy moździerzy i granatów. W chwili, gdy marynarka Stanów Zjednoczonych rozpoczęła ostrzeliwanie wybrzeża artylerią, Zana, używając pilota, zdalnie nastawiła się głosu na najwyższy poziom.

Brian spojrział raz i drugi z niepokojem, a ona uśmiechała się do siebie, licząc na to, że teraz niechybnie uda jej się odciągnąć go od pracy przy komputerze. I rzeczywiście. Brian wstał, przysunął się bliżej do telewizora i przez dłuższą chwilę patrzył ze zmarszczonym czołem w ekran. Nagle trzasnął palcami i szeroko uśmiechnął się.

- Znam ten film! To są „Piaski Iwo Jima” z Johnem Wayne'em. - Usiadł przy niej na kanapce. - To klasyk. Jeden z jego najlepszych filmów.

Zana nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

- Widział pan już ten film?

- Widziałem go ze dwa albo i trzy razy. Ale Wayne'a nigdy za dużo. To po wsze czasy mój najbardziej ulubiony aktor. Teraz już takich nie ma. - Oparł się wygodnie, nogi położył na stoliku do kawy. - Ten film jest za dobry, żeby go mógł nie obejrzeć..

- A pańska praca?

- Praca poczeka. - i włożył sobie poduszkę z kanapy pod głowę.

A niech to - pomyślała - ale się urządziłam! Nie przepadała za starymi filmami, a już szczególnie nie lubiła starych filmów wojennych. Teraz znalazła się w pułapce. Mogła albo przesiedzieć z nim parę godzin, obejrzeć cały film i cierpieć po cichu, albo wyjść i tym samym przyznać się, że działała jak rozkapryszone dziecko. Nigdy! Raczej zostanie.

Dwie godziny później, gdy na ekranie pokazały się końcowe napisy, Zanie brakło już chusteczek, tyle się nawycierała łez... To był niesamowicie smutny film.

- Cieszę się, że pani za bardzo nie przeżywała - pokpiwał Brian.

- Nie wiem, co mi się stało. Nie płakałam tyle od czasu... śmierci mojej mamy.

Brian delikatnie pogłaskał ją po ramieniu.

- Wiele czasu minie, nim wypłacze pani wszystkie łzy. Kiedy umarł mój ojciec, płakałem cały rok, wypłakałem wiadra łez.

- Kiedy to było?

- Byłem dzieckiem. Nie miałem chyba więcej niż osiem lat. Ojciec długo chorował, ale to wcale nie ułatwiło nam rozstania z nim. Po jego śmierci matka musiała pójść do pracy, żeby spłacić długi, jakie zaciągnęła na leczenie i wszystko inne. Sporo ich było. Matka nie miała żadnego zawodu ani przygotowania. Zaczęła pracować jako sprzątaczką, potem została kelnerką, ale wciąż mieliśmy za mało pieniędzy, a za dużo rachunków do płacenia. W końcu straciliśmy dom i musieliśmy się przenieść do mieszkania nad garażem w Memphis. Ale jakoś udało nam się przeżyć, a ja dzięki szczęściu i stypendium ukończyłem nawet uniwersytet.

- Wydawało mi się, że pańska matka jest bogata. Czy nie tak mi pan powiedział?

Spoważniał.

- Bo teraz rzeczywiście jest bogata. Stało się to głównie dzięki dobrze ulokowanym inwestycjom. Może to brzmi nieskromnie, ale mam talent do grania na giełdzie. Swego czasu nabyłem wiele udziałów na mamy nazwisko. Czy mam pani jeszcze powiedzieć, jakie to akcje i ile ich jest, czy już ojczulek podzielił się z panią tą wiadomością?

Zana czuła, że jej twarz robi się czerwona ze złości. Patrzyła przed siebie, próbując się uspokoić. Przez parę minut całkiem przyjemnie im się rozmawiało, dlatego Brian musiał znowu wszystko zepsuć?

- Wątpię, czy mi pan uwierzy, ale póki pana matka nie została żoną mego ojca, nie znałam nawet waszego nazwiska. W ogóle niczego o was obojgu nie wiem. Może i ja powinnam była zatrudnić detektywa. Nie musiałabym teraz stawiać tylu pytań...

- Trzeba było tak zrobić - przyznał i nieznacznie się uśmiechnął.

Ale Zanę niełatwo było udobruchać. Nie mogła pozbyć się uczucia irytacji.

- To był męczący dzień - powiedziała. - Pójdę już. Dobranoc! - I opuściła pokój.

Potem, leżąc w łóżku, rozpamiętywała ten spędzony z Brianem dzień. Wciąż nie wiedziała, co ma o nim sądzić. Był wcale miłym kompanem do momentu, gdy zaczynała go ogarniać podejrzliwość. Tak, podejrzliwość! To była jeszcze jedna znamienna cecha jego osobowości. Już tyle stron jego natury poznała: Brian walczący, dominujący i uwodzicielski; Brian sprawiedliwy i bezstronny, a czasem Brian bardzo dokuczliwy i przykry. W każdym ze swoich wcieleń był nieodgadniony i nieprzewidywalny. Obcując z nim była podniecona i zdenerwowana, jak na premierze baletu, ale też jak nigdy przedtem pełna wigoru i chęci do życia.

Gdy się nazajutrz przebudziła, Briana już nie było. Na kredensie leżała kartka wyjaśniająca, że wyjechał na kilka dni w interesach do Memphis. Widocznie, rozmawiając z matką przez telefon, zorientował się, że ona tak szybko nie zjawi się w Natchez, może więc śmiało wybrać się w podróż. Czytając jego notkę, Zana zasmuciła się, że Brian, wbrew obietnicy, nie pokaże jej rezydencji. A potem u dołu kartki zobaczyła postscriptum: „Wybierzemy się do rezydencji, gdy tylko wrócę do Natchez”. A więc jednak nie zapomniał...

Przez kilka następnych dni dom wydawał jej się dziwnie pusty. Czuła się osamotniona. Było to uczucie zupełnie jej przedtem nie znane. Od najmłodszych lat nauczyła się obywać bez towarzystwa i czuć się dobrze w samotności. Zwykle rodzice zabierali ją ze sobą, udając się na tournée, zdarzało się jednak, że nie mogła z nimi jechać i zostawała sama w internacie.

Nauczyła się wynajdywać sobie zajęcia i zagospodarowywać wolny czas: czytała książki, kładła pasjanse, rozwiązywała krzyżówki i robiła na drutach. Nawet po wypadku, gdy nie wykonywała już regularnych ćwiczeń i odpadły próby, zawsze znajdowała sobie coś do roboty.

Teraz na niczym nie potrafiła dłużej skupić uwagi. W ciągu dnia latała za sprawunkami, nadal dawała lekcje tańca i wciąż gimnastykowała swoje nadwerężone

kolano. Jak zawsze wracała do domu dłuższą drogą, by móc śledzić postępy w odbudowie rezydencji. Ale w tym wszystkim brak jej było celu i wyraźnie nudziła się. Nie miała w Natchez przyjaciół, których by mogła odwiedzać, ani przyjaciółek, z którymi mogłaby umawiać się na obiady. Przez to, że w dzieciństwie jej tryb życia przypominał życie nomadów, nie miała szansy, by zadzierzgnąć trwałe więzy przyjaźni. Miała nadzieję, że może Brian do niej zadzwoni. Ucieszyłaby ją nawet bardzo krótka rozmowa, ale nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. W ogóle nikt z bliskich nie odezwał się do niej. Telefon zadzwonił trzy razy. Raz telefonowała Cil, raz Jeff, który zaprosił ją do kina, a za trzecim razem to była pomyłka. Z ciotką rozmawiała przeszło godzinę. Starła się tak sterować rozmową, żeby unikać dyskusji na temat Briana, ale Cil ciągle do niego nawiązywała. Gdy się w końcu pożegnały, Zana czuła się wyczerpana, jak po wielogodzinnych próbach baletu.

Może właśnie dlatego zgodziła się pójść z Jeffem do kina. W momencie, gdy odłożyła słuchawkę, już wiedziała, że popełniła błąd. Nie mogła się jednak wycofać. Nie miała argumentu. Przecież nie mogła powiedzieć Jeffowi, że się zakochała w kimś innym. O Boże! - przeraziła się nie na żarty. Skąd jej przyszedł do głowy tak absurdalny pomysł. Dobrze, że się zgodziła pójść z Jeffem do kina, przynajmniej przez jakiś czas nie będzie myśleć o tym, co czuje do Briana.

On sam wrócił do domu w sobotę wieczór. Leżała w łóżku, na próżno chcąc się skoncentrować na czytanej książce, gdy nagle usłyszała jego samochód, wjeżdżający na podjazd, a po chwili szcęk przekręcanego w zamku klucza, który mu zresztą sama dała. Brian wrócił następnie do samochodu po rzeczy i zaczął je wnosić do domu.

Zaraz potem zastukał do jej drzwi i zjawił się przed nią w całej okazałości. Od razu przeszedł jej zły humor. Pomyślała, że Brian wygląda wspaniale, choć był nie-

wątpliwie zmęczony. Twarz ocieniał mu kilkuniedniowy zarost, był bez krawata i miał na sobie białą zmiętą koszulę z zawiniętymi do łokci rękawami.

- No, jak? Stęskniła się pani za mną? - Uśmiechnął się do niej.

- A co? Czy pan gdzieś wyjeżdżał?

Zaśmiał się, przeszedł przez pokój i usiadł na brzegu jej łóżka. Przez bawełniane prześcieradło czuła ciepło jego ciała. Żadne z nich nie odezwało się i przez nie kończące się sekundy jego intensywne, zielonookie spojrzenie trzymało na uwięzi jej błękitne oczy.

Nagle Brian wyprostował się.

- Nie czuję nóg ze zmęczenia, lepiej pójdę już do łóżka. Zobaczmy się rano. - Wstał i skierował się ku drzwiom. - Czy nadal wybieramy się odwiedzić rezydencję? - spytał.

Potaknęła. Była mu wdzięczna, że przerwał magię tego zbliżenia. Przez jedną obłądną sekundę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu, żeby z nią został. Ale gdy drzwi się za nim zamknęły, poczuła ulgę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zana była zbyt podniecona, by w spokoju delektować się poranną kawą. W mig ją wypita i już była gotowa do drogi. Całe lata słuchała wspomnień swego ojca o rezydencji Zacharych, a za chwilę miała ją nareszcie zobaczyć na własne oczy. To już nie będą ukradkowe spojrzenia z okien auta, ale prawdziwe zwiedzanie pałacu, i to z własnym przewodnikiem.

Russell dobrowolnie zrzekł się praw własności do tego domu, jakie mu się z urodzenia należały. Zrobił to idąc za głosem powołania, które mu kazało wybrać karierę muzyczną. Ale głęboko w duszy nigdy się nie pogodził z utratą siedziby, stanowiącej ważny element historii rodu. Ten dom był w posiadaniu ich rodziny od ponad stu trzydziestu lat, od dnia, kiedy Matthew Zachary zlecił jego budowę w dziewiętnastym wieku. Odtąd zawsze przechodził z ojca na najstarszego syna.

Pierwszy odziedziczył rezydencję Randolph, syn Matthew, potem syn Randolpha, Clyde, i ten ciąg dziedziczeń przerwał się dopiero wtedy, gdy Russell, wbrew woli swego ojca, nie chciał przejąć należącej do rodziny fabryki przyczep samochodowych.

Russell zawsze twierdził, że podjął słuszną decyzję i że gdyby matka Zany żyła, nigdy by nie wrócił do Missisipi. Ale Vivi zginęła i wraz z jej śmiercią nieoczekiwanie skończyło się zainteresowanie Russella muzyką. Wrócił więc do domu, chociaż domu, w prawdziwym sensie tego słowa, już dawno nie miał.

Brian otworzył bramę i wjechał na zarośnięty trawą i chwastami podjazd z cegieł. Była niedziela, na budowie nikt nie pracował. Zana i on byli tu całkiem sami.

Weszli na kamienne stopnie, prowadzące do drzwi wejściowych. Zana rozglądała się ciekawie dokoła.

Ten dom przypominał jej inną, powszechnie znaną na Południu rezydencję, słynny Stanton Hall. Oba domy ozdabiały wysokie białe kolumny, ciemne okiennice i podwójny portyk.

- Gdy tylko skończymy z odnawianiem wewnątrz, wezmę się za architekturę krajobrazu - zapowiedział Brian. - Zaproszę specjalistów, którzy dopilnują, żeby usunięto chwasty zarastające podjazd i ułożono na nowo cegły. Trzeba też przyciąć i wyrównać krzewy. Widzę, że niektóre drzewa uschły lub usychają. Może magnolie i te dęby, które są jeszcze w dobrym stanie, uda się uratować, ale koniecznie chciałbym wprowadzić tutaj azalie, żeby wzmocnić w ten sposób akcenty kolorystyczne.

- Już się domyślam, jak tu będzie pięknie... Pańskiej matce na pewno się to miejsce spodoba.

- Mama tu była i jest zachwycona. Jako zapalona ogrodniczka obiecuje, że założy na nowo ogród różany, jaki był tu kiedyś z tyłu domu.

Tak, ta praca na pewno wymaga zamiłowania - pomyślała Zana. Podczas swojej rekonwalescencji bardzo polubiła róże i nauczyła się o nie dbać. Gdy przyjechali z ojcem do Natchez i wynajęli dom, znalazła w ogrodzie dwa bardzo zaniedbane krzaki róż. Pielęgnowała je gorliwie, póki nie stały się znowu piękne, i zasadziła w pobliżu dwa nowe krzaki innej odmiany: Tropicana i Mister Lincoln. Teraz szczerze zazdrościła Caroline tego dużego i pięknego ogrodu.

Brian przekręcił duży klucz w zamku drzwi wejściowych i gestem wskazał Zanie, by poszła przodem. Po krótkim wahaniu przekroczyła próg i stanęła jak wryta, oszołomiona widokiem holu.

- Jaki piękny - szepnęła. - Właśnie taki, jak go sobie wyobrażałam.

- Malarze już tu prawie skończyli - objaśniał Brian.
- W tym tygodniu położą drugą warstwę farby. Do

odnowienia pozostaną tylko podłogi; trzeba je będzie pomalować i pociągnąć pokostem.

- A co z meblowaniem? - Hol na razie był pusty. Jedyne, co rzucało się w oczy, to wspaniały żyrandol.

- Część z tego, co zostało po licytacji oddałem do odnowienia. Udało mi się także kupić dwa autentyczne meble z epoki i mam zamiar poszukać ich więcej w sklepach z antykami. Chciałbym cały pałac urządzić dziewiętnastowiecznymi meblami.

- Jakie to piękne! - Zana wskazała ręką na ozdobny gzyms, wieńczący drzwi frontowe, a potem zainteresowała się tym, co jest na prawo od wejścia. - A tam?

- Tam będzie pokój muzyczny. Zamierzam kupić matce duży fortepian. Przed paru laty zaczęła uczyć się grać, a ma tylko stare zniszczone pianino. Nie mogę się doczekać, kiedy jej zrobię niespodziankę nowym fortepianem.

Brian oprowadzał Zanę po wszystkich pokojach, wyjaśniając, jakie było ich przeznaczenie u poprzednich właścicieli, a jakie zastosowanie znajdą teraz w rodzinie Westbrooków.

O większości spraw, które jej Brian relacjonował, Zana miała już jakieś pojęcie, musiała jednak przyznać, że jego znajomość faktów była naprawdę imponująca. Zupełnie jakby prowadził badania dotyczące przeszłości tego domu i jego dawnych mieszkańców. Okazało się, że na podstawie archiwalnych materiałów i książek dowiedział się niemal tyle, co ona wiedziała z opowiadań Russella i ciotki Cii.

W niektórych pokojach odnawianie ukończono, w innych daleko jeszcze było do końca remontu. Ogólnie biorąc stan rezydencji wskazywał na to, że można w niej będzie zamieszkać za jakieś dwa, trzy tygodnie. Zana nie mogła się uwolnić od uczucia zazdrości, że tylko patrzeć, a Brian wprowadzi się do tego wspaniałego domu. A co z jej ojcem? Należałoby sądzić, że skoro jest mężem Caroline, to i on zamieszka tu wraz z żoną.

Brian nie robił już niestosownych uwag na temat Russella. Ale widok rezydencji zrodził z kolei w samej Zanie pewne wątpliwości. Może jej ojciec żeniąc się z Carohne miał jednak jakieś ukryte pobudki. Wędrowniczka po rezydencji wzmaczała jej podejrzenia. Ojciec opuścił rodzinę i dom, który był jego dziedzictwem, jako bardzo młody człowiek. Zana wiedziała, że nieraz tego kroku żałował. Szczególnie często wspominał o tym, od kiedy powrócili do Natchez. Czyżby małżeństwo z Carohne jawiło mu się jako jedyna szansa na odzyskanie tego, co kiedyś do niego należało? Zana miała nadzieję, że tak nie jest. Modliła się, by to nie było prawdą.

I znowu uprzytomniła sobie, że wkrótce będzie musiała podjąć ważne decyzje w sprawie swojej przyszłości. Russell już jej nie potrzebował ani jako gospodyni, ani jako towarzysza. Mogła więc zupełnie swobodnie dysponować swoją osobą. Myślała o tym z lękiem, i z nadzieją. Większość swego życia spędziła służąc dwóm panom - baletowi i rodzinie. Teraz pozostawała jej już tylko troska o siebie. Mogła zostać w Natchez i w dalszym ciągu dawać lekcje tańca. Mogła przyjąć propozycję Kurta i podjąć pracę w jego angielskim zespole. Istniała też szansa ewentualnego powrotu na scenę. Zana nigdy dotąd nie miała żadnej alternatywy, gdy chodziło o wybór życiowej drogi. Teraz nieoczekiwanie otworzyło się przed nią wiele możliwości.

- Pozwól, że cię opuszczę na parę minut - przerwał jej rozmyślenia Brian. - Chcę coś sprawdzić na strychu. Jeślibyś jednak zdecydowała się sama pójść na górę, to trzymaj się zachodniej strony domu. We wschodnim skrzydle, gdzie ma zamieszkać moja mama, nie położono jeszcze dywanów. Pełno wszędzie gwoździ, taśm i różnych resztek.

Korzystając z nieobecności Briana postanowiła sama przejść się po pustych salach i zapoznać z ich architektonicznym wystrojem. Jeszcze raz obeszła

parter, potem udała się na górę. Przechodziła z pokoju do pokoju, omijając miejsca, gdzie roboty nie były jeszcze ukończone. W końcu zatrzymała się w sypialni pana domu. Otworzyła okno wychodzące na ogród i z lubością wdychała słodki zapach, płynący z bujnie obsypanych kwieciami gałęzi pobliskiego drzewa.

Ta sceneria przywiodła jej na pamięć opowiadanie ojca o protoplaście rodu, Matthew Zacharym. Podobno zjawił się w Luizjanie zaledwie w kilka lat po bitwie o Nowy Orlean. Przyjechał z Rhode Island i zakochał się w Lisette, pannie z arystokratycznej francusko-kreolskiej rodziny. Ożenił się z nią i przywiózł do Natchez. Ten dom wzniesli wspólnymi siłami. Lisette zapewne spacerowała po nim tak, jak to Zana czyniła dzisiaj. Rozmyślała może nad właściwym ustawieniem mebli, nad obudową pokoi, a potem prawie marzyła o dzieciach, które miał im dać los.

Jeszcze raz przeszła się po sypialniach, a potem skierowała się do holu w poszukiwaniu Briana. Minęło już więcej niż dwadzieścia minut od chwili, gdy ją opuścił. Co też trzyma go tak długo na strychu? Zatrzymała się w pół kroku, bo dostrzegła go na górnym podeście. Oglądał z zaciekawieniem jakiś duży" oparty o ścianę portret.

- Czy pani wie, kto to jest? - spytał, gdy podeszła.

Rzuciła okiem na obraz i zdębiała. Gdyby nie fryzura i strój, mógłby to być równie dobrze jej portret. Russell i ciotka Cil zawsze twierdzili, że jest podobna do swojej babki. Zgodziła się z nimi po obejrzeniu rodzinnych fotografii, ale dopiero teraz przekonała się, jak wielkie było podobieństwo. Miała wrażenie, że to ona przebrana na bal kostiumowy patrzy na swoje odbicie w lustrze.

- To moja babka, ta, po której otrzymałam imię...

Dziewczyna z portretu miała takie same czarne włosy jak Zana, ale ściągnięte na jedną stronę i spływające bujnymi falami na suknię z niebieskiej satyny. Jej fiołkowe oczy miały identyczny odcień i wykrój, co

oczy jej wnuczki, i wydawały się spoglądać na Zanę. Delikatnie dotknęła krawędzi ozdobnej ramy. W jednym rogu zauważyła głębokie pęknięcie. Powierzchnia ramy była podrapana i wyszczerbiona.

Gdzie pan go znalazł?

Leżał pośród rupieci, które kierownik budowy znalazł na strychu. Są tam jeszcze inne rodzinne portrety i fotografie. Zapraszam panią do ich obejrzenia, jeśli ma pani ochotę. Ten portret szczególnie mi się spodobał. Pomyślałem, że miło pani będzie go zobaczyć... - Mówiąc to zaczął schodzić schodami w dół, ale zatrzymał się w pół drogi. - Czy nie uważa pani, że podobieństwo jest zaskakujące?

Tak, Zana też tak sądziła, a widząc swoje własne odbicie w twarzy babki doznała, jak nigdy dotąd, silnego uczucia przynależności do rodziny.

Poszukała wzrokiem Briana. Zobaczyła, że stoi na dole schodów i dziwnie na nią patrzy. Powoli zstępowała stopniami w dół, a gdy stanęła tuż przed nim, on wyciągnął ku niej dłoń i pogładził jej policzek. A potem, niemal jak na zwolnionym filmie, wziął ją w ramiona i całując w usta skłonił do odwzajemnienia pocałunku. Zamarła z wrażenia. Musiała uchwycić się słupka poręczy. Nigdy przedtem nie doznała podobnego uczucia.

Powoli Brian zwolnił uścisk i oderwał usta od jej warg. Patrzył jej teraz głęboko w oczy.

Ty także mnie pocałowałaś, wiesz? - zapytał po dłuższej chwili.

Zana spoglądała na niego z najwyższym zdumieniem i konsternacją. Nic nie mówiła. Nie mogła.

To prawda! Pocałowałaś mnie! - powtórzył.

W dalszym ciągu patrzyła na niego bez słowa.

- Nie myśl, że cię przeproszę. Ani trochę nie żałuję tego, co zrobiłem. Trzeba być świętym, żeby ci się oprzeć. - Nagle znowu wziął ją w ramiona i po raz drugi ucałował. Wypuścił ją jednak niemal natychmiast z objęć. - Jak widzisz, bynajmniej nie jestem świętym!

- I po tym wszystkim zostawił ją, odszedł, zniknął za drzwiami.

Kto z nich dwojga oszalał? - zastanawiała się. On? Ona? Oni oboje? Ten mężczyzna to wielka niewiadoma. Każda minuta z nim utwierdzała ją w przekonaniu, że jest dziwny i skomplikowany.

Gdy parę chwil później Zana wyszła przed dom, Brian stał tam oparty o jedną z masywnych kolumn portyku. Nie wiedziała, jak ma się po tym pocałunku zachować. Czy ma się do niego odezwać, czy raczej iść prosto do samochodu. Wybrała to drugie, ale, gdy przechodziła obok niego, chwycił ją za łokieć i patrząc jej poważnie prosto w oczy, powiedział szorstko:

- Nie chciałbym, żebyś się za wiele po tym, co zaszło, spodziewała.

Zana wsiadła do samochodu, zapięła pas i siedziała, patrząc przed siebie. Wątki załączki przyjaźni, jakie zaczęły się między nimi tworzyć, teraz się rozmyły, a wszystko przez ten nieoczekiwany pocałunek. Zastanawiała się, czy będzie potrafiła nadal przebywać w jego bliskości i jak się będzie czuła.

Była zła, najbardziej na samą siebie. Nie powinna mu pozwolić się całować, a już w żadnym razie nie należało oddawać mu pocałunku. Wciągnął ją w emocjonalną pułapkę, z której nie umiała znaleźć wyjścia. Co takiego było w Brianie Westbrook, że udało mu się doprowadzić ją do takiego stanu?

Nie pojechali, jak się spodziewała, do domu, ale po drodze powiadomił ją, że zamówił dla nich stolik w restauracji. Wcale nie miała ochoty dłużej spędzać czasu w jego towarzystwie, ale nawet nie spytał jej o zdanie. Łatwiej było zgodzić się na ten plan, niż protestować. Bała się, że przy okazji kłótni mogłoby się wydać, jak dalece jego pocałunek wyprowadził ją z równowagi. A poza tym na pewno lepiej przebywać z nim w restauracji, niż sam na sam w domu.

- Wyjeżdżam dziś po południu - oznajmił jej, gdy usiedli przy stoliku. - Z samego rana mam spotkanie

w interesach w Gulfport, a potem wracam do Memphis.

Na jak długo? spytała.

Na zawsze!

Zamilkła.

Chyba cię to nie martwi? Zdawało mi się, że chcesz się mnie pozbyć.

Położyła kartę menu z powrotem na stół.

- Nie rozumiem twego postępowania. A co z naszymi rodzicami? Wkrótce powinni wrócić. Sądziłam, że chcesz się z nimi spotkać.

- Mogę z tym zaczekać.

Nie do wiary! - zawołała głośno. - Szukałeś ich u mnie w studio, szukając ich pojechałeś za mną do Nowego Orleanu, a potem do Jackson... - Zauważyła, że jej zachowanie zaczyna wzbudzać zainteresowanie gości restauracyjnych i ściszyła głos. - Najpierw się wprowadzasz do mego domu, a potem ni stąd, ni zowąd wyjeżdżasz...

- Chyba się zgodzisz, że to najślusniejsze, co mogę zrobić, po tym co zaszło między nami w rezydencji.

- Przez jego twarz przemknął lekki uśmiech. - A może złościsz się właśnie z tego powodu, że opuszczam twój dom? Pewnie się już czułaś w rezydencji Zacharych jak dziedziczka? Jeśli tak, to radzę zmienić plany. Nie będzie następnych związków małżeńskich, łączących Zacharych i Westbrooków. Nie jestem tak naiwny jak moja matka.

- Ach ty... egoistyczny głupcze! Nie wysłabym za ciebie, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemi.

- Co za dramatyczne określenie! Trochę w stylu twojej ciotki, choć ciotka nie uważa, żebym się nie nadawał na męża.

- Nie mieszaj do tego mojej ciotki! Jeśli stwierdziła, że nadajesz się na męża, to tylko dlatego, że nie wiem czemu, uważa cię za porządnego człowieka, za kogoś, kogo chętnie widziałaby jako męża swojej bratanicy. Ale gdy tylko będę miała okazję z nią porozmawiać, to

na pewno pozbawię ją wszelkich złudzeń co do twojej osoby.

- Widzę, że jesteś do mnie bardzo wrogo nastawiona. Czyżbyś nie mogła znieść, że nie postępuję zgodnie z tym, co sobie zaplanowałam?

- Ty masz chyba jakąś obsesję na tym punkcie... ale nie zapominaj, żeś mnie pocałował.

- A ty się wcale nie broniłaś. Odniosłem nawet wrażenie, że czekałaś na dalsze pocałunki.

Ze złością odsunęła talerz.

- Nie jestem głodna. Wyjdźmy stąd.

- Ale ja jestem głodny. Nie mam zamiaru rezygnować z obiadu tylko dlatego, że się dąsasz, bo nic nie wyszło z twoich planów.

- Jedyne plany, jakie mam w stosunku do ciebie to, żeby się wreszcie od ciebie uwolnić. Coraz mi trudniej znieść twoją odrażającą arogancję.

- To dziwne, ale nie okazywałaś odrazy, gdy tak prowokacyjnie muskałaś moje wargi.

- Brian, jesteś najobrzydliwszym mężczyzną, jakiego znam!

- Dziękuję za komplement! - odciął się i ku jej zdziwieniu roześmiał się. Potem przywołał kelnera i zamówił dla nich obojga omlety.

Do końca obiadu siedziała nic nie mówiąc, tylko od czasu do czasu zjadała kęs omletu. Prawie cały czas spoglądała w okno.

- Nie wiem, czym się tak przejmujesz - odezwał się Brian, gdy kelner przyniósł rachunek.

- Ja się nie przejmuję... ja...

- Cały czas narzekałaś i chciałaś się mnie pozbyć. Teraz nareszcie spełnia się twoje życzenie. Skończyłaś już jeść? Bo jeśli tak, to możemy stąd pójść. - Podpisał się na odcinku karty kredytowej, wstał i pomógł jej wstać.

Oboje milczeli w czasie krótkiej drogi powrotnej do domu. Brian odezwał się dopiero, gdy wjechali na podjazd i wyłączył silnik.

Nie przyzwyczajaj się za bardzo do mojej nieobecności. Wróć, gdy tylko pojawią się nasi rodzice.

Miała na końcu języka zgryźliwą odpowiedź, ale się powstrzymała. Doszła do wniosku, że się właściwie cieszy z jego wyjazdu. Rozstanie da jej szansę na spokojne przemyślenie wszystkiego, co się dotąd wydarzyło.

Brian zaniósł bagaże do samochodu i powiedział jej na odchodnym, że za kilka dni przyśle ludzi, by przenieśli wszystkie jego biurowe urządzenia do rezydencji.

Masz moją wizytówkę - dodał - więc gdybyś mnie potrzebowała, to zadzwoń, a moi pracownicy w Memphis pomogą ci mnie zlokalizować.

Podarłam tę wizytówkę, a zresztą do czego bym miała ciebie potrzebować?

Ze zniecierpliwioną miną wyjął nową, przyczepił ją magnesem do lodówki i wyszedł.

Zana miała tej nocy kłopoty z zaśnięciem. Bezskutecznie próbowała wymazać Briana ze swojej pamięci. Zdrzemnęła się nad ranem, a zbudziła dopiero po jedenastej.

Po południu miała lekcje, więc szybko posłała łóżko, ubrała się i pojechała do studia. Jak zwykle przed przyjściem uczennic zajęła się gimnastyką. Szczególną uwagę poświęcała ćwiczeniu nogi, ale nie zaniedbywała także ogólnego treningu. Dziś jednak nic jej nie wychodziło. Nie mogła się na niczym skoncentrować, bo wciąż myślała o Brianie.

Po raz któryś zaczęła ćwiczyć od początku. Liczyła na to, że odpowiednia gimnastyka pomoże wzmocnić siłę mięśni i zwiększy giętkość ruchów. Wszystkie jej wysiłki wydawały się jednak płonne. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Nigdy przedtem żaden mężczyzna nie potrafił odciągnąć jej uwagi od baletu. Zawsze było odwrotnie. Ponowiła próbę. Zluzowała chwyt i powtórzyła serię wyczerpujących ćwiczeń przy drążku.

Dawniej, ilekroć silniej opierała się o zranioną nogę, ostry ból przypominał jej o ograniczeniach stawu kolanowego. Ale z każdym dniem następowała poprawa i ostatnio kolano przestało się buntować. Doszło do tego, że mogła nawet wykonać *grand jeté* czy *tour en l'air*, nie odczuwając większych bólów.

Bezpośrednio po wypadku Zana pogodziła się z opinią lekarzy, którzy twierdzili, że już nigdy nie będzie mogła tańczyć profesjonalnie. Teraz, widząc, że stan jej zdrowia ulega stałej poprawie, zaczęła wierzyć, że być może eksperci medycyny byli w błędzie. Postanowiła zasięgnąć jeszcze jednej fachowej porady i udać się do znanego specjalisty w Nowym Orleanie.

Wyszła z gabinetu ortopedy prosto na deszcz. W Nowym Orleanie lało. Nie przykryła jednak głowy ani nie popędziła do samochodu. Co tam deszcz, gdy rozpierała ją radość, że jej zraniona w wypadku noga wróciła już do normy. Po niezliczonych zdjęciach rentgenowskich, testach i próbach doktor Neiman potwierdził jej własne spostrzeżenia.

- Tak - powiedział - może pani znowu tańczyć.

Ale jak dobrze będzie tańczyła, tego nie był w stanie przewidzieć. Tylko czas mógł przynieść odpowiedź na to pytanie. Niemniej nie było już przeszkód, by powróciła do zawodu baleriny i występowała na scenie.

Jeszcze parę tygodni temu taka wiadomość byłaby dla niej nie kończącym się powodem do radości i wesela, ale tyle się działo ostatnio w jej życiu, że werdykt ortopedy tylko ją jeszcze bardziej rozstroił.

Czuła, że musi z kimś na ten temat porozmawiać i pojechała prosto do ciotczynej rezydencji, żeby pogadać z Cil

- Wejdz, kochanie! - ucieszyła się ciotka. - Przygotowałam dla ciebie mrożoną kawę. - Cii miała dziś na sobie kaftan w granatowo-czerwonych barwach fuksji, pokaźne klipsy w kształcie winogron i złote pantofle na koturnach. Wskazała bratanicy drogę do salonu. Ko-

cur Sid leżał na jednej z dwuosobowych kanapek i nie spuszczał z Zany oczu, jakby chciał ją ostrzec, by nie ważyła się ruszyć go z miejsca. Zana wołała uniknąć zatargu z kocurem i usiadła na fotelu.

Ciotka napełniła szklanki zimną czarną kawą, podała do niej cukier i bitą śmietankę, a potem poprosiła Zanę o relację z wizyty u lekarza.

- Opowiedz mi wszystko od początku - zażądała i Zana dokładnie opisała jej przebieg swojej wizyty u ortopedy. - To cudownie - szepnęła Cii, klepiąc Zanę z uznaniem po ramieniu. Widać było, że szczerze cieszy się z jej powrotu do zdrowia. - Nię rozumiem tylko - wytknęła jej po chwili - dlaczego nie skaczesz pod sufit z radości. Sądziłam, że bardzo pragnęłaś móc wrócić na scenę...

- I ja tak myślałam - odparła Zana. - Ale albo to jeszcze do końca do mnie nie dotarło, albo czuję się zagubiona, bo tyle się teraz wokół mnie dzieje...

Ciotka przyjrzała jej się z uwagą.

- Co masz na myśli, mówiąc że „tyle się dzieje”?

- No, wiesz... małżeństwo ojca, spotkanie Briana i Caroline.

- Ach tak, Brian... to brzmi interesująco. Byliście w Natchez tylko we dwoje. Powiedz, co się wydarzyło!

- Nic się nie wydarzyło. Przecież wyraźnie powiedziałam, że chodzi także o Caroline.

Dać kurze grzędę... a ona. . już cię widzi w kościele w białej sukni... - pomyślała z goryczą.

- Nie wydaje mi się, żeby to Caroline stwarzała ci jakieś problemy - upierała się Cil. - Raczej wygląda na to, że moja bratanica nareszcie znalazła odpowiedniego mężczyznę. Czy ci nie mówiłam, że to człowiek o szczególnych zaletach? To na pewno była miłość od pierwszego wejrzenia, mogę się założyć...

- Nie wygłupiaj się, ciociu - zaprotestowała Zana wstając. Tak naprawdę to ciotka nie bardzo się myliła. A Zana, choć nigdy nie wierzyła w istnienie miłości od pierwszego wejrzenia, teraz, gdyby chciała być szczerą,

musiałaby przyznać, że jej serduszko zabiło mocniej, gdy spotkała Briana. Zabiło mocniej nie tylko tego pierwszego deszczowego dnia, gdy Brian zjawił się w jej studiu, ale od tej pory biło tak za każdym razem, gdy o nim pomyślała.

Niezaprzeczalną prawdą było też, że gdy się całowali podczas jej wizyty w rezydencji, to przez sekundę pomyślała, że cudownie byłoby pozostać z Brianem do końca życia. Dopiero potem przyszła krytyczna refleksja, czy aby skutkiem wypadku, któremu swego czasu uległa, nie uległ także uszkodzeniu jej rozum... Może te szokujące zmiany, jakie obserwuje w swoich procesach myślowych, są po prostu spóźnioną reakcją po katastrofie?

Najsmutniejsze było to, i była tego niestety pewna, że uczucia, jakie żywił dla niej Brian, różniły się diametralnie od tego, co ona czuła do niego. Wyjaśnić jej to w tyleż bolesny, co dosadny sposób.

Zadawała sobie pytanie, czy on tylko domyślał się stanu jej uczuć, czy może odgadł prawdę z wyrazu jej twarzy podczas obiadu w restauracji? Na pewno musiał coś zauważyć, bo gdyby było inaczej, nie miałby powodu ostrzegać jej, że już nie będzie następnych związków małżeńskich między Zacharymi i Westbrookami.

Kostki lodu, które ciotka pracowicie wrzucała do jej szklanki, zadzwoniły o szkło i Zana otrząsnęła się z zadumy. Wróciła do rzeczywistości. Dolała sobie kawy i zmieniła temat rozmowy, przenosząc go na Russella i Caroline. Cii też nie upierała się, żeby mówić o Brianie i przez resztę dnia nie było już o nim więcej mowy.

Zana wróciła do Natchez następnego dnia rano i udała się wprost do studia. W południe miała telefon od ojca. Zapowiedział, że wraca Caroline jeszcze tego samego dnia o szóstej wieczorem. Okazało się, że tylko o kilka godzin rozminęła się z nimi w Nowym Orleanie.

W domu wzięła się natychmiast za porządki i przygotowanie kolacji. Cieszyła się, że ma pełne ręce roboty,

bo to odrywało jej myśli od Briana. Na szczęście zrobiła poprzedniego dnia zakupy i jedzenia było pod dostatkiem. Miała wszystko, co jest potrzebne do przyrządzenia kurczaka po burbońsku. Ta potrawa była jej specjalnością a przy tym świetnie nadawała się na powitalną kolację.

Mieszkanie było pięknie wysprzątane, kurczak skwierczał na patelni, i gdy tylko usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu, pobiegła powitać Russella i Caroline.

Podczas kolacji przypatrywała się ojcu. Siedział po drugiej stronie stołu, naprzeciw niej, i nie mogła się nadziwić, że tak świetnie wygląda. Był opalony, wypoczęty, a ból, który przywykła widzieć w jego oczach, zniknął bez śladu... Nawet się parę razy roześmiał i to na cały głos. Widać dobrze mu było z Caroline.

- Trzeba ci było zobaczyć ojca, jak tańczył kubańską kongę - śmiała się Caroline, mrugając do Zany porozumiewawczo. - Musiałam użyć gróźb, aby go skłonić do tańca, bo z początku nie chciał.

- Te metody są chyba u nich rodzinne... - mruknęła pod nosem Zana.

- Czy coś mówiłaś, kochanie?

- Ach, nie! Opowiedzcie mi coś więcej o waszym rejsie po Karaibach.

- Bawiliśmy się cudownie. Byliśmy codziennie na dansingu. Gdy mi się wreszcie udało wyciągnąć Russella na parkiet, okazał się świetnym tancerzem. Żebyś widziała, jak nam się cudownie walcowało... było jak w niebie... Ale teraz ty nam opowiedz, co tu się działo. Co myślisz o Brianie? I gdzie on się podziewa? Myślałam, że go tu zastanę, ale gdy zadzwoniłam do jego biura, powiedziano mi, że wyjechał służbowo do Nashville.

- Jestem przekonana, że wkrótce tu się zjawi - zapewniła ją Zana i zaraz spróbowała zmienić temat. - Jak długo znaliście się przed ślubem? Tatusiu, opowiedz mi, jak to się zaczęło.

Zana zauważyła, że ojciec nerwowo manewruje palcem przy kołnierzu koszuli i zrozumiała, że coś jest nie tak. . Russell całe życie starał się unikać trudnych sytuacji. Czyżby się niepokoił, że tym razem nie uda mu się wymigać i w końcu dojdzie do spięcia z Brianem?

Ale po chwili Russell zaczął mówić i nawet się rozgadał.

- Można by powiedzieć, że znalazłem się na terenie rezydencji z pogwałceniem praw prywatnej własności.

- Spojrzał na Caroline i widocznie to go natchnęło nagłą odwagą, bo uniósł głowę i mówił silnym głosem.

- Jak pewnie wiecie, nie byłem w rezydencji od prawie czterdziestu lat. Widziałem, że kręcą się tam robotnicy, więc sobie pomyślałem, że może mi się uda rozejrzeć trochę dokoła, a właściciele nigdy się o tym nie dowiedzą. Tymczasem okazało się, że na budowie była Caroline. Wyglądała zjawiskowo pięknie; myślałem, że śnię.

- Na moje szczęście wcale nie śniłeś, ale byłeś jak najbardziej przytomny. I co za kapitalny zbieg okoliczności, że zjawiłeś się na budowie akurat tego samego dnia, gdy na prośbę Briana przyszedłem, żeby sprawdzić, jak postępują prace ciesielskie. - Zaśmiała się. - W każdym razie Russell wszedł do domu, przedstawił mi się, ja też powiedziałam, kim jestem, a potem zaprosił mnie na obiad.

- Chyba już wtedy wiedzieliśmy, że się w przyszłości pobierzemy - stwierdził Russell, gładząc dłoń Caroline.

- Ale jak wam się udawało tak spotykać, żebyśmy ja niczego się nie domyśliła? - spytała Zana.

- To wcale nie było trudne. Rano zawsze śpieszyłaś się do studia i nie było cię potem przez wiele godzin. Nie mogłaś zauważyć, że ja się w tym czasie z kimś spotykam. Gdy ty byłaś w pracy, my z Caroline spotykaliśmy się codziennie na obiedzie, a potem chodziliśmy na długie spacerunki po mieście. Nic szczególnego się nie działo, bo chociaż podczas rejsu udawało jej się

wyciągać mnie każdego wieczoru na ańce, to tak naprawdę wolę prowadzić spokojny tryt życia. Przez te wszystkie lata, gdy występowałem na scenie, miałem aż nadto rozrywek.

Po tygodniu - kontynuowała Caroline musiałam wrócić do Memphis. Ale że Brian w tym czasie wyjechał do Europy i czułam się bardzo samotna, więc długo się nie namyślając znowu przyjechałam do Natchez, zobaczyłam się z Russellem i zaczęliśmy. . od pieca. Znowu chodziliśmy razem na obiady i na spacer po mieście, ale nigdy wieczorami, bo ja, tak jak twój ojciec, nie jestem „nocnym markiem”. Prawdę mówiąc - spojrzała na zegarek - robi się późno. - Wstała i zaczęła zbierać ze stołu naczynia.

- Proszę zostawić, już ja się tym zajmę - sprzeciwiła się Zana.

- Nie ma mowy, muszę ci pomóc.

- Nie dzisiaj, kiedy jesteście oboje zmęczeni po podróży - stanowczo oponowała Zana.

- Tak, tak, Zano - włączył się Russell. - Jeśli ci to nie robi różnicy, to pójdziemy z Caroline do łóżka. Już w drodze skarżyła się, że jest zmęczona.

Mimo to Caroline jeszcze trzy razy wracała po naczynia i zносиła je do kuchni, zanim udało się Russellowi zaciągnąć ją do sypialni.

Przy tej okazji Zana mogła się przekonać, że Caroline wcale nie jest takim potulnym kobieciątkiem, jakim się jej początkowo wydawała. Nie znając jej, kierowała się w swojej ocenie tylko wyglądem Caroline i opiekuńczym, a właściwie nadopiekuńczym stosunkiem do niej Briana. Tymczasem Caroline niewątpliwie należała do ludzi, którzy lubią brać sprawy we własne ręce i najwyraźniej przekazała tę cechę synowi.

- Dobranoc! - powiedzieli jej unisono starsi państwo i poszli spać.

Zmywając naczynia Zana podsumowywała wrażenie z minionego wieczoru. Russell wyglądał na szczęśliwego. Zauważyła jednak coś nowego w jego osobowości,

coś, czego na razie nie potrafiła określić. Nie chodziło o to, że wrócił mu dawny wigor. Był w nim teraz jakiś wewnurzny żar, którego nigdy przedtem nie dostrzegała.

Rozwiesiła ścierkę na suszarce, żeby szybciej wyschła, i spojrzawszy w szybę kuchennego okna, ujrzała odbicie własnej twarzy. Malował się na niej wyraz przygnębienia. Usiłowała przeanalizować swoje uczucia do macochy i do tak bardzo odmienionego ojca, ale nie znalazła w sobie odpowiedzi na pytanie, co do nich czuje.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Od dnia, w którym jej ojciec się ożenił, Zaną męczyło uczucie, że jest nikomu niepotrzebna, jak piąte koło u wozu. Caroline z radością przejęła opiekę nad Russellem, choć wymagało to pewnego wciągnięcia się w nowe obowiązki. Żona ojca okazała się kobietą niezwykle aktywną: gotowała, sprzątała, załatwiała sprawunki i jeszcze nadzorowała prace przy renowacji rezydencji.

Nawet Russellowi udzieliła się jej energia. Chodził za nią jak cień. Razem z nią doglądał robót na budowie, pomagał jej w kuchni i znowu zaczął grać na skrzypcach. Caroline akompaniowała mu na starym pianinie, przywiezionym tą samą ciężarówką, która zabrała Briana komputer i wszystkie urządzenia elektroniczne.

Zana przekonała się w krótkim czasie, że Caroline, pomimo swej kobiecości, była twarda, że pod fasadą delikatności kryła się stalowa siła woli. Zana miała zawsze wiele podziwu dla kobiet z charakterem, na przykład takich jak ciotka Cii. Przy całym swym podziwie dla Caroline czuła jednak do niej jakąś bliżej nie sprecyzowaną niechęć.

Chociaż macocha robiła co mogła, żeby ją sobie pozyskać, niezbyt jej się to udawało. Zana wciąż tęskniła za matką i nie była skłonna zaakceptować kogoś innego w tej roli. Szczególnie kogoś, kto tak bardzo różnił się charakterem od Vivi. Jej matka była cichą, zamkniętą w sobie kobietą, ustawicznie cierpiącą to na migreny, to znów na zaziębienia. Natomiast Caroline cechowała ogromna witalność; miała silny organizm i końskie zdrowie.

Zana, jakby w odruchu samoobrony, starała się trzymać z daleka od domu. Wychodziła do studia możliwie najwcześniej i jak najpóźniej wracała. Nie było żadnej istotnej przyczyny, aby cierpiała z powodu ożenku ojca, a jednak, choć było to irracjonalne, cierpiała, i wcale jej nie pomagał widok Russella i machochy, gruchających jak para gołąbków.

Przedłużające się pobyty Zany poza domem miały jeszcze inny cel. Większość jej uczennic była teraz na wakacjach i studio stało przez wiele godzin puste. Każda dodatkowa godzina intensywnych ćwiczeń umacniała w niej przekonanie, że to, co jej powiedział lekarz, jest prawdą. Zabieg chirurgiczny, jakiemu ją poddano tuż po wypadku, był bardziej udany, niż sądzono. Teraz jednak, kiedy wiedziała, że może znowu występować na scenie, nie była pewna, czy i jak bardzo tego pragnie.

Dotychczas wierzyła, że gdyby miała szansę powrotu na scenę, to chwyciłaby się jej rękami i nogami. Obecnie po raz pierwszy zwątpiła, czy rzeczywiście wybrałaby tę opcję. Może narzucona jej przez okoliczności przerwa w pracy sprawiła, że nie pragnęła już tak bardzo występować? Nie była nawet pewna, czy kiedykolwiek tego pragnęła. Być może ambicje, które ją tam wyniosły, nie były jej ambicjami, lecz rodziców? Tańczenie wciąż sprawiało jej ogromną radość, ale to, że kochała taniec nie musiało być równoznaczne z występowaniem przed publicznością. Czy naprawdę chciała być solistką? Primabaleriną? I jeszcze jedno: choć lekarze uznali ją za zdrową, Zana nadal nie wiedziała, jak dalece sprawne jest jej kolano. To prawda, że mogła już teraz wykonywać nawet bardzo trudne ćwiczenia. Niemniej zdarzało jej się co jakiś czas, że kolano nagle sztywniało. Bała się, że może się ugiąć. Niepokoiło ją także, że zbyt często musi jeszcze sięgać po aspirynę. Pomijając problemy zdrowotne, Zana zastanawiała się również, czy ma jeszcze w sobie ową przebojowość i pewność siebie, niezbędne do osiągnięcia

nięcia sukcesu. Bez tego ryzykowała, że może zostać przeniesiona do zespołu, jako jedna z szeregowych baletnic.

Spojrzała na ścienny zegar. Było już po szóstej. Pewnie wkrótce zadzwoni Russell, żeby się dowiedzieć, co u niej słychać. Bawiła ją troskliwość ojca. To była u niego zupełnie nowa cecha i niewątpliwie należało ją przypisać wpływowi Caroline. Jak to możliwe, dziwiła się Zana, że opiekuńcza z natury Caroline mogła wychować syna na takiego sobka, jak Brian

Nie rozumiała, dlaczego Brian nie pokazał się jeszcze w Natchez, skoro od powrotu ich rodziców minął już prawie tydzień. To oburzające - myślała że tak mu było pilno do konfrontacji z jej ojcem, a teraz trzyma się na uboczu. Chyba że jakieś ważne interesy nie pozwalają mu wrócić. Caroline zapewne wiedziała coś więcej na ten temat, ale się z tym nie zdradzała, a Zana nie chciała jej wypytywać. Wjakimś sensie czuła nawet ulgę, że nie słyszy dokuczliwych uwag Briana.

Domyślała się, że Caroline ostatnimi czasy rozmawiała z synem, bo wciąż powoływała się na jego opinię: „Brian powiedział to, Brian powiedział tamto”. Czasem do tych relacji dołączał swoje trzy grosze Russell i, o dziwo, wymawiał imię Briana zupełnie swobodnie, wcale przy tym nie błędąc. Widać Caroline także w tym przypadku potrafiła dodać swemu mężowi odwagi i pewności siebie.

Zbliżał się piątek i Zana postanowiła pojechać do Nowego Orleanu, żeby wprosić się do ciotki Cii na weekend. Domyśliła się z różnych uwag ojca, że Brian ma w piątek lub w sobotę zjawić się w Natchez. Wolała być wtedy nieobecna.

Wprawdzie Russell zdobył się na odwagę, by stanąć oko w oko ze swoim pasierbem, ale ona wolała, gdy Brian wróci, znaleźć się w odległości setek mil od domu. Nie miała najmniejszej ochoty być świadkiem ostrej polemiki, do której mogłoby dojść przy spotkaniu obu panów. Miała też nadzieję, że wyjeżdżając uniknie

niepotrzebnych emocji, które wywoływało każde wspomnienie o pocałunkach w rezydencji.

Weekend w Nowym Orleanie dałby jej również szansę na zdystansowanie się do ostatnich przeżyć i spokojne przeanalizowanie, co czuje do Briana i jak ostatecznie ocenia małżeństwo swego ojca. Tymczasem los pokrzyżował jej plany: po przyjeździe do ciotki okazało się, że z weekendu nici, bo Cil właśnie wybiera się z wizytą do Natchez.

- Nie mogę się już doczekać chwili, gdy znów zobaczę nasz stary dom - wyznała, obejmując Zanc na powitanie.

Tego samego dnia, późnym popołudniem dotarły do Natchez, jadąc każda swoim samochodem. Jedna po drugiej wjechały na podjazd, prowadzący do domu Zany. Wsiadły i spotkały się przed drzwiami wejściowymi. Ciotka trzymała w ręku okazałą torbę, w której przewoziła Sida.

- Słyszałam od Caroline o zmianach, jakich Brian dokonał w rezydencji. Ciekawa jestem, czy przypomina ona jeszcze ten dom, który mam w pamięci. Podobno Brian oprowadzał cię po nim. Co wtedy myślałaś? Czy był taki, jakim go sobie wyobrażałaś? Czy spodobał ci się nasz stary pałac?

- Tak, rezydencja Zacharych jest nadal bardzo piękna - przyznała Zana, gdy udało jej się w końcu dojść do słowa. - Uważam też, że sposób, w jaki przeprowadzono renowację jest niezwykle ciekawy. To tak, jakby ktoś na nowo tworzył historię...

Była trochę zaskoczona tym, że Brian zwierzył się matce, iż oprowadzał ją po rezydencji. Miała nadzieję, że nie opisywał zbyt szczegółowo ich pobytu w starym domu i pominął milczeniem pocałunki na schodach i dyskusję, jaka się potem między nimi wywiązała.

Wylewna jak zawsze Cil serdecznie uściskała Russella i Caroline, po czym rozsiadła się wygodnie na kanapie. Po chwili wyjęła długą szpilkę ze swego słomianego kapelusza - a był to zagraniczny model,

cały w kwiatach - i zdjawszy go położyła na stoliku obok. Sid, szczęśliwy, że nie musi już siedzieć w torbie, wyniośle rozejrzał się dokoła, a potem jednym susem skoczył na kanapkę i położył się koło swojej pani.

- Strasznie jestem ciekawa rezydencji wyznała ciotka. - Powiedz, kiedy się tam wybierzemy? - zwróciła się do Caroline

- Kiedy tylko masz ochotę, Cii! Brian już się wprowadził i właśnie tam jest. O jedenastej zanieśliśmy mu z Russellem obiad. Przez cały dzień pilnuje dostawy mebli. Możemy przejść się po pałacu, a potem, gdy mój kochany synek będzie miał czas, dołączy do nas przy kolacji.

„Kochany synek...” - rzeczywiście! To śmieszne, ale Zana poczuła się dotknięta, że Brian był cały czas w Natchez i nawet się do niej nie odezwał. Była też obrażona, że nikt jej nie poinformował o jego powrocie. Możliwe, że spotkanie pomiędzy jej ojcem i Brianem już nastąpiło, a ona o niczym nie wiedziała...

- Jeśli mamy pójść do rezydencji, to chodźmy tam już teraz! - wykrzyknęła ciotka.

- Dobrze - zgodziła się Caroline. - Chodźmy!

Zana nie miała już czasu na zadawanie pytań ani na dalsze zastanawianie się nad stanem swoich uczuć. Cii wydawała się niebywale podniecona. Pośpiesznie włożyła kapelusz i wstała z kanapy.

Gdy panie rozmawiały, Russell z uwagą czytał książkę, a teraz natychmiast ją odłożył, wstał i poprawił krawat. Zana nie mogła mu się nadziwić. Mogłaby przysiąc, że był skoncentrowany na lekturze, a mimo to, gdy tylko Caroline zasygnalizowała, że chce wyjść, zareagował jak szczeniak, który, nawet gdy drzemie, zrywa się na dźwięk słowa „spacer”.

Jej ojciec stał się innym człowiekiem; nie był już, jak przez miniony rok, nieszczęśliwy i smutny. Widocznie potrzebował właśnie kogoś takiego jak Caroline. Konstatając to, Zana doznała przykrego uczucia, że zdradza pamięć swojej matki.

W czwórkę wsiedli do nowego samochodu ciotki Cii, a był to cadillac eldorado, i udali się do rezydencji Zacharych. Zana siedziała na tylnym siedzeniu i rozmyślała o Brianie, usiłując nie słuchać, o czym szczebioczą Cii i Caroline. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że Brian nie przyszedł, że mu nie zależało na zobaczeniu się z nią. Wiedziała, że to głupota mieć tego rodzaju pretensje. Przecież Brian nie dla niej przebywał w Natchez po ślubie swej matki, ale po to, by się upewnić, czy matce nic nie grozi, czy jest szczęśliwa i czy nie wpadła w szponyjakiegoś nieroba, łowcy posagów. Nie dał Zanie najmniejszych podstaw do tego, by myślała inaczej.

Cii zatrzymała samochód przed bramą rezydencji i wszyscy wysiedli. Od czasu, gdy Zana zwiedzała pałac z Brianem, celowo unikała przejeżdżania obok niego. Teraz dziwiła się widząc, jak wiele zostało tu zrobione od jej ostatniej wizyty. Zauważyła, że położono nowy podjazd z cegieł i zainstalowano na trawnikach specjalne urządzenia zraszające.

Brian wyszedł przed dom, aby ich powitać. Zana była ciekawa, jakie wrażenie zrobi na niej po okresie rozłąki: czy będzie równie przystojny w rzeczywistości, jak w jej wyobraźni. Był. Może nawet wyglądał jeszcze lepiej niż przedtem. Miał na sobie zielonkawę spodnie i błękitnozielony pulower, doskonale pasujący do koloru jego oczu. Jak to dobrze, że się przebrałam - przebiegło jej przez myśl. Zamiast szortów i podkoszulka zdecydowała się włożyć białą, lnianą spódnicę i bluzkę w biało-czarny deseń. To jest i tak bez znaczenia - pomyślała. Albo nic nie zauważy, albo pomyśli, że się stroję, bo chcę go uwieść.

Zana nie tylko dobrze pamiętała, jaki Brian jest przystojny, ale jej żal do niego osłabł i była skłonna wiele mu wybaczyć. Niestety, już wkrótce znowu ją zezłościł. Zaczęło się od tego, że musnął ją niedbale w policzek, ofiarowując jej jeden z tych bezbarwnych oficjalnych pocałunków, których nienawidziła już

w czasie swoich występów na scenie. Potem z obłudną uprzejmością zadbał o to, żeby wzięła udział w ogólnej rozmowie i trzymał ją za łokieć, gdy oprowadzał ich małą grupkę po pokojach. To jej wystarczyło... Miała szczerą ochotę wbić mu obcas w palce stopy i powiedzieć, co myśli o jego hipokryzji i o tym, że się zgrywa na wspaniałego gospodarza.

Najgorsze ze wszystkiego było to, jak na nią patrzył. Obserwował ją jak podejrzliwy detektyw sklepowy. Czyżby się bał, że ukradnie mu coś ze srebra?

- Ach, jak to dobrze entuzjazmowała się ciotka Cil - że postawiłeś toaletkę dokładnie tam, gdzie kiedyś stała.

Zana rozpoznała tę toaletkę. Widziała ją w domu ciotki w holu na pierwszym piętrze. To była jedna z nielicznych pamiątek, które udało się Cii zatrzymać po licytacji. Widocznie dała ją teraz w prezencie Brianowi.

- Babcia i prababcia - paplała Cil - przeglądały się w tym lustrze, żeby sprawdzić obrębek sukni. - Antyczne lustro można było ustawić w tej toalecie pod takim kątem, by pokazywało osobę w całej jej wysokości i z kilku stron.

- Kiedy urządzasz parapetówkę? - ciągnęła niezadowolona Cil. - Pamiętaj, Brian, takie przyjęcie to absolutny mus... - Ciotka nie dopuszczała nikogo do głosu, a Caroline, o dziwo, ustępowała jej pola i nie usiłowała nawet z nią rywalizować.

- Nie myślałem dotąd o urządzeniu przyjęcia - przyznał Brian, wskazując gestem ręki, że prosi wszystkich na górę.

-Ależ, Brian, musisz je urządzić, koniecznie... bo inaczej... - i przerwała w pół zdania. Zaabsorbowała ją portret babki Zany, wiszący na ścianie naprzeciw podestu. - Nie! Nie! Nie! To nie jest właściwe miejsce dla portretu mamy! - zawołała z irytacją.

Zana przyjrzała się portretowi i zauważyła, że rama została zreperowana, a płótno poddano zabiegom konserwacyjnym.

- Ten portret zawsze wisiał w sypialni pana domu, Brian! I tam powinienes go umieścić - kontynuowała batalię ciotka.

- Tak, mój drogi, Cii ma rację - poparłają Caroline. - Jeśli chcemy być wierni historycznej tradycji, powinniśmy zawiesić obrazy tam, gdzie dawniej wisiały.

- Niech Russell powie! Chyba pamiętasz, że ten portret zawsze wisiał w sypialni pana domu? - zwróciła się do brata Cil.

- Rzeczywiście! Wisiał naprzeciw łóżka - potaknął.

- A więc właśnie w tym miejscu należy go teraz umieścić. Nie uważasz, że mamy rację, Brian? - Caroline naciskała syna z błyskiem uciechy w oczach. Było jasne, że zauważyła ogromne podobieństwo damy z portretu do Zany, ale wołała nie przypominać o tym teraz.

Zana po raz pierwszy szczerze współczuła Brianowi. Zdawała sobie sprawę, że wcale nie uśmiecha mu się powieszenie portretu naprzeciw swego łóżka. Ale znalazł się w pułapce: nie miał wyjścia, chyba że zdecydowałyby się na sprzeczkę.

Jakby dla potwierdzenia jej podejrzeń, Brian milcząc chwycił obraz obiema rękami za ramę, podniósł go do góry, zdjął z haka, po czym posłusznie wszedł do sypialni i oparł portret o ścianę, którą wskazała Cii. Cała grupa przeszła za nim i śledziła jego poczynania.

- Przepraszam was na chwilę, muszę znaleźć młotek i hak - wyjaśnił i wyszedł z pokoju.

- Chodź, zobacz, cośmy zrobili z twojej panińskiej sypialni - zawołała ciotkę Caroline. Cii pośpieszyła tam z bratem, a Zana została sama. To miejsce dziwnie działało na jej wyobraźnię. Nie był to dla niej pokój pana domu, ale sypialnia Briana. Jej wzrok przykuwało wielkie łóże z piernatem, przykrytym satynową narzutą w kolorze czerwonego wina. Marmurowy kominek, nad którym za chwilę miał zawisnąć portret jej babki, ozdabiał jedną ścianę, a drugą zajmowała ogromna rzeźbiona szafa. Chociaż wiedziała, że to bez sensu,

Zana poczuła nagle przemożną chęć ucieczki. Chciała znaleźć się jak najdalej od tego pokoju.

Stało się inaczej: w momencie, gdy próbowała się wymknąć, zderzyła się w drzwiach z Brianem. Chciał ją zatrzymać i chwycił za ramię. Dotyk jego ręki wydał się Zanie palący. On chyba podobnie zareagował na bliskość jej ciała, bo natychmiast ją puścił. Odsunęła się o krok, by mógł wejść do środka. Nie myślała już o opuszczeniu pokoju, bo właśnie wracała reszta towarzystwa, a to oznaczało, że nie będzie tu z Brianem sam na sam. Wracając myślą do ich krótkiego zbliżenia sprzed paru sekund, musiała w duchu przyznać, że lubi, jak ją dotyka, i bardzo pragnie, by ją znowu pocałował.

Bawiło ją obserwowanie, jak Brian umocowuje w ścianie hak, a cała rodzinka przygląda się i poucza go, jak to należy zrobić.

Gdy w końcu, ku ogólnemu zadowoleniu, portret babki został umieszczony na właściwym miejscu, Caroline zaproponowała, żeby poszli gdzieś wszyscy razem na kolację. Zanę pomysł takiego uładzonego posiłku w rodzinnym gronie wręcz odrzucał, a z wyrazu twarzy Briana wywnioskowała, że jemu jeszcze mniej się spodobał. Ale co było robić? Nie miał wyboru, tak samo jak wtedy, gdy chodziło o powieszenie obrazu w jego pokoju. Zrezygnowany, uprzejmie poprowadził całą grupę do wyjścia i po drodze zaproponował pewien elegancki nowy lokal, gdzie można dobrze zjeść.

Na kolację podano im potrawy typowe dla Południa: dorsza z grilla, do tego jarzynową sałatkę z rzepą, smażone zielone pomidory, kolorową fasolkę i placek z kukurydzy. Brian wydawał się nieobecny duchem, ale gdy Caroline i Cii zarzuciły go pytaniami o różne szczegóły renowacji pałacu, usilnie starał się być uprzejmy i miły. Wreszcie dały mu spokój i rozpoczęły żywą dyskusję między sobą. Usta im się nie zamykały, tak że pozostała trójka zrezygnowała z wszelkich wysiłków włączenia się do rozmowy.

Zana zajęła się układaniem w wyobraźni choreografii do „Czterech pór roku” Vivaldiego i cichutko nuciła sobie partyturę. Już nieraz udawało jej się przebrnąć w ten sposób przez różne nudne kolacje, szczególnie te wydawane na cele charytatywne. Dzisiejszego wieczoru zawiodło ją to jednak, gdyż nie mogła przestać myśleć o Brianie. Mówiła tylko wtedy, gdy ktoś zwracał się z jakimś pytaniem bezpośrednio do niej.

Ubawiło ją, że Caroline w obecności Briana wyowiadała sądy o nim tak, jakby go nie było.

- Kiedy sobie coś wbije do głowy - mówiła - to nie ma mowy, żeby z tego zrezygnował. Jest niemożliwie uparty. Wolę mu się w takich razach nie sprzeciwiać, tym bardziej że przeważnie ma rację. Weźmy na przykład rezydencję Zacharych... Uważałam, że nie powinien kupować tego domu, a teraz jestem szczęśliwa, że go kupił. - Tu uśmiechnęła się do Russella, ściskając go wymownie za rękę.

Zana obserwowała Briana i zastanawiała się, co on teraz myśli o rezydencji. Czy nadal widzi w niej wymarzony dom dla Caroline? Czy wciąż wierzy, że dla zdobycia tego pałacu chytry Russell wciągnął jego matkę w pułapkę? Jeśli jest tak, jak powiedziała Caroline, że Brian wbija sobie pewne idee do głowy i uparcie przy nich trwa, to czy on kiedykolwiek zaakceptuje swego ojczyma, a na dobrą sprawę także i ją samą?

Przypomniała sobie, jaką miał minę, gdy go zmuszono, by zawiesił w sypialni portret jej babki. Nie może się pewnie doczekać, żeby wrócić do rezydencji i zdjąć go ze ściany, tym razem już na dobre; najprawdopodobniej obraz wyląduje w końcu na śmietniku.

Po kolacji wszyscy razem wrócili do pałacu. Był letni wieczór i słońce wciąż jeszcze jaśniało na horyzoncie. Caroline zaproponowała Cil, że jej pokaże ogród różany i nowy basen, który zainstalowano opodal. Gdy obie panie wyszły razem z Russellem na zewnątrz, Brian, pozostawszy sam z Zaną, rzucił żartem:

- A jednak udało ci się wdrzeć do mojej sypialni...
- Nie jestem w twojej sypialni zaprzeczyła ze słodkim uśmiechem
- To źle! Byłabyś tam mile widziana
- Nie odniosłam takiego wrażenia Raczej mnie zniechęcałeś w ubiegłym tygodniu.
- Nie masz racji. Zwróciłem ci tylko uwagę, żebyś nie liczyła na małżeństwo, a łóżko to co innego...
- Uśmiechnął się szeroko i gdy poważny wyraz zniknął z jego twarzy, od razu stała się sympatyczniejsza.
- Oczami wyobraźni widzę już te długie, jedwabiste włosy rozrzucone na mojej poduszce - dodał.
- A babcia będzie patrzyła z góry na wszystko, co robimy. .

Zaśmiał się.

- Babcia stanowczo musi stamtąd odejść.
- Wiedziałam, że to powiesz. - Nie speszona, starała się udąć obojętność i zaczęła zaglądać do pokoi przylegających do foyer. Zupełnie nie wiedziała, co ma myśleć o Brianie. Odwróciwszy się spostrzegła, że ją obserwuje. Tym razem wyraz jego twarzy był łatwo czytelny: pożądał jej. Ta nagła zmiana jeszcze bardziej ją zaniepokoiła. Nie miała ochoty na żadne seksualne harce z Brianem. Wolała udać, że nie widzi jego jednoznacznych spojrzeń.

- Czy już się pogodziłeś z małżeństwem naszych rodziców? - spytała, chcąc oziębic zbyt rozgrzaną atmosferę.

Brian znowu przywdział na twarz maskę wrogości.

- Dlaczego o to pytasz? Chyba wystarczająco jasno to wyjaśniłem. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zranił moją matkę.

- Czyżbyś nie widział, że Caroline potrafi doskonale sama o siebie zadbać? Wcale nie jest słaba...

- Słaba? Moja matka? Oczywiście, że nie! Jeśli doszłaś do takiego wniosku, to widać nie słuchasz tego, co mówię. Po śmierci mego ojca matka musiała bardzo ciężko pracować. Wiele kobiet załamałoby się w takiej

sytuacji, ale nie ona... Powtórzę jeszcze raz: nie pozwolę, by ją ktoś zranił, a wiem, że człowiek wcale nie musi być słaby, by mu złamano serce. .

Te ostatnie słowa nie odnosiły się chyba do jego matki. Mówił raczej o sobie, ale Zana wolała w to nie wnikać.

- Ponieważ już nie krytykujesz małżeństwa naszych rodziców, pomyślałam, że może je zaakceptowałeś, tak jak ja to zrobiłam.

Brian powoli potrząsnął głową.

- Przyznaję, że jestem w kropce. Nie wiem, jak postąpić. Westchnął. Moja mama wydaje się teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Nie chciałbym zamącić jej tego szczęścia, ale też nie pozwolę, by ktokolwiek inny to zrobił.

- Na przykład mój ojciec? To masz na myśli? Tatusz ją uwielbia. Nawet ślepy by to dojrzał .

- Tylko ja nie?

- Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Wydaje mi się jednak, że należy dać im trochę więcej czasu.

- Sądziłem, że to właśnie robię. Chyba nie uważasz mnie za jakiegoś potwora? - Powaga, malująca się na jego twarzy, boleśnie ją dotknęła. Zmieszła się.

- Masz ochotę na kawę? - spytał.

Potaknęła.

- To chodź ze mną do kuchni. Tam się napijemy, bo w patio jest zbyt ciepło.

Brian wsypywał łyżeczką kawę do filtra, a Zana przysiadła na stołku barowym i obserwowała go pełna podziwu, że z taką łatwością porusza się w kuchni.

- Widzę, że nie masz jeszcze służby...

- Na wszystko przyjdzie czas. Dawniej obywaliśmy się z matką bez żadnej pomocy domowej, a przez ostatnie dwa lata raz na tydzień przychodziła sprzątaczką. Ale skoro teraz mamy taki duży dom, to wszystko musi się zmienić...

Aromat świeżo parzonej kawy rozszedł się po domu i ściągnął do kuchni resztę towarzystwa.

- O kawie mowa, a kawa tu... - zażartowała Caroline, wyjmując z kredensu filiżanki i spodki. Rozsiedli się naokoło kuchennego stołu, a Caroline po kolei nalewała im mocnej, czarnej kawy, takiej jaką się pija w Luizjanie i jaką lubili Russell i Cii. Żeby złagodzić gorycz kawy, pozostali musieli dolać sobie więcej śmietanki.

- Brian, nie powiedziałaś mi jeszcze, jak się zapatrujesz na mój plan urzędzenia parapetówki? - spytała Cii.

Znowu zrobił taką minę, jakby się znalazł w potrzasku.

- Pomysł jest dobry - zaczął dyplomatycznie - ale jestem tak strasznie zajęty renowacją domu i przeniesieniem firmy, że nie mam do tego głowy. Może razem z mamą wytypujecie najlepszy dzień na tę okazję? Ja jestem gotów złożyć w wasze ręce wszystko, co się wiąże z urzędzeniem przyjęcia.

- Cudownie! - wykrzyknęły unisono.

Brian rzucił szybkie spojrzenie w stronę Zany. Był z siebie zadowolony. Wydawało mu się, że skoro starsze panie przyjęły propozycję, nie będzie już musiał sam niczym się zajmować. Nie miała serca powiedzieć mu, że to tylko odroczenie wyroku, że nim się obejrzy, aż po uszy będzie tkwił w najdrobniejszych szczegółach związanych z urzędzeniem przyjęcia. Za dobrze znała ciotkę Cii.

Po kawie towarzystwo zaczęło się żegnać. Zana wychodziła ostatnia. Gdy mu mówiła dobranoc, zatrzymał ją i na moment zostali sami.

- Zobaczmy się później - szepnęła i pochylił się ku niej.

Nie wiedziała, czego się ma spodziewać, a otrzymała jeszcze jedno z tych okropnych, platonicznych muśnięć w policzek. Czy on z niej kpił? Z mieszanymi uczuciami schodziła w dół po schodach. A może powinnam się cieszyć, że on się zbyt energicznie do mnie nie dobiera? - strofowała się w duchu.

Wciąż porównywała jego dzisiejsze pseudopocałunki z tym, który ich połączył, gdy Brian pierwszy raz przyprowadził ją do rezydencji. Co się ze mną dzieje? - pytała, zgorziona swoimi myślami.

- Wiesz, cieszę się, że mam to już za sobą - stwierdził Russell, wygodnie rozsiadając się w fotelu.

- Mój drogi, czy to, że musiałeś przebywać z Brianiem było aż takie przykre? - Caroline przysiadła na poręczu jego fotela i delikatnie głaskała go po czole.

- Nie, wcale nie. Prawdę mówiąc nasza wizyta w rezydencji była całkiem udana. Nie wiem, czemu się na zapas bałem tego spotkania. Skutek był taki, że nie mogłem się przy Brianie zrelaksować. - Uśmiechnął się do żony. - Najwyraźniej niepotrzebnie się martwiłem. Przyrzekam, że na przyszłość wyzbędę się tego rodzaju obaw - i objął Caroline ramieniem.

- Przykro mi, że Brian na początku zachowywał się tak agresywnie - powiedziała z żalem. - Wiesz, może to dlatego, że jego ojciec umarł młodo i Brian zbyt wcześnie wziął na swoje barki za dużo obowiązków. Teraz wciąż mu się wydaje, że to on wszystkim zarządza; nawet moim życiem. - Uśmiechnęła się do Zany i Lucille. - Mój syn musi się nauczyć pozwolić mi żyć własnym życiem. To śmiesznie brzmi, gdy takie słowa wypowiada matka. Zwykle to dzieci narzekają na rodziców, jeśli chodzi o te sprawy... Chyba gdzieś po drodze zamieniliśmy się rolami.

Zana słuchała z zainteresowaniem. Pamiętała, że niedawno myślała podobnie o sobie i ojcu. Minęła godzina, a ona wciąż zastanawiała się nad tym, co powiedziała Caroline. Wszyscy byli już w łózkach, a ona jeszcze sprawdzała zamki i gasiła światła. Chyba definitywnie skończyła się jej opieka nad Russellem - myślała. Teraz czas podjąć decyzje co do własnej przyszłości. Jej ojciec zrobił pierwszy krok w tym kierunku, obecnie przyszła pora na nią. Może powinna

zadzwoić do Kurta i dowiedzieć się, czy jego propozycja jest nadal aktualna.

Spała niespokojnie. Często budził ją nawet szum wiatru, delikatnie poruszającego listkami leszczyny za oknem. Gdy nastał ranek, była niemal tak samo zmęczona, jak gdy kładła się spać wieczorem. Zupełnie nie czuła się na siłach podjąć obowiązków, które nałożyły na nią organizatorki przyjęcia.

Gdy tylko zjawiła się w kuchni, Caroline podała jej szklanę soku grapefruitowego.

- Wypij to, kochanie. Nie mamy za wiele czasu.

- Jest tyle do zrobienia - włączyła się Cil - a czasu rzeczywiście trochę mało. Ale skoro meble mają być przywiezione do pałacu dopiero pod koniec tygodnia, to i tak nie możemy urządzić przyjęcia wcześniej niż w przyszłym miesiącu. I wiesz co? Postanowiłyśmy z Caroline, że zamiast parapetówki urządzimy galowy bal...

- Najlepiej urządzić go w jakiś sobotni wieczór. Co o tym sądzisz? - spytała Caroline.

Zana potaknęła i spokojnie dokończyła pić sok. Wiedziała, że i tak nieważne, co ona o tym myśli. Te dwie panie puściły już „balową maszynę” w ruch, i niech Bóg ma w swej opiece tego, kto stanie na jej drodze. Najlepsze co mogła zrobić, to przez następne kilka tygodni jak najmniej pokazywać im się na oczy.

Starsze panie ani myślały jednak pozwolić jej na uniki.

- Dziś rano trzeba przejrzeć wszystko, co jest na strychu - zarządziła Cil. - To będzie dla ciebie wielka frajda, kochanie, zobaczysz - i pogładziła ją po policzku. - Tam są skrzynie i kufry pełne prawdziwych skarbów. Chciałabym, żebyśmy urządziły bal kostiumowy pod hasłem: „Rezydencja Zacharych dawniej i dziś”. Umieścimy to hasło na zaproszeniach. Wtedy ci, którzy mają opory przed włożeniem kostiumu, będą mogli przyjść ubrani wspólnie. Jest duża szansa, że znajdziemy na strychu odpowiednie

kostiumy dla siebie. Wiem, że jest tam jeden kufer pełen przeróżnych strojów. Zano, idź i popędź ojca, żeby się pośpieszył. Nie mogę się już doczekać pójścia na strych...

Gdy przybyli do rezydencji, Zana z ulgą stwierdziła, że nigdzie nie widać Briana. Prawdę mówiąc i tak nie miałyby czasu spotkać się z nim. Caroline krótko przypomniała wszystkim, w jakim celu tu przybyli i od razu poprowadziła ich na górę.

Gdy tylko znaleźli się na strychu, Cil i Russell z miejsca rzucili się do otwierania rodzinnych kufrów. Z radością odnajdywali dawno utracone skarby, z których każdy miał swoją długą historię.

- Popatrz, Zano! - zawołała w pewnej chwili Lucilie, wyciągnąwszy z pudła jakąś starą fotografię. - To jest ślubne zdjęcie twojej babki. - Zrobiono je w dniu, w którym Zana Davis poślubiła Edmunda Zachary'ego.

Ukazywało pannę młodą w całej jej krasie. Miała na sobie białą suknię z satyny i koronek, zapiętą wysoko pod szyją, z długimi bufiastymi rękawami i mocno wciętą w tali.

Zana była zachwycona elegancją tej sukni i pełną naturalnego wdzięku urodą panny młodej.

- Tak właśnie chciałabym wyglądać w dniu swego ślubu - westchnęła. - Oczywiście, jeśli w ogóle kiedyś wyjdę za mąż...

- Wyjdiesz, kochanie, wyjdiesz na pewno - stwierdziła Cii autorytatywnym tonem. - Może szybciej, niż się spodziewasz.

Zana w pierwszej chwili zainteresowała się ciotczyną przepowiednią, ale już po chwili uzmysłowiła sobie, kto to mówi. Kochana ciotunia lubiła wszystko wyolbrzymiać i nie umiała mówić inaczej, niż używając przesadnych zwrotów. Zana miała nawet zamiar ostro jej z tego powodu przygadać, ale odciągnął jej uwagę ojciec. Właśnie wyjął z kufra gruby pęcz starych konfederackich banknotów i, śmiejąc się, wszystkim je demonstrował.

Jeśli nawet Zana czuła się swobodniej bez Briana niż w jego obecności, to i tak nie przestawała o nim myśleć. Zastanawiała się, co teraz robi. Może jeszcze śpi, umościwszy sobie wygodne gniazdko w tym dużym miękkim łożu. Była ciekawa, czy ma na sobie piżamę, czy śpi nago. I w tym momencie poczuła, że się czerwieni. Zawstydzona przebiegła wzrokiem dookoła, ale na szczęście wszyscy grzebali w pudłach i nikt nie zwracał na nią uwagi.

Usiłowała przenieść swoje myśli z Briana na balet, ale tylko pogorszyła sprawę: jedyne co jej przychodziło do głowy, to *pas de deux* ze „Śpiącej królowej”. Lepiej zrobi, jeśli wraz z innymi zajmie się szukaniem pamiątek z przeszłości.

Parę godzin później obie starsze panie postanowiły zrobić sobie przerwę obiadową i razem z Russellem wybrały się do restauracji na hamburgera. Zana wolała zostać na strychu. Tak była zafascynowana odkryciami, że nie chciało jej się jeść Nekrologi, zaproszenia ślubne i karnety z balów jeszcze sprzed wojny secesyjnej zapełniały kufer po kufrze. Znalazła nawet dziennik pisany przez jakąś młodą dziewczynę, a wśród jego kart - zasuszoną różę. W pewnej chwili spośród pożółkłych bibułek wyciągnęła sukienkę do chrztu w kolorze kości słoniowej. Właśnie wtedy na strychu pojawił się Brian. Wszedł, pochylając się przy wejściu, żeby nie uderzyć głową o niski pułap.

- Widzę, że się interesujesz dziecięcymi ubiorami, Zano! - nagabnął ją i dodał: - Ciekaw jestem, czy chciałabyś mieć dzieci...

Mogła mu odpowiedzieć krótkim „tak”, bo zawsze chciała wyjść za mąż i mieć dzieci, ale znając Briana wiedziała, że na pewno nie było to takie niewinne pytanie i nie chodzi mu o prostą odpowiedź.

- Nie twoja sprawa - odpowiedziała w końcu.

Przeszedł przez cały strych i usiadł na podłodze tuż przy niej. Zbyt blisko - pomyślała Zana.

- Chyba nie liczysz na to, że to nasi rodzice przedłużą linię Zacharych?

- Po cóż te niewczesne żarty? - odparowała
- A w ogóle, to twój „komitet przyjęciowy” zlecił mi, żebym poszukała kostiumów na bal.

- Na bal? - zdziwił się. - Więc to już nie będzie parapetówka? - Powinien był się tego spodziewać, skoro zostawił Cil i Caroline wolną rękę.

- Mam jeszcze do przejrzenia co najmniej sześć kufrów. Aż trudno uwierzyć, że tyle rzeczy jeszcze tu zostało.

- Rzeczywiście... Okazuje się, że mój nowy dom jest skarbnicą pamiątek rodu Zacharych.

Zana nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Milczała, wpatrując się w swoje ręce, aż Brian delikatnie ujął ją pod brodę i uniósł do góry jej głowę.

- Nie bądź taka zagubiona... Ja...

Czekała z nadzieją na to, co powie, ale nie dokończył zdania. Co miał zamiar powiedzieć? Co go powstrzymało? Przez chwilę zdawało jej się, że chce ją pocałować. Bardzo tego pragnęła, ale nie, nie pocałował jej. Zapanowało trudne do zniesienia milczenie.

- Dlaczego igrasz ze mną w ten sposób? - spytała w końcu.

- W jaki sposób?

- Dobrze wiesz, o czym mówię.

Brian zerwał się z podłogi, otrzepał z kurzu spodnie i usiadł na wierzchu zamkniętego kufra.

- Może to akt desperacji ze strony mężczyzny, który się zakochał?

- Chyba kpisz sobie ze mnie? Przecież niedawno w bardzo zdecydowany sposób wyraziłeś swoją opinię na temat miłości. Powiedziałaś, że nie istnieje, że to złuda. Więc po co to wszystko? Na dodatek stwierdziłeś jeszcze, że jesteś moim bratem.

- Z całą pewnością nie jestem twoim bratem.

- Jako żywo pamiętam, że określałeś siebie w ten sposób.

Wzruszył ramionami.

To było dawno... - Nagle wstał, podniósł Zanę z podłogi i nie zostawiając jej czasu na żadną reakcję, wpił się ustami w jej wargi. To był zaskakująco namiętny pocałunek i trwał długo. Przez cały czas Brian trzymał ją bardzo blisko siebie, a ona tuliła się do jego muskularnej piersi. Może to był błąd - pomyślała poniewczasie, ale nie była w stanie przeciwdziałać żywiołowym odruchom swego ciała.

Po tym gorącym pocałunku przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Brian koniuszkami palców dotknął jej policzka i pieścąc go, powoli przesunął palce na szyję, by zaraz znowu wziąć ją w objęcia. Jego drugi pocałunek był jeszcze gorętszy. Czuła gwałtowne bicie jego serca i wiedziała, że jej serce bije w podobnym rytmie. Wzbierało w niej pożądanie; pragnęła, by pieścił ją coraz mocniej.

Gdy tym razem wypuścił ją z uścisku, z trudem utrzymała się na nogach. On też wydawał się do głębi wstrząśnięty. Pewnie jeszcze długo napawali by się swoją bliskością, gdyby nie doszedł ich z oddali odgłos zamykanych drzwi samochodu, który sygnalizował powrót cioci Cil i rodziców.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zbudził ją dochodzący z dołu zirytowany głos Briana:

- Przecież kupiłem go dla ciebie, mamgo!

Zana spojżała na zegarek. Było już po dziesiątej, a więc najwyższy czas, żeby wstała. Jej organizm desperacko domagał się porannej porcji kofeiny, ale nie bardzo uśmiechała jej się wyprawa po kawę do kuchni. Musiałaby wylądować w samym środku rodzinnej sprzeczki.

Gdy otworzyła drzwi swojej sypialni, usłyszała głos Caroline:

- Wierz mi, Brian, że bardzo lubię odwiedzać rezydencję i jestem szczęśliwa, że Russell może tam chodźć, kiedy tylko sobie życzy, ale żadne z nas nie zamierza na stałe korzystać z twojej gościnności.

- Ależ to nonsens!

- Nie, mój kochany! Czyżbyś zapomniał, że gdy Russell się ze mną ożenił, to podejrzewałeś, że kieruje nim chciwość? Jak możesz teraz oczekiwać, że po tym wszystkim, co powiedziałaś, mój mąż zgodzi się mieszkać w twoim domu.

Zana włożyła szlafrok i cichutko przemknęła się przez hol. Wiedziała, że to niegrzecznie podsłuchiwać, ale nie mogła się powstrzymać. Na swoje usprawiedliwienie miała argument, że Caroline przecież wiedziała o jej obecności w domu, a i Brian chyba się orientował, że ona musi gdzieś tu być. Więc skoro im nie przeszkadzało, że ona może coś usłyszeć, to dlaczego ona miałaby się tym przejmować? Cil wyjechała poprzedniego dnia, a gdzie jest ojciec - Zana nie wiedziała.

Przez otwarte drzwi widziała tylko dwie osoby, siedzące przy kuchennym stole

Przepraszam cię, mamu. Nie chciałem sprawić ci przykrości.

- Wiem, ale twoje postępowanie nie było dla mnie niespodzianką. Mogłam się spodziewać takiej reakcji z twojej strony. - Śmiejąc się, gładziła go po twarzy, jakby chcąc stępić ostrość swoich słów. - Byłeś bardzo niesprawiedliwy wobec Russella. Kiedy ty w końcu zrozumiesz, że nie każdy jest takim naciągaczem, jak Claudette? Ilekroć myślę o tej podstępnej kobiecie, mam ochotę wyć. To ona zrujnowała twoją wiarę w ludzi. Nie lubiłam jej, gdy zacząłeś z nią chodzić w średniej szkole, nie znosiłam jej, gdy byliście na studiach, ale znienawidziłam ją dopiero wtedy, gdy cię porzuciła dla tego bogatego chłopca z korporacji. Trudno jej się pozbyć: wciąż wraca, jak fałszywy pieniądz. Znowu za tobą biega, odkąd się rozwiodła. Nic w tym dziwnego: masz pieniądze, a ona jest niezmordowana, jeśli chodzi o pogoń za dobrze sytuowanymi mężczyznami. Żadnemu nie przepuści...

- Mamusi, przecież obiecaliśmy sobie, że nie będziemy już mówić o Claudette. Zapomniałaś?

- Narzuciłeś mi tę obietnicę. Wcale nie czuję się nią związana.

- Zdawało mi się, że mamy mówić o domu, a nie o moich sercowych sprawach.

- Sercowych? Nie rozśmieszaj mnie. Raczej seksowych... I nie gorsz się tym, co mówię. Czasami tak się zachowujesz, jakbym była za stara, aby rozumieć, co znaczy słowo seks.

- Mamu, daj spokój temu tematowi, proszę cię.

- Dobrze, przyrzekam, że nie powiem już więcej tego słowa na „s”, skoro cię to tak krępuje. Dziwi mnie, że masz takie opory, jakbyś miał czternaście lat.

Dalszych jej słów Zana nie słyszała, bo zagłuszył je szum wody lejącej się z kranu. Po chwili znowu rozpoznała głos Caroline:

- Jeśli chodzi o Claudette...

- Nie chcę mówić o Claudette - złościł się Brian, co trochę ubawiło Zanę. Najwyraźniej denerwowały go słowa matki. Zana nie potępiała go za to. Była przekonana, że bez względu na wiek, dzieci nie lubią, gdy rodzice mieszają się do ich spraw.

- Dobrze! Nie wspomnę więcej o Claudette - zapewniała Caroline, by zaraz potem do niej wrócić. - Powiem ci tylko tyle, że ta rudowłosa ładaczka nie ma pojęcia, co to jest miłość. Ty też tego nie wiesz, niestety. Chciałabym, żebyś się zakochał. Nie wiesz, jakie to cudowne uczucie...

- Mieliśmy mówić o domu. - Brian coraz bardziej się niecierpliwił.

- Ale jeszcze nie skończyłam mówić o Claudette - protestowała Caroline.

Zana zrozumiała, że jeśli chodzi o upór, to wart Pac pałaca: oboje byli tak samo uparci.

- Na miłość boską, mamo. Nie widziałem już Claudette przeszło miesiąc. Wątpię, czy w ogóle się z nią kiedykolwiek zobaczę. Więc bardzo cię proszę, wróćmy do dyskusji na temat domu. Innowacje, jakie wprowadziłem we wschodnim skrzydle, zapewnią tobie i Russellowi absolutną swobodę i pełną prywatność.

- Wiesz co, Brian? Nigdy się nie przejmowałam tym, że jesteś wiecznie roztargniony. Wybaczalam ci to, bo wiem, że myślisz tylko o swoich komputerach. Ale teraz dochodzę do wniosku, że ty słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć. Więc mówię ci po raz ostatni: Nie przeprowadzimy się z Russellem do rezydencji!

- Ale kupiłem ją dla ciebie. To miał być twój wymarzony dom.

- Mylisz się! Kupiłeś go dla siebie, kochanie. Spełniłeś swoje marzenie, a nie moje. Nigdy nie było dla mnie ważne, żeby mieszkać w twym domu. To tutaj, właśnie w tym domu, znalazłam swój mały skrawek nieba...

- Tutaj? - parsknął lekceważąco.

- Tak, tutaj. Ten dom jest lepszy od wielu z tych, w których dawniej mieszkałam. A poza tym, jeśli się kiedyś zakochasz, to zrozumiesz, że najważniejsze jest to, z kim żyjesz, a gdzie, to sprawa drugorzędna.

- To co mam zrobić z rezydencją?

- Jak to co? Mieszkać w niej! Znajdź sobie jakąś fajną dziewczynę, ożeń się i obdaruj mnie parą wnuków. Wtedy nic już nie będzie mi do szczęścia brakowało...

Zana przysunęła się nieco bliżej do kuchni i kątem oka zobaczyła, że Caroline wstała z krzesła i poklepała syna po ramieniu.

- Skończę robić kawę, a ty włóż chleb do tosterka i zawołaj Zanę na śniadanie. Właśnie słyszałam, że zajeżdża samochód. Pewnie wrócił Russell i przywiózł mleko.

Bojąc się, żeby Brian nie przyłapał jej na podsłuchiwanie, Zana pędem ruszyła do łazienki i skoczyła pod prysznic. A potem, jakby nigdy nic, zeszła na dół i zasiadła z innymi do śniadania.

Pod prysznicem nuciła melodię ze suity „Dziadka do orzechów” i głowiła się, skąd wziął się jej dobry humor. Jakby wiadomość, że Brian już się nie widuje ze swoją byłą sympatią ze studiów, nie była wystarczającym powodem do radości.

Pojawienie się Russella od razu przecięło dyskusję, którą Caroline prowadziła z synem w kuchni. Nie mówiło się już o rezydencji. Ojciec i Brian podzielili się poranną gazetą i każdy w milczeniu czytał swój kawałek. Caroline szykowała śniadanie i zaczęła od tego, że przed każdym postawiła miseczkę z zupą mleczną. Ledwo zaczęli jeść, gdy Brian wrócił do sprawy przeprowadzki.

- Proszę pana...

- Mów mi po imieniu, Brian - przerwał mu ojciec.
- Po co te formalności?

- Russell! - zaczął na nowo Brian. - Mama mówi, że postanowiliście nie przenosić się do rezydencji.

Przykro mi z tego powodu. Chcę, żebyś wiedział, że byłbyś tam mile widziany.

- W pełni to doceniam - odparł Russell i sięgnął po flakonik ze słodzikiem. - Wiem, że martwiłeś się naszym ślubem i nagłym wyjazdem, i że niepokoili cię moje intencje. - Spokojnie wsypał słodzik do filiżanki, dodał mleka i cierpliwie mieszał kawę.

Zana przyglądała się temu z zainteresowaniem. Wiedziała, w jakim żalonym stanie był przez cały ubiegły rok i nie sądziła, że zobaczy go znowu tak pełnego ufności i wiary w siebie.

- Nigdy nie miałem zbyt dużo pieniędzy - mówił jej ojciec - ale aż do tego tragicznego wypadku, który dotknął moich najbliższych, dawałem sobie radę i z powodzeniem utrzymywałem rodzinę. Potem musieliśmy wydać wszystkie pieniądze, jakie otrzymaliśmy z ubezpieczenia, a nawet zrobić głęboką wyrwę w oszczędnościach Zany. Przyznaję, że to były dla mnie bardzo trudne chwile. - Na krótko zamilkł i objął palcami dłoń swojej żony. - Gdy spotkałem twoją matkę, Brian - mówił dalej - nie mogłem nawet myśleć o tym, by prosić ją o rękę, bo po prostu nie pozwalała mi na to moja sytuacja finansowa. Potem nastąpiła w moim życiu wielka zmiana. Nieoczekiwanie spotkało mnie wielkie szczęście. Nie powiedziałem o tym nawet Zanie.

Zana sceptycznie spoglądała na ojca. Bała się tego, co za chwilę powie. W przeszłości jego inwestycje finansowe były zawsze niewypałami. Gdy kupował akcje, to zaraz spadały w cenie. Kiedyś nabył część willi w Szwajcarii, ale nikt do niej nigdy nie pojechał. Potem postawił na boksera, ale ten częściej leżał na deskach, niż walczył. Russell nie miał głowy do interesów i zawsze dawał się nabierać na różne rzekome okazje.

- Ty, Zano, dobrze wiesz, jak doszło do tego, że ojciec mnie wydziedziczył. Przyznaję, że nieraz potem żałowałem swojej decyzji i pragnąłem dojść do jakiegoś porozumienia z nim, ale ojciec nie był niestety człowiekiem kompromisu, a ja z kolei byłem zbyt młody i porywczy...

W kilka lat po moim odejściu z domu poznałem Vivi - tu znowu ścisnął dłoń Caroline - a potem przysłała na świat Zana. Muszę powiedzieć, że odtąd i rezydencja, i przedsiębiorstwo przestały mnie zupełnie interesować. Żona i córka były dla mnie wszystkim, wypełniły mi życie. Moja matka zmarła, gdy byłem nastolatkiem, a od czasu, gdy w kłótni rozstałem się z ojcem, nigdy już nie miałem od niego żadnych wiadomości. Co prawda Cil utrzymywała ze mną stały kontakt, ale ojciec dał jej jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmów na mój temat. Nie wolno było nawet wymawiać mego imienia w rezydencji, bo ojciec surowo tego zabronił.

Możecie więc sobie łatwo wyobrazić, jak bardzo byłem zaskoczony, gdy któregoś dnia zjawił się u mnie pewien prawnik. Zany nie było wtedy w domu. Przyjąłem go sam. Cóż się okazało? Otóż w tajemnicy zarówno przed Cil, jak i przede mną, ojciec pozostawił mi spadek. Miałem go jednak odziedziczyć tylko wtedy, gdybym z własnej woli powrócił do Natchez i pozostał tu dłużej niż sześć miesięcy. Gdybym nie wrócił, oddano by tę sumę na cele charytatywne. Mój ojciec, nawet po śmierci, chciał postawić na swoim... Muszę wam powiedzieć, że chociaż nie jest to żaden wielki majątek, to jednak Caroline i ja możemy z tego wygodnie żyć do końca naszych dni.

Zana szybko porachowała w myśli, jak długo byli w Natchez; wszystko się zgadzało, minęło siedem miesięcy.

- Zareagowałem na tę wiadomość tak żywo - kontynuował Russell - że pewnie ten młody prawnik pomyślał, że zwariowałem. Niedługo potem odwiedziłem rezydencję. Jakiś wewnętrzny przymus kazał mi to uczynić. Znowu spotkaliśmy się z Caroline. No i tak to poszło... Nie pamiętam dokładnie, kiedy postanowiliśmy się pobrać, ale ty, Zano, byłaś wtedy w Jackson, a Brian w Europie.

- Ale skąd ten pośpiech?

- Ty tego nie zrozumiesz, kochanie, ale w naszym wieku czas jest bardzo cenny i nie wolno go marnować.

- A poza tym - wtrąciła się Caroline - po prostu chcieliśmy być razem. Czuliśmy się samotni. Wprawdzie wy oboje chcecie być za nas odpowiedzialni i próbujecie się nami opiekować, ale to za mało.

Dla Zany stało się jasne, że dobiegła kresu jej opieka nad ojcem. Nie wiedziała jednak, czy ma to przyjąć z ulgą, czy czuć się dotknięta. Jej uczucia nie miały tu jednak żadnego znaczenia: najważniejsze, że ojciec jest szczęśliwy.

Spojrzała na Briana. Zapewne i on przeżywał podobne rozterki. Z wyrazu jego twarzy odczytała ni to zmieszanie, ni to rozczarowanie.

- Przysnaję - oświadczył po chwili - że czuję się teraz uspokojony. Problemy, które mnie nękały, zostały pozytywnie i definitywnie rozwiązane. Wciąż jednak nie rozstrzygnęliśmy, co ma się stać z rezydencją Zacharych. Proponuję, żebyście się oboje na jakiś czas tam sprowadzili i zobaczyli, jak wam się mieszka. Wiecie chyba, że przebywam dużo poza domem, nie musicie się więc martwić, że będę wam przeszkadzał.

- Nie sądzę, kochanie, żebyśmy na to przystali, bo jak ci już wspomniałam, nam jest bardzo dobrze w tym domu. Prawdę mówiąc, ani przez chwilę nie braliśmy serio pod uwagę, że moglibyśmy zamieszkać w rezydencji. Jest dla nas stanowczo za duża.

- Ależ mamó, jak może być za duża na troje, skoro nam dwojgu wcale się taka nie wydawała - upierał się Brian.

- Teraz jest inaczej. A poza tym nie zapominaj, że musimy też myśleć o Zanie.

- Tak! - poparł żonę Russell. - Nie możemy opuścić Zany.

Brian był bliski rozpaczy.

- Przecież to oczywiste, że Zana też jest tam mile widziana. W rezydencji jest dość miejsca dla wszystkich.

Zanie zrobiło się przykro. Wydawało jej się, że została potraktowana, jak jakaś ubezwłasnowolniona krewna, która wymaga opieki.

- Nie martwcie się o mnie! - powiedziała spokojnie, nie chcąc pokazać po sobie irytacji. - Może wcale nie zostanę w Natchez. Kurt Rutherford zaproponował mi posadę w Londynie i myślę poważnie o tym, żeby ją przyjąć.

Od razu wszystkie oczy skierowały się na nią.

- Ach, jak to cudownie, dziecinko - zawołał z przejęciem Russell, klepiąc córkę z uznaniem po ramieniu. - Mój Boże, Londyn... Kiedy pomyślę o tych dobrych czasach, któreśmy tam przeżyli... Cóż to za wspaniałe miasto. Stamtąd już tylko jeden krok do Paryża i Rzymu...

- Czy to jest przemyślana decyzja? - spytał ostro Brian. - Czy może nowe ciągoty do wędrówek? - Skierował te pytania do Zany, ale przez cały czas patrzył na Russella, jakby chciał go przestrzec, by nie ośmielił się znowu pakować walizek.

Zana powinna była się spodziewać, że Brian będzie nadal czepiał się jej ojca. Nie mógł mu już nic zarzucić od strony finansowej, więc znalazł jakiś inny powód do zarzutów. Tylko skąd u ojca ten entuzjazm dla propozycji Kurta? Szczerze mówiąc, oczekiwała, że będzie ją raczej ostrzegał przed podjęciem pracy u Kurta. Jego stosunek do angielskiego tancerza nie był wprawdzie otwarciem negatywny, ale Russell nigdy specjalnie go nie lubił. A może ojciec miał ochotę zostać sam ze swoją nową żoną? Może córka była mu zawadą? Podczas gdy ona wciąż jeszcze zastanawiała się, jakiego ma dokonać wyboru, ojciec chciał ponownie sam zdecydować o jej losie. Jeszcze raz jej przyszłość miała znaleźć się w jego ręku.

Bez względu na to, gdzie zamieszka ojciec z Caroliną, Zana nie widziała już dla siebie miejsca w Natchez. Jeśli zostaną we troje w tym małym wynajętym domku, który dotąd zajmowała tylko z ojcem, to będzie im się

wciąż płątała pod nogami. A jeśli oni przeniosą się do rezydencji, to co wtedy? Czy będą nalegali, żeby się przeprowadziła razem z nimi? Nie miała zamiaru mieszkać pod jednym dachem z nimi i Brianem. Z kolei, gdyby zatrzymała ten mały domek tylko dla siebie, byłoby to dla niej zbyt duże obciążenie finansowe. Chyba najlepszym wyjściem będzie przyjmując propozycję Kurta, choć to nie była kusząca perspektywa...

Przez następny tydzień wszyscy jakby zapomnieli o przygotowaniach do balu. Rodzinne rozmowy zmopolizował nowy problem: gdzie będą mieszkali Russell z Caroline? Brian wciąż nalegał, żeby się wprowadzili do rezydencji, oni zaś uparcie odmawiali. Zana balansowała, zawieszona pośrodku. Musiała lawirować pomiędzy dwiema stronami, uparcie broniącymi swoich racji. Bawiło ją, że ilekroć Brian podnosił temat przeprowadzki, Caroline nieodmiennie wysuwała swoje: „A co będzie z Zaną?”

W końcu postanowiła wziąć sprawę we własne ręce i zadzwoniła do Kurta.

- Możesz być spokojna - zapewnił ją. - Twoja posada u mnie jest ciągle aktualna. Nawet jeśli tamto stanowisko zostało zajęte, to i tak dla mojej ulubionej partnerki zawsze znajdzie się jakieś miejsce.

Odkładając słuchawkę, Zana była daleka od euforii. Nie podobało jej się to, że Kurt tak bardzo ucieszył się jej telefonem. Przypomniała sobie, że zdaniem Briana Anglik jest w niej zakochany. Niechętnie to przyznawała, ale czuła, że Brian ma rację. Lepiej więc nie podsycać nadziei Kurta. Nie zapomniała także, jaki trudny potrafi być Kurt, gdy sprawy nie idą po jego myśli. Mówiąc krótko, praca w Londynie nie uśmiechała się jej za bardzo, ale czy miała inny wybór?

Następnego dnia, korzystając z tego, że ojciec uciął sobie poobiednią drzemkę, Zana postanowiła zwierzyć się Caroline z rozmowy z Kurtem. Zbyt długo szukała odpowiedzi na pytanie, co robić dalej. Był już najwyż-

szy czas, żeby powiedzieć rodzinie, że zdecydowała się wyjechać do Londynu.

Zaskoczyły ją łzy w oczach Caroline. Nie oczekiwała takiej reakcji.

- Czuję się winna pochlipywała Caroline. - To wszystko przeze mnie. . Co teraz powie twój ojciec?

- Przecież tatuś uważa, że to dobry pomysł...

- Wcale tak nie uważa. Jest temu bardzo przeciwny i robi sobie straszne wyrzuty, że namówił cię na przyjazd do Missisipi. Jest przekonany, że tylko czekasz na okazję, by stąd wyjechać, ale ja myślę, że on się myli. Tak naprawdę, to ty wcale nie chciałaś opuścić tego miasta i robisz to tylko z mego powodu. - Caroline rozpłakała się na dobre.

Zana nie wiedziała, co ma zrobić czy powiedzieć, aby powstrzymać łzy macochy. W końcu przytuliła ją do siebie, prosząc, by przestała się niepotrzebnie oskarżać.

- Moja decyzja nie ma nic wspólnego z tobą - kłamała. - Chodzi mi po prostu o to, by mieć bliższy kontakt z baletem.

Caroline przestała płakać, ale w dalszym ciągu robiła sobie wyrzuty. Kręciła się przy tym nerwowo po kuchni: chciała zdjąć z ognia patelnię i szukała uchwytu. Na patelni smażyły się placki z cukinii, ulubiony przysmak Briana. Na prośbę Caroline Zana bez oporów zgodziła się wstąpić do rezydencji i zanieść porcję placków Brianowi.

- Miałam zamiar sama mu je zanieść - mówiła Caroline - ale nie chcę, żeby zobaczył moje podpuchnięte od płaczu oczy. Zaraz zacząłby mnie wypytywać.

Zana miała już dość samokrytycznych żalów Caroline i poszłaby gdziekolwiek, byle ich nie słuchać. Ale w połowie drogi do pałacu przyszło jej nagle do głowy, że została tam wysłana celowo. Starła się przypomnieć sobie, ile to razy wysyłano ją ostatnio do rezydencji. Jeśli tylko Brian nie miał być na kolacji, od razu pod byle pozorem wyprawiano do niego Zanę. To jasne, że

Caroline nie pomija żadnej okazji, aby doprowadzić do zbliżenia między swoim synem i Zaną. Ten nieoczekiwany, żeby nie powiedzieć niepokojący, wniosek Zana bez trudu wysnuła z jej postępowania. Ciekawe, czy Brian wie o usiłowaniach swojej matki, by ich wyswatać, i co o tym sądzi.

Przypuszczała, że jeśli wie, to jest wściekły i na pewno ucieszy go wiadomość, że Zana zdecydowała się wyjechać do Londynu.

Tymczasem stosunek Briana do tej sprawy bardzo się różnił od tego, co ona sobie założyła. Wyszedł jej naprzeciw i spotkali się przy samochodzie.

- Mama zadzwoniła do mnie i powiedziała mi o waszej rozmowie. Nie rozumiem, co chcesz przez to osiągnąć? - spytał przez zaciśnięte zęby. - Gdy parę dni temu wspomniałaś o Kurcie, myślałem, że mówisz tak, żeby mi zrobić na złość. Nawet przez chwilę nie wierzyłem, że serio myślisz o wyjeździe.

Jego słowa jeszcze bardziej umocniły ją w przekonaniu, że specjalnie ją tu przysłano. Caroline wątpiła, czy udajej się nakłonić Zanę do pozostania w Natchez. Wolała, żeby to zrobił Brian; wierzyła, że uczyni to z lepszym skutkiem.

Brian wziął z rąk Zany talerz z plackami, postawił go na dachu samochodu i chwycił ją za ramię.

- Dlaczego sprawiasz nam wszystkim kłopoty? - spytał ostro.

Odchyliła się do tyłu, na próżno usiłując zachować między sobą a nim nieco większą odległość.

- Nieprawda! - krzyknęła. - Staram się rozwiązywać problemy, a nie stwarzać je. A teraz puść mnie! - Próbowała wyrwać się, ale Brian mocno trzymał jej ramię.

- Więc ty tak na to patrzysz? Myślisz, że nas uszczęśliwisz, jak wyjedziesz? Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo to zmartwi moją mamę? Ona czuje się tak, jakby cię przepędziła z własnego domu. Czy nie

możesz jeszcze trochę z rym zaczekać i nie robić im takiej przykrości?

Im? - zdziwiła się.

- Twemu ojcu też. Russell jest jeszcze bardziej niezadowolony niż mama, a gdy on się martwi, mama to przeżywa w dwójnasób

- Jeśli się nie mylę, to sam mi powiedziałaś, że powinnam skończyć z ochranianiem mego ojca. Ja tylko usiłuję pójść za twoją radą... - dodała, usuwając jego palce ze swego ramienia.

- Ach tak? Więc jeśli mnie tak słuchasz, to zastanów się nad moją propozycją: jeśli całe życie troszczyłaś się o ojca, to dlaczego nie mogłabyś tego zrobić jeszcze przez kilka miesięcy? Daj im trochę czasu, żeby uładzili swoje małżeństwo. A poza tym twój ojciec nie chce, żebyś pracowała z Rutherfordem Russell nie znosi tego faceta. Nie wiedziałaś o tym?

Zana w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, żeby Russell kiedykolwiek źle się wyraził o Kurcie czy o kimkolwiek innym. Ojciec z reguły nikogo ostro nie krytykował. Nawet wobec swego ojca był pobłażliwy.

- Nie wierzę ci! - powiedziała wprost.

- To go spytaj! Powie ci, jak go wkurza ten elegancki uwodziciel, tańczący na czubkach palców.

Zana nerwowo ssała dolną wargę. Nie chciało jej się wierzyć, żeby Russell przywiązywał do jej wyjazdu aż tak wielką wagę, by miał dyskutować o tym z Brianem.

- No dobrze! Powiedzmy, że nie pojedę do Londynu. Poradź mi wobec tego, co mam ze sobą zrobić, gdzie się podziać? Tak jak jest, już dłużej być nie może. Czuję się we własnym domu jak jakiś zboczony podglądacz zakochanych. Nasi rodzice potrzebują prywatności i muszą ją mieć. Mogę oczywiście pozostać w Natchez i znaleźć sobie inne mieszkanie, ale to też nie rozwiązuje sprawy. Twoja matka nadal będzie się czuła winna, że przez nią wyprowadziłam się z domu. Sam widzisz, w jakim jestem impasie. I co? Masz na to jakąś radę?

- Jeszcze nie, ale coś wymyślę. Może wspólnie znajdziemy jakieś rozwiązanie? Zjedz dziś ze mną kolację, to porozmawiamy.

- Przecież właśnie rozmawiamy. Jeśli masz jakiś pomysł, to powiedz!

Brian spojrział na zegarek.

- Niestety, muszę się teraz spotkać z klientem, a ty też, jak widzę, wybierasz się do studia. Ale do wieczora już niedaleko. Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Kochanie, radzę ci włożyć tę czerwoną suknię na ramiączkach i do tego blezer w tym samym kolorze. Brian uwielbia żywe kolory. - Caroline stała w drzwiach sypialni Zany i wydawała jej jedno polecenie za drugim, niczym inspicjent w teatrze przed premierą. Zana żałowała, że się umówiła z Brianem, by wstąpił po nią do domu. To nie był mądry pomysł. Trzeba się było spotkać z nim tak, żeby rodzice o tym nie wiedzieli.

Russell też nie zachowywał się zbyt subtelnie. Chyba z sześć razy wchodził do pokoju Zany: a to meldował jej, że łazienka już wolna, a to pytał, czy nie trzeba jej czegoś wyprasować, to znów sugerował, że lepiej wygląda z rozpuszczonymi włosami. Zana czuła się jak jagnię przeznaczone na ofiarę.

Nie dość, że ciotka robiła jej wciąż uwagi na temat Briana, to teraz jeszcze Caroline i Russell zaczęli podejrzewać, że coś ją z nim łączy. A niechby tych troje domorosłych kupidynów znalazło sobie wreszcie inną ofiarę, a jej dało spokój! Brian Westbrook nie wierzył w miłość ani w małżeństwo, a ona nie miała zamiaru być niczyją zabawką...

Mimo wszystkich zastrzeżeń, Zana lubiła przebywać w towarzystwie Briana. Nawet samo patrzenie na niego sprawiało jej przyjemność. A gdy wieczorem wybrali się do restauracji, Zana pękała z dumy, widząc pełne podziwu spojrzenia, jakimi kobiety obrzucały Briana. Zwróciła na to uwagę, gdy przechodzili przez salę, aby

dotrzeć do zarezerwowanego stolika pod oknem. Brian specjalnie zamówił ten stół, bo rozciągał się stamtąd wspaniały widok na Missisipi.

Zana nie miała najmniejszych wątpliwości, że Brian jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich w życiu spotkała, a już na pewno najprzystojniejszym spośród tych, z którymi umawiała się na randki. Dzisiejsze spotkanie nie było jednak, zdaniem Zany, prawdziwą randką. Ta wspólna kolacja miała przecież określony cel: chodziło o przedyskutowanie ważnego problemu.

No cóż, każda kobieta chciałaby się znaleźć w towarzystwie tak fascynującego mężczyzny jak Brian, szczególnie gdy był taki miły, jak dzisiejszego wieczoru. Starał się nie tylko być dowcipny i ujmujący, ale unikał również wszelkich drażliwych tematów. Ta jego przesadna ostrożność wzbudziła w niej nawet pewną podejrzliwość.

Na początku zachowywali się jak prawdziwi światowcy i prowadzili konwersację na różne neutralne tematy. Rozmawiali o pogodzie i o muzyce klasycznej, a potem dyskutowali o pewnej sensacyjnej powieści, która wyszła spod pióra ich rodaka z Missisipi i właśnie ukazała się w księgarniach.

Wino, które Brian zamówił do kolacji, w połączeniu z przyjemną pogawędką, szybko wprowadziło Zanę w dobry nastrój. Poczuli się do tego stopnia zrelaksowani, że gdy w końcu Brian wrócił do sprawy rezydencji, była niemal zaskoczona.

- Wydaje mi się, Zano - powiedział - że znalazłem dobre wyjście z sytuacji, takie, z którego także nasi rodzice powinni być zadowoleni.

- Ach tak? - Obracała w palcach nóżkę kieliszka, czekając co powie dalej.

- Zaczę od tego, że oni są naprawdę szczęśliwi w tym domku, gdzie teraz mieszkają i zamierzają tam zostać na stałe.

- Skąd ta pewność?

Dowiedziałem się, że Russell kupił ten dom od firmy, która go wam wynajmowała. Chyba o tym słyszałaś?

Nie słyszała, ale potaknęła, chcąc ratować twarz. To podobne do Russella, że nic jej nie powiedział. Rzadko informował ją o swoich interesach; zwykle dowiadywała się po fakcie. Oby tylko nie okazało się, że zdążył już wydać całą odziedziczoną fortunę... Zastanawiała się, dlaczego ojciec podzielił się wiadomością o kupnie domu z Brianem, a nie z nią. Czyżby się bał jej o tym powiedzieć? Może myślał, że jak się dowie, to gotowa tym szybciej wyjechać do Londynu.

- Wygląda na to, Zano, że zostanę zupełnie sam w rezydencji. - Mówiąc to ujął jej dłoń i to dotknięcie dziwnie ją spłoszyło. - Chciałbym wiedzieć - ciągnął dalej - co teraz planujesz, zakładając oczywiście, że nie chcesz zostać z rodzicami.

- Przecież stale powtarzam, że nie zostanę z nimi. Pojadę do Londynu.

- Nie! To nie wchodzi w rachubę i nie wierzę, że tego naprawdę pragniesz. Przecież w ten sposób znajdziesz się blisko Rutherforda, który od lat prześladowuje cię swoją miłością. Chyba nie myślisz, że przestanie cię pożądać z chwilą, gdy zostanie twoim szefem? To raczej mało prawdopodobne.

- Wiem, ale nie jestem małą dziewczynką i potrafię sobie z nim poradzić, a poza tym nie mam wielkiego wyboru. Być może jest to dla mnie jedyna możliwość pozostania w świecie baletu.

- Przecież możesz dalej uczyć tańca tutaj w Missisipi, a jeśli chcesz bardziej aktywnie włączyć się w sprawę baletu, to też nic trudnego. Ludzie związani z Międzynarodowym Konkuresem Baletowym w Jackson będą zachwyceni, gdy zechcesz z nimi współpracować.

- A co byś powiedział, gdybym chciała znowu występować na scenie?

- A możesz? - spytał i w tym pytaniu słysząc było nutę zwątpienia i nutę współczucia.

- Nie mam pewności, ale to całkiem możliwe - odpowiedziała. - Powiedzmy jednak, że zostanę tutaj. Mieszkając razem z rodzicami na pewno nie będę szczęśliwa. Przeprowadzenie się do własnego mieszkania w mieście też, jak wiemy, nie rozwiązuje sprawy do końca.

- Jestem tego samego zdania i obawiam się, moja ty biedna Zano, że zostało ci tylko jedno wyjście: zamieszkać ze mną w rezydencji. To na pewno nas wszystkich uszczęśliwi; wszystkich z wyjątkiem Kurta, oczywiście.

Zaną zatkało z wrażenia.

- Zamieszkać z tobą? - zdziwiła się i myśląc, że to dowcip, czekała, co powie dalej. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowała jednak, że propozycja była poważna.

- Biedna Zano? - powtórzyła za nim. - Więc ty się nade mną litujesz i twoja propozycja jest po prostu gestem filantropii? Nie, pięknie dziękuję. Nie chcę od ciebie żadnych dobrodziejstw i nie mam zamiaru z tobą mieszkać. Poza tym, co by na to powiedzieli nasi rodzice? Jestem pewna, że uważaliby takie rozwiązanie za nieprzyzwoite.

- Moja mama ciągle mówi o wnukach, marzy o nich... Jestem przekonany, że oboje byliby najszczęśliwsi, gdybyśmy się pobrali.

- Świetnie to sobie obmyśliłeś... i wszystko po to, żeby uszczęśliwić swoją mamę?

- Nie wątpię, że uradowałoby to niepomierne także twego tatuśka...

- Nie mogę słyszeć, jak ty się bez szacunku wyrażasz o moim ojcu. Chyba jesteś o niego zazdrosny.

- Zazdrosny o Russella? Nie bądź śmieszna! To ty byłaś przez całe lata pępkiem świata i nie chcesz zrezygnować z wyłącznych praw do uczuć swego ojca na rzecz mojej mamy.

- Ona ci to powiedziała?

- Oczywiście, że nie. - Dał znak kelnerowi i sięgnął po portfel. - Chodźmy już stąd. Nie przewidziałem, że się pokłócimy.

- Myślałeś, że potulnie zgodzę się na wszystko, co sobie zaplanowałeś?

- Wcale nie, ale też nie sądziłem, że będziesz aż taka uparta. Prosiłaś mnie, żebym znalazł wyjście z obecnej kłopotliwej sytuacji. Zrobiłem to. Myślałem, że spodoba ci się mój pomysł.

- Otóż nie! Wcale mi się nie podoba i bardzo wątpię, żeby wzbudził entuzjazm naszych rodziców. Powiedziliby, że żyjemy w grzechu... - Zdawała sobie sprawę, że to brzmi po wiktoriańsku, ale była pewna, że jej ojcu nie odpowiadałoby takie rozwiązanie, i - pomijając wszystko inne - ona sama też nie czułaby się dobrze w takiej sytuacji.

- Przecież nie proponuję niczego grzesznego. To jest bardzo duży dom. Możesz się wprowadzić do tego skrzydła, które miała zająć moja mama. Na pewno nie będziemy sobie wchodzić w drogę...

- Tata i Caroline nigdy się na to nie zgodzą.

- Wyrośliśmy już z pieluszek i nie musimy ich prosić o zgodę. Nie jest nam potrzebne ich pozwolenie. Może się mylę, ale jestem przekonany, że im obojgu spodoba się to rozwiązanie.

Zana nie chciała kontynuować tej rozmowy. Trudno jej było uwierzyć w szczerą intencję. Miała nawet wrażenie, że jej odmowa przyniosła mu ulgę.

- Jeszcze niedawno ostrzegałeś mnie, żebym nie próbowała zaciągnąć cię do ołtarza, bo to się nie uda. Teraz też nie wiadomo, jakbyś zareagował, gdybym się zgodziła.

Tymczasem wjechali na podjazd prowadzący do jej domu. Brian zgasił przednie światła, odpiął pas i pochylił się ku niej.

- Wiesz co? Porzućmy na razie ten temat. Proszę cię tylko, żebyś spokojnie rozważyła wszystkie aspekty mojej propozycji. Przemyśl to sobie, Zano, dobrze?

Był tak blisko, że czuła jego oddech na policzku. Musiała się z całej siły powstrzymać, żeby nie dotknąć jego twarzy.

- Dobrze? - nalegał.

- Dobrze! Przemyślę to - odpowiedziała drżącym głosem. Poczwała do niego taki nieprzeparty pociąg, że nie była w stanie myśleć logicznie. Było jej wszystko jedno, jak zareagują ich rodzice, co powie ciotka Cii lub jakie mogą być konsekwencje jej decyzji. Myślała tylko o tym, jak bardzo pragnie, by Brian trzymał ją w objęciach i całował.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Pomyśl o tym, Zano! - prosił ją Brian, a ona wróciwszy do domu, szukała samotności, aby spokojnie rozważyć sytuację. Najlepszym schronieniem przed Russellem i Caroline okazała się łazienka. Przygotowała sobie kąpiel z bąbelkami i siedząc w wannie zastanawiała się, jak ma postąpić.

Brian miał rację ostrzegając ją przed ryzykiem, jakie kryła w sobie praca z Rutherfordem. Chodziło nie tylko o natarczywe zaloty Kurta. Najgorsze było to, że straciła serce dla baletu. Dawniej taniec był celem jej życia: był najważniejszy. Teraz ostygła w zapale.

Bała się, że tego właśnie Kurt nie zaakceptuje. Dla niego nie było istotne, czy ona występuje na scenie, czy uczy tańca. Chodziło mu tylko o to, by zawsze stawiała balet na pierwszym miejscu: przed przyjaciółmi, przed rodziną, ba, nawet przed nim samym. Oczekiwał od niej stosowania takiej hierarchii wartości, jaką sam uznawał. Wiedziała, że w przeciwnym razie kłótniom nie będzie końca.

Spała niespokojnie. Zbudziła się z takim samym poczuciem bezradności, jak przed zaśnięciem. Praca u Kurta na pewno nie była dobrym rozwiązaniem, ale mieszkanie z Brianem było jeszcze gorsze. Wprawdzie zapewniał, że ich stosunki będą czysto platoniczne, ale ona wiedziała swoje: przewidywała mnóstwo kłopotów.

Mając rodziców zupełnie pozbawionych zmysłu praktycznego, Zana z konieczności nauczyła się kierować w życiu rozsądkiem, a ten mówił jej, że pożądanie, jakie ona i Brian wzajemnie w sobie wzbudzają, jest zbyt gwałtowne, by mogli mu się oprzeć.

W tej sytuacji jedynym logicznym wyjściem byłoby wynajęcie mieszkania na mieście, ale jakoś ostatnio trudno jej było myśleć logicznie. Poza tym bała się, że przeprowadzką sprawi przykrość ojcu i Caroline.

Obudziła się wcześniej, przed siódmą, i postanowiła od razu pojechać do studia. Nie miała umówionych lekcji, ale była przekonana, że nic jej tak nie oderwie od myślenia o kłopotach, jak solidne, kilkugodzinne ćwiczenia. Zakładała, że jeśli się pośpieszy, to zdąży wyjść, nie spotkawszy się z rodzicami, bo zwykle o tej porze ojciec i Caroline odbywali swój poranny spacer. Panująca w domu cisza wskazywała na to, że już wyszli. Szybko się ubiorę, wypiję filiżankę kawy i zostawię im notatkę na kuchennym stole - pomyślała.

Musiała się jednak pomylić w swoich rachubach, bo gdy weszła do kuchni, zobaczyła taką scenę: Caroline pochylona nad piecem smażyła naleśniki, a Russell stał za nią i opasywał ją ramionami w pasie. Musieli chyba zapomnieć o jej obecności.

Mój Boże! - zgorszyła się Zana. On ją całuje w ucho! Tak ją ten widok zaszokował, że cichutko wycofała się z kuchni, by jej nie usłyszeli, porwała swoją torebkę i siatkę ze strojem do tańca, i pędem ruszyła do wyjścia.

Może trzeba było coś powiedzieć? - zastanawiała się potem. Ale co? Może miała im się tłumaczyć? - Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam napić się kawy... Przez całą drogę do studia nie przestawała o nich myśleć. Czuła się sfrustrowana i za ten stan ducha winała zarówno siebie, jak i rodziców.

Wczoraj w holu była świadkiem, jak ojciec ukradł macosze całusa, a dzień wcześniej na własne oczy widziała, jak Caroline poklepywała męża po siedzeniu. Miała do nich pretensję, że zachowują się nie tak, jak przystało na ich wiek, a równocześnie wiedziała, że to bez sensu, bo przecież Russell i Caroline byli nowożeńcami.

To był jej pech, że stale ich przyłapywała w intymnych sytuacjach, niemniej znosiła to coraz gorzej. Może gdyby więcej czasu upłynęło od śmierci matki, nie reagowałaby tak ostro...

Przebrała się w rajstopy i trykot i rozpoczęła serię ćwiczeń na rozgrzewkę. Myślami wciąż jednak wracała do sceny, której była świadkiem. W końcu doszła do wniosku, że czułaby się zawsze nieswojo w takiej sytuacji, bez względu na to, ile czasu upłynęłoby od śmierci matki. Russell i Caroline zachowywali się jak normalna para małżeńska i mieli do tego pełne prawo, ale większość dorosłych dzieci byłaby zażenowana widokiem tego rodzaju czułości, nawet gdyby chodziło o własnych rodziców.

Wprowadzenie się do Briana też jej nie urządziło. Wprawdzie rozwiązywało pewne problemy, ale równocześnie stwarzało wiele nowych. Trzeba się zdecydować na wyjazd do Kurta do Londynu - pomyślała. Przynajmniej wiem, czego się mogę po nim spodziewać i na pewno mi nie grozi, że będę z nim musiała dzielić mieszkanie. Mimo to, wyjazd do Londynu wydawał jej się dziwnie nieatrakcyjny.

Spędziła w studio wiele godzin, nie podjawszy żadnej decyzji. W końcu postanowiła przestać o tym myśleć i zajęła się tańcem. Wykonała trudne solo z „Ognistego ptaka” i puszczając wodze fantazji, zaczęła sama przed sobą udawać, że występuje na próbnym pokazie przed Balanchinem i została wytypowana, by zagrać razem z Barysznikowem na planie filmowym w Rosji. Nawet powtarzała sobie po rosyjsku zwrot, którego nauczyła się kiedyś, gdy była na występach w Moskwie z okazji Międzynarodowego Konkursu Baletowego.

- Wot moj passport - powiedziała na głos. To chyba znaczy: „Oto mój paszport”, ale nie była tego do końca pewna.

Na próżno usiłowała oddalić od siebie nękające ją myśli o ojcu, Caroline i Brianie. Wracały jak bumerang. Wciąż nie wiedziała, co począć z niepoważną propozy-

cją Bnana. W końcu poczuła, że ją rwie w kolanie, przestała ćwiczyć i zabrała się do papierkowej roboty.

Usiadła przy biurku i bolącą nogę ułożyła wygodnie na przystawionym krześle. Właśnie zabrała się do wypisywania kwitów, gdy do studia wszedł Brian.

- Powinnaś zamykać drzwi, gdy jesteś tu sama. To niebezpieczne... - i spojrzął na nią z niepokojem.

Masz rację! Nigdy nie wiem, kto mi się tu może wpakować ..

Zaśmiał się.

Widzę, że będę miał złośliwą współlokatorkę.

Być może, ale to nie będę ja.

Zdjął z krzesła jej nogę, usiadł i położył tę nogę na swoje kolana.

Nie czujesz się dziś dobrze? - spytał i zaczął masować jej łydkę.

Trochę mi dziś dokuczają noga - przyznała, zdziwiona, że ją tak szybko rozszyfrował.

Czy nie miałybyś ochoty wybrać się na piknik? Mam w samochodzie gotowy obiad. Możemy pojechać do Natchez Tracę i poszukać tam miejsca do biwakowania.

Propozycja wydała jej się pociągająca, mimo że od przyjazdu do Missisipi była już tam dwa razy. Przepadała za tym starym historycznym traktem, którym przed wiekami ciągnęli Indianie ze szczepu Natchez i gnali swoje bawoły. W niektórych miejscach można było natrafić na zachowane do dziś autentyczne odcinki indiańskiej ścieżki. Spacerując po nich, Zana lubiła sobie wyobrażać, że cofa się w głąb minionego czasu. Wiodącą tym szlakiem szosę otaczała z dwóch stron stara puszcza. Panowała tu cisza. Jedynymi dźwiękami, jakie się słyszało, było melodyjne nawoływanie się ptaków i szum strumyka.

Dzisiejszy nastrój Zany nie sprzyjał jednak temu, by znaleźć się z Brianem w odludnym miejscu. Szukała więc w myśli jakiegoś argumentu, żeby mu odmówić. W końcu udało jej się znaleźć coś przekonującego.

- Coś ty? powiedziała. - Przy takiej pogodzie? Przecież jest straszny upał. Będzie chyba ze trzydzieści pięć stopni. I ta wilgotność... Nie, to byłoby nie do zniesienia...

- Czekaj, mam jeszcze w zanadrzu plan „B”: piknik nad basenem w rezydencji.

- Dziękuję za zaproszenie, ale po pierwsze nie jestem głodna, a po drugie mam masę pracy.

- Praca poczeka. Obiecałaś, że zastanowisz się nad propozycją zamieszkania ze mną w rezydencji. Musisz koniecznie jeszcze raz zobaczyć to miejsce. To ci ułatwi powzięcie decyzji. Czy wiesz, że dziś rano przywieziono meble do wschodniego skrzydła? Już się można wprowadzać. - Zdjął jej nogę ze swoich kolan i postawił na ziemi. Potem pociągnął ją, by wstała z fotela. - Chodź! Jest jedenasta trzydzieści. Wkrótce pora na obiad.

Poszli na kompromis. Postanowili wpierw szybko przejechać się wzdłuż trasy, a potem wrócić do rezydencji na piknik. Przed obiadem chcieli popływać w basenie, ale okazało się, że Zana nie ma stroju kąpielowego. Brian znalazł dobre wyjście, oferując jej nowiutkie kostiumy, które niedawno kupiła sobie na zapas Caroline.

Z przyjemnością zanurzyła się w chłodnej wodzie, żeby zmyć z siebie zmęczenie po ćwiczeniach w studio i po jeździe samochodem w tak parny dzień. Gdy posiedziała jakiś czas w wirującej kąpieli, od razu poczuła ulgę w rwącym kolanie. Miała ochotę mruzczyć jak kot z zadowolenia, że kąpiel uwolniła ją od bólu i pomogła się zrelaksować.

Wkrótce na stole w patio zostało już tylko parę okruszyn z obiadu, a oni nadal siedzieli, leniuchując w wygodnych fotelach, i popijali lodowatą herbatę. Brian zaserwował ją tak, jak Zana lubiła, z cytryną i liśćmi mięty. Otworzył nawet ogrodowy parasol, żeby ochronić jej jasną skórę przed palącym słońcem.

- Czy nie przesadzasz z troskliwością?

- Chcę ci tylko pokazać, jakim byłbym uważającym współlokatorem - odrzekł i przesunął swój fotel z cienia na bardziej słoneczne miejsce.

Zana patrzyła, jak światło słoneczne lśni na jego wilgotnych włosach i rozmyślała o tym, co powiedział. Miała dziwne przekonanie, że wszystko co Brian robi, robi tylko po to, by uszczęśliwić swoją matkę. Uznała, że dla niej jest to żenująca sytuacja.

- Czy już mówiłeś o twoim pomysle z naszymi rodzicami? - spytała.

- Ależ nie! Niech to na razie zostanie między nami. Powiemy im dopiero wtedy, gdy się zgodzisz.

- Im się ten pomysł na pewno nie spodoba.

- To trudno! Nam też się nie spodobał pomysł ich nagłego ślubu. . Ale bez względu na to, czy nam się on spodobał, czy nie, okazało się, że to wcale nie było takie złe. Mama jest szczęśliwa, Russell też. Trzeba tylko zadbać o to, żeby ten stan utrzymać, nie sprawiając przy tym przykrości sobie.

- Chcesz powiedzieć, że gdy ze sobą zamieszkamy, będą jeszcze bardziej szczęśliwi?

- Na pewno nie wyrządzimy im przez to żadnej krzywdy. Naprawdę, Zano, postaraj się nie utrudniać wszystkiego!

- Wciąż nie mogę się zdecydować...

Brian wstał z miejsca.

- Widzę, że czas wytoczyć cięższe działa. Chodź, obejrzymy wschodnie skrzydło. Może to cię przekona.
- Pociągnął ją za rękę, by wstała i ruszyli w stronę domu.

W wystroju sypialni znać było rękę kobiecą. Ściany utrzymane były w delikatnej bladożółtej tonacji, a dominującymi kolorami zasłon i dywanów były żółty i niebieski. Meble były stare, antyczne, wiktoriańskie. Łóżko z baldachimem, opartym na czterech rzeźbionych słupkach, przykrywała szydełkowa narzuta. Na jednej ze ścian zgrupowano interesujące litografie Curriera i Ivesa. Ciepły akcent stanowiły dekoracje kwietne, do których użyto różnych gatunków kwiatów.

Caroline pięknie urządziła ten pokój - powiedziała Zana. - Jaka szkoda, że nie będzie mogła nim się cieszyć.

- Ja też tak to odczuwam i sędzę, że to jeszcze jeden powód, żeby tego wszystkiego nie zaprzepaścić, nie spisać na straty. Jej strata może stać się twoim zyskiem.

- No cóż, przyznaję, że to bardzo kusząca perspektywa... - Zana była szczerze zachwycona tym pokojem. Oczami wyobraźni już się tu widziała. Może by wprowadziła jedną czy dwie zmiany... Brakowało tu fotela bujanego przy kominku i poduszki na ławeczce w oknie wykuszowym. To dodać, a urządzenie sypialni będzie bez zarzutu. Otrząsnęła się z marzeń. O czym ja myślę? Przecież nie mogę mieszkać razem z Brianem.

Tak być nie może! - powiedziała na głos. - To się nie uda!

Dlaczego, na miłość boską? Może zamieszkasz tu na razie tylko na dwa miesiące? Rozważ to! W ten sposób twój problem zostanie doraźnie rozwiązany, a jestem pewny, że Kurt zgodzi się utrzymać tę posesję dla ciebie przez jakiś czas.

- Ależ mnie nie chodzi o posesję...

- Więc o co? Tylko nie odpowiadaj mi, proszę: „nie, bo nie!”. Chcę poznać prawdziwy powód.

- Czy zawsze musisz postawić na swoim? - Zana nie miała zamiaru dłużej wałkować tej sprawy. Zbyt wielkie miała pokusy. Kusiła ją nie tylko piękna sypialnia, ale sama perspektywa zamieszkania z Brianem. - Przepraszam cię, Brian - wyjąkała w końcu - ale nie... nie mogę tu zamieszkać.

- Nie przyjmuję „nie” zamiast rzeczowej odpowiedzi. Co ci szkodzi spróbować przez kilka tygodni? Przecież nie mówimy o zamieszkaniu tu na długo. Jeśli ci się nie spodoba, możesz w każdej chwili spakować manatki i wyprowadzić się. Oczywiście, decyzja należy do ciebie. Mówiąc szczerze, dlaczego mam patrzeć, jak moja matka płacze, bo ty nie chcesz pójść na kompromis.

Poczuła się winna. Miała rację. Jest zbyt uparta. Skoro on się zgadza, żeby tu na jakiś czas zamieszkała, to powinna zaakceptować takie rozwiązanie. Trzeba tylko wypracować jakiś modus.

- A co z czynszem? spytała.

- Nie bądź śmieszna. Nie będę od ciebie brał czynszu.

- Ja jednak nalegam. Absolutnie nie zgadzam się żyć na twój rachunek.

- Dobrze, obliczę, ile to ma kosztować i skoro masz się dzięki temu dobrze tutaj czuć, to płac! Zrobię wszystko, byleś zgodziła się tu zamieszkać... - Brian najwidoczniej zaczął się już relaksować. Wyciągnął do niej rękę i pieszczotliwym ruchem przejechał nią po jej policzku.

Zana przez chwilę myślała, że weźmie ją w ramiona i właśnie teraz chętnie pozwoliłaby mu na to. W wyobraźni czuła już uścisk jego ramion i smak jego pocałunku. Uświadomiła sobie, jak bardzo właśnie dlatego niewskazane byłoby jej wprowadzenie się do rezydencji. Powie mu, że zmieniła zdanie i będzie musiał zgodzić się z jej decyzją. Tymczasem, gdy otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć, sama nie wiedząc dlaczego, wyraziła zgodę, a nie sprzeciw.

- A więc dobrze, zgadzam się - powiedziała. - Zróbmy to, ale tylko na próbę.

- Świetnie! - ucieszył się Brian. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- I jeszcze jedno - dodała. - Skoro mam tu zamieszkać, to nasze stosunki muszą być platoniczne. Czy wyrażam się jasno?

Uśmiechnął się.

Żadnego całowania...

- Tak! Żadnego całowania, żadnego masowania nóg, w ogóle nie będziemy się dotykać. Dobrze?

- Dobrze! - zgodził się i wyciągnął rękę, by uściskiem dłoni przypieczętować porozumienie.

Ale ręce Zany nie oderwały się od jej boków; były jak przyklejone.

- Przepraszam, zapomniałem, że nie wolno cię dotykać. Uśmiechnął się szeroko i jakby trochę triumfująco.

Wcale się tym nie przejęła: niech on sobie myśli, że odniósł zwycięstwo. Na swój sposób i ona odczuła ulgę, nawet większą, niż się spodziewała. Z radością myślała o tym, że wyprowadzi się z domu i nie będzie musiała widywać Russella i Caroline. Będzie też miała więcej czasu, aby powziąć ostateczną decyzję co do swojej przyszłości. Był koniec lipca. Kurt zapewnił ją, że lekcje tańca w jego londyńskim zespole nie zaczną się przed jesienią. Jeśli zechce, zawsze będzie mogła w porę do niego dołączyć. A jeśli nie zechce? No cóż? Przeprowadzka do rezydencji będzie pierwszym krokiem ułatwiającym jej ewentualne wynajęcie sobie potem własnego mieszkania na mieście. Wtedy to już nie powinno być takie skomplikowane.

- Teraz możemy już powiadomić rodzinę o naszej decyzji - oznajmiła Brianowi. - Ciotka Cii ma przyjechać na weekend, aby kontynuować przygotowania do balu. Jest więc szansa, aby spotkać się i porozmawiać z całą trójką.

Było już ciemno, gdy Brian zawiózł ją do studia, gdzie zostawiła samochód. Przedtem zadzwoniła do Russella i Caroline, aby ich powiadomić, gdzie jest. Poczowała ulgę, że nie wypytywali jej, jak spędziła popołudnie. W ogóle o nic jej nie pytali, gdy wróciła. Byli zbyt zajęci, aby poświęcić jej uwagę. Koncertowali w duecie na pianinie i skrzypcach. Widząc, jacy są ze sobą szczęśliwi, Zana jeszcze raz stwierdziła, że to małżeństwo było błogosławieństwem dla nich obojga. Cieszyła się ich szczęściem.

Tej nocy, siedząc na brzegu łóżka, wpatrywała się w swoje zniekształcone odbicie w ciemnych szybach okna i nie wierzyła samej sobie, że się naprawdę zgodziła przeprowadzić do rezydencji. Czyżby Brian działał na nią tak paraliżująco, że zatracala zdolność

normalnego myślenia? Musiało w nim być coś takiego, co powodowało zamęt w jej głowie i robiła rzeczy, których potem żałowała.

Słyszała przez ścianę, jak Russell i Caroline szykowali się do spania, a potem chrzęst materacy i skrzypienie sprężyn, gdy się położyli. Była ciekawa, czy kochali się ze sobą. Nie, chyba nie! Musiałyby słyszeć, gdyby to robili. Ten domek był zdecydowanie za mały dla trojga. Nie miała już żadnych wątpliwości.

Jak jednak może zamieszkać pod jednym dachem z Brianem, skoro tak nieprzyzwoicie fantazjuje na jego temat? Nieraz już tęskniła za mężczyzną, który by trzymał ją w ramionach i kochał się z nią. Ten mężczyzna z jej wyobraźni nigdy nie miał twarzy. Teraz to się zmieniło. Wiedziała, że ma twarz Briana.

Nawet jeśli przeprowadzenie się do rezydencji było błędem, była zdecydowana go popełnić. Zresztą to i tak będzie krótkotrwały eksperyment: będzie tam mieszkała tylko tak długo, dopóki Russell i Caroline nie przyzwyczają się do nowej sytuacji, a ona nie uporządkuje swego życia.

Na sobotę wieczór Brian zaprosił całą rodzinę do rezydencji. Kolację przygotowała nowo przyjęta kucharka, Maudie. Potrawy podano z dużą pompą w stołowym. Brian miał nadzieję, że elegancka oprawa przyjęcia pomoże rodzinie zaakceptować fakt, że Zana wprowadza się do rezydencji. Wierzył nawet, że uznają to za jedyne mądre rozwiązanie. Gdy ją zobaczą w pałacu, zrozumieją, że właśnie tu jest jej miejsce.

Podczas kolacji Cil i Caroline cały czas dyskutowały o balu. Cil nalegała na jak najszybsze wyznaczenie daty, aby można już było zamówić zaproszenia.

Dopiero gdy na stole zjawił się deser, a był nim tort pralinowy, Brian odchrząknął i głośno oznajmił:

- Zana i ja mamy wam coś do zaanonsowania.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Ciotka odłożyła widelec z ciastem z powrotem na talerz i z uwagą czekała, co powie.

- Chcę was powiadomić, że Zana wprowadza się do wschodniego skrzydła rezydencji, które kiedyś było pomyślane dla mamy. - Rzucił okiem w stronę Caroline.
- A więc będziemy, że tak powiem... współlokatorami.

Przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem słyszalnym w jadalni był delikatny szum wentylatora, umieszczonego na suficie.

W końcu Caroline przerwała milczenie:

- To miło... mój drogi... - wybąkała, jękając się.

Dalszych komentarzy nie było. Brian spojrzął na ciotkę:

- A co z tobą, Cil? Zatkano cię?

- Chyba masz rację. Prawdę mówiąc, oczekiwałam, że powiesz coś całkiem innego.

Zana dobrze wiedziała, czego Cil i dwoje pozostałych oczekiwali: zawiadomienia o ślubie. Wszyscy byli rozczarowani; nawet Sid, leżący na kredensie, spozierał na nią z dezaprobatą.

Brian zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył.

- A więc, skoro to już załatwione, to przejdźmy do pokoju muzycznego na kawę.

Rozsiedli się na wygodnych kanapkach i w przepastnych fotelach i spędzili tam następną godzinę, wymieniając miłe, ale nic nie znaczące słówka. Temat balu jakoś się rozplątał, a o przeprowadzce Zany w ogóle nie było już mowy.

Następnego rana zaczęła się pakować. Zakładała, że nie zostanie w rezydencji zbyt długo, zastanawiała się więc, co zrobić z rzeczami, których na razie nie będzie potrzebowała. Gdyby je zostawiła w domu, musiałaby wszystkim opowiedzieć, że planuje tylko krótki pobyt w rezydencji, a tego nie chciała. W końcu spakowała wszystkie rzeczy do pudeł, z których część postanowiła zabrać do rezydencji, a resztę zawieźć na przechowanie do studia.

Brian przysłał jej samochód dostawczy, którego kierowcą był jego nowy dozorca, i to on pomógł jej

załadować i przetransportować wszystkie pudła. Sam gospodarz przebywał w Memphis i stamtąd doglądał przenosin swojej firmy do Natchez.

Zana była bardzo zadowolona, że została sama w całym domu. Mogła teraz w spokoju przemyśleć tę okropną sytuację, w jakiej się znalazła. Nikt nie powiedział jej złego słowa, ale i tak wiedziała, że Russell, Caroline i Cil nie aprobowali tego, co zrobiła.

Nawet ciotka milczała, choć to było zupełnie do niej niepodobne. Zana podejrzewała, że przed powrotem do Nowego Orleanu Cil na pewno spotkała się z ojcem i Caroline i gruntownie przedyskutowała z nimi całą sprawę.

Wprawdzie w dniu jej przeprowadzki do pałacu Brian był nieobecny, ale Zana szybko się przekonała, że mieszkając tu nie będzie mogła go unikać. Mimo że dom był przestronny i każde z nich zajmowało oddzielne skrzydło, ich ścieżki wciąż się krzyżowały.

Któregoś dnia, gdy Brian wychodził na swoje poranne bieganie, a ona szła właśnie do kuchni, wpadli na siebie w holu. Brian ustąpił jej z drogi i, dając wolne przejście, uprzejmie choć zdawkowo ją przeprosił, po czym poszedł dalej. Zanie jeszcze długo po tym spotkaniu ręce się trzęsły do tego stopnia, że z trudem wzięła kawę do dzbanka.

Niedługo potem Brian wnosił na drugie piętro nowo zakupiony stolik akurat w momencie, gdy ona wychodziła do pracy. Urządził całe przedstawienie, przyciskając się całym sobą do stolika, żeby mogła go swobodnie minąć. Ona z kolei przechyliła się przez poręcz schodów, aby go nie dotknąć, ale mimo wszystko trochę się o niego otarła.

Kiedyś znowu oboje zjawili się równocześnie w kuchni, żeby wziąć sobie coś do picia. Zana zeszła na dół tylko w podkoszulku, bo myślała, że będzie sama. Strasznie się zmieszła, gdy Brian zapalił światło i zobaczył ją przy lodówce.

- Ja tylko wpadłam po mleko - wymamrotała, szybko je nalała do szklanki i pognęła do drzwi.

Wkrótce zaczęła podejrzewać, że te spotkania wcale nie były przypadkowe, że Brian robi sobie kpiny z niej i z porozumienia, które zawarli. Nawet jej nie pozwalał płacić czynszu. Chcąc go przechytryć, dowiedziała się, ile kosztuje w tej okolicy najbardziej luksusowy apartament i wypisała Brianowi czek na taką właśnie sumę. Co prawda apartament był bez porównania gorszy od jej pokoi w rezydencji i nie przewidywał usług pokojówki ani żadnych innych udogodnień, z których ona korzystała, był jednak jedynym porównywalnym obiektem, jaki miała do dyspozycji.

Gdy mu wręczyła czek, włożył go do kieszeni i chyba o nim zapomniał, bo nigdy go nie zrealizował. Zana podejrzewała, że od początku nie miał zamiaru brać od niej pieniędzy, i to ją denerwowało, bo nie chciała być jego dłużnikiem.

Pewnego dnia postanowiła znieść do swego pokoju fotel bujany, który znalazła na strychu. Wszystko szło dobrze do momentu, gdy się ten bujak zaklinował na zakręcie schodów i ani rusz nie mogła go wydostać. Pociągnęła go raz i drugi bez skutku i nagle poczuła, że na kogoś wpadła. Okazało się, że Brian stoi za nią na schodach i usiłuje jej pomóc.

- Niepotrzebnie mi pomagasz - protestowała, zaniepokojona bliskością ich ciał.

- Bądź rozsądna! Ten bujak jest większy od ciebie!

Zana jednak nie ustępowała i starając się uniknąć jego dotyku, niechcący popchnęła fotel, przez co jeszcze bardziej się zaklinował.

- Patrz, co zrobiłeś! - zawołała. - Czemu nie zostawisz mnie w spokoju? Mam już dość twoich zagrań!
- Wiedziała, że przesadza, ale on był za blisko niej, by mogła logicznie myśleć.

Brian puścił fotel i oparł dłonie na ścianie nad jej głową. Nie dotykali się teraz, ale znalazła się w pułapce pomiędzy nim a meblem.

- Nie wiem, o czym mówisz powiedział ale zapewniam cię, że nie są to z mojej strony żadne zagrania Niemniej muszę przyznać, że nasz układ wydaje mi się trudniejszy do zrealizowania, niż myślałem.

Może go źle osądziła. Być może sama podświadomie doprowadzała do tych spotkań, a teraz zwała wszystko na niego.

- Masz rację! - zgodziła się i usiadła na schodach. Brian usiadł koło niej. - Nasz problem polega na tym - mówiła dalej - że żyjemy w jakiejś nienaturalnej sytuacji. Nikt nas nie odwiedza, z nikim się nie spotykamy, a ty na pewno przywykłeś prowadzić normalne życie towarzyskie. - Doskonale wiedziała, że odkąd sprowadziła się do rezydencji, Brian nie zaprosił tu żadnej kobiety. Jego jedynymi gośćmi było dwóch kolegów, którzy przyszli obejrzeć transmisję meczu piłki nożnej w telewizji. - Mnie też jest głupio kogokolwiek tu zapraszać. To naprawdę nie jest normalne. Powinniśmy się spotykać z ludźmi, chodzić na randki.

Na randki? - spytał podejrzliwie. - Chcesz chodzić na randki? - Zadawał te pytania takim tonem, jakby Zana miała zamiar zaprosić batalion wojska, by stacjonował u niej we wschodnim skrzydle pałacu. Nie rozumiała, skąd mu się wzięło takie dziwnie nieprzychylne nastawienie. Przecież nie chciała niczego złego, pragnęła jedynie rozładować nieco atmosferę.

- Większość niezamężnych kobiet w moim wieku chodzi na randki - tłumaczyła się.

- Masz kogoś konkretnego na myśli? Może Kurt chce nas zaszczycić swoją obecnością i wybiera się tutaj...

- Nie wiem, czemu jesteś taki złośliwy... Czy to zazdrość?

- Wcale nie jestem... - przerwał, a potem uśmiechnął się i jakby z poczuciem winy dodał: - Jestem zmęczony i głodny. Czy to wystarczy za usprawiedliwienie?

- Maudie ma wychodne. Może więc pozwolisz, że ja dzisiaj przygotuję coś do jedzenia. W ten sposób odwdzięczę się za to, że jestem na twoim utrzymaniu.

- Nie! Lepiej chodźmy gdzieś na hamburgera.

Dziękuję, ale w przeciwieństwie do ciebie nie jestem głodna.

- Więc chodź, żeby mi dotrzymać towarzystwa!

- A gdy nie odpowiedziała, uśmiechnął się jak mały chłopiec i dodał: - Proszę...

- Dobrze! Zanieś ten fotel do mego pokoju, a ja tymczasem skoczę po torebkę. - Nie była pewna, czy Brian jest w odpowiednim nastroju, ale miała nadzieję, że uda jej się go przy okazji przekonać, iż powinna się wyprowadzić.

Pojechali do baru szybkiej obsługi i usiedli w kolorowej łoży z lśniącego plastyku, otoczeni gromadą rozgadanych dzieci. Co chwila dochodziły do nich przekazywane przez megafon hałaśliwe zamówienia potraw. Zanie też przysłała chętką na jedzenie, zamówiła więc dla siebie hamburgera i mleczny koktajl z wanilią.

Wkrótce poczuła się zrelaksowana i w dobrym humorze. Brian wydał jej się dowcipny i niebywale zabawny. Pękała ze śmiechu, gdy opowiadał jej, jak to panna Paulina, recepcjonistka z jego biura, natknęła się podczas pakowania na mysz. Był przy tym jeden z jego programistów, Dennis, potężne, prawie dwumetrowe chłopisko, o stu kilogramach wagi. Okazało się, że to nie Paulina, ale Dennis śmiertelnie boi się gryzoni; na widok myszy wlaźł ze strachu na biurko, Paulina zaś, z miotłą w ręce, odważnie goniła mysz po całym pokoju.

Siedzieli w restauracji ponad godzinę i wbrew temu, co przypuszczała Zana, było im ze sobą bardzo przyjemnie. Nie było w ogóle mowy o rodzicach, rezydencji czy jej ewentualnym wyprowadzeniu się.

Gdy znaleźli się z powrotem przed domem, Brian zaparkował samochód i wyciągnął do niej rękę.

- Nie chcę, żebyś się wyprowadziła, Zano - powiedział. Potem bez słowa wziął ją w ramiona i zaczął szaleńczo raz po raz całować.

W końcu oderwał się od niej, wyszedł z samochodu i pomógł jej wysiąść. Gdy stali obok siebie, przyciągnął ją gwałtownie i znowu długo i zachłannie całował. Potem, widząc, że Zana chwieje się na nogach, wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

Kiedy się znaleźli w holu, delikatnie wysunął ramię spod jej nóg, tak że się ześliznęła wzdłuż jego ciała i stopami dotknęła podłogi. Wtedy zatrzymał ją w po-trzasku pomiędzy sobą a drzwiami i po raz trzeci przyłgnął wargami do jej ust, całując ją z początku powoli i delikatnie, a potem coraz zachłanniej i bardziej pożądliwie.

Raptem wypuścił ją z objęć.

- Słuchaj, Zano - wyszeptał. - Czujemy do siebie nieprzeparty pociąg. Nie wolno nam tego ignorować. - Odwrócił się i poszedł schodami w górę, zostawiwszy ją rozdygotaną, chwytającą się klamki, szukającą oparcia .

ROZDZIAŁ ÓSMY

W następnym tygodniu Brian nie wspominał już o układzie, jaki zawarli i z miejsca ucinął rozmowę, gdy tylko Zana zaczynała przebąkiwać o wyprowadzeniu się. Jej tymczasem udało się znaleźć całkiem niezłe mieszkanie: apartament z jedną sypialnią, w małym osiedlu blisko studia.

Oboje mieli tak przeładowany plan zajęć, że trudno im było umówić się na poważną rozmowę. Zanę to nawet urządzało, bo bała się spotkań z nim. Kojarzyły jej się z niedawnymi pocałunkami, te zaś stanowiły dla niej podniecającą nowość, do której jeszcze nie przywykła. Jak to dobrze - myślała - że mieszkam w rezydencji tylko na okres próbny i mogę się stąd w każdej chwili wyprowadzić.

Pewnego wieczoru siedziała przy kuchennym stole i jadła kanapkę, równocześnie gapiąc się w telewizor z małym ekranem. Nagle w kuchni zjawił się Brian. Przez całe popołudnie przebywał u siebie na gorze i chociaż wiedziała, że już dawno wrócił do domu, dopiero teraz jej się pokazał. Wyjął z lodówki puszkę z wodą sodową i przysiadł się do niej, a ona natychmiast wyłączyła telewizor.

- Wydaje mi się - zaczął - że nasz układ mieszkaniowy nie zdaje egzaminu... - i przerwał, żeby łyknąć wody.

Zana, przekonana, że to wstęp, po którym nastąpi propozycja, żeby się wyprowadziła, postanowiła ułatwić mu zadanie.

- Nie ma problemu - zapewniła go. - Właśnie znalazłam sobie mieszkanie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz? Przecież ani słowem nie wspomniałem o tym, że miałybyś się wyprowadzić.

- Ale powiedziałaś, że nasz obecny układ jest zły.

- Bo to prawda; chcę ci jednak zaproponować inny układ. - Wziął ją za rękę. - Wyjdź za mnie, Zano! Jest nam źle, bo nie żyjemy ze sobą, tylko obok siebie. Powinniśmy się pobrać. Urządzimy skromne wesele tu w rezydencji, a potem chciałbym, żebyśmy możliwie szybko mieli dzieci. Pomyśl tylko, jak bardzo by to wszystkich uszczęśliwiło.

Zerwała się z miejsca i nie kryjąc złości, wyrwała dłoń z uścisku jego ręki.

- Widzę, że już sobie wszystko zaplanowałaś: ślub, dzieci, a wszystko po to, żeby uszczęśliwić twoją mamę. Proszę bardzo, możesz sobie poszukać innej panny młodej. - Mimo wściekłości pamiętała o tym, by ściszyć głos, bo nie chciała, żeby usłyszała ją służba.

- Usiądź, Zano, proszę cię. - A gdy usiadła, delikatnie pogładził ją po policzku. - Dobrze się nad tym zastanów! Tyle możesz chyba dla mnie zrobić... Nie odrzucaj mnie, zanim tego dokładnie nie przemyślisz.

- Nie ma nad czym myśleć. To jest absurdalny pomysł. Ty mnie nie kochasz. A ja... ja też ciebie nie kocham. - Opuściła głowę, jakby ze wstydu, i wbiła wzrok w serwetkę, którą nerwowo skrecała w palcach.

Ujął ją łagodnie pod podbródek i skłonił do uniesienia głowy.

- Nie kochasz mnie? - spytał.

Potrząsnęła głową, starając się uwolnić od jego dłoni i równocześnie zaprzeczyć temu, co imputowały jego słowa.

- Nie zaprzeczaj! Dobrze wiesz, że mnie kochasz, a poza tym... już ci to powiedziałem wcześniej: czujemy do siebie nieprzeparty pociąg.

- Nie w tym rzecz: sam pociąg fizyczny nie wystarcza, a małżeństwa chcesz tylko po to, żeby zadowolić naszych rodziców...

- To absurd! Wspomniałem o namiętności, ale łączy nas także miłość. Jesteś we mnie zakochana, Zano, a ja kocham ciebie i niezależnie od tego, co powiesz, taka jest prawda.

- Przecież ty nie wierzysz w miłość. Nazwałaś ją kiedyś społeczną bolączką, rodzajem choroby...

- I chyba miałem rację, bo okazała się bardzo zaraźliwa.

Wstał i podniósł ją z fotela. Zanim zdążyła zaprotestować, zaczął ją całować, co ją zawsze pozbawiało zdolności logicznego rozumowania. Tym razem jednak przeliczył się: potrafiła przewyciężyć słabość i odsunęła go od siebie.

- Proszę, pozwól mi odejść. Nie umiem myśleć, gdy mnie całujesz.

- A czy to samo już o czymś nie świadczy? A zresztą po co masz myśleć?

- Jedno z nas musi... - Nie mogła dłużej patrzeć mu w oczy. Uciekła do kuchni, nie zważając na jego okrzyk:

- Zano, poczekaj!

Pobiegła w stronę schodów. Zamierzała uciec do swojej sypialni, ale się zreflektowała rozumiejąc, że Brian szybko ją tam znajdzie. Czuła, że musi odejść od niego gdzieś dalej, gdzieś, gdzie będzie mogła spokojnie zebrać myśli i zastanowić się, co robić. Złapała torebkę, leżącą na toalecie, i wybiegła przez frontowe drzwi na dwór.

Wsiadła do samochodu i przez chwilę siedziała za kierownicą bez ruchu, nie włączając silnika. Zastanawiała się, dokąd ma jechać, ale że była już prawie dziewiąta, więc dużego wyboru nie miała. Wyjechała na szosę i gnała przed siebie bez celu.

Może powinnam udać się do studia? - pomyślała. Nie, tam Brian mógłby bez trudu za nią pojechać. Do Russella i Caroline - też nie. Za nic nie chciałyby teraz odpowiadać na ich pytania, a to ją czeka, gdy tylko znajdzie się na progu ich domu. Kawiarnia również nie wchodziła w rachubę. Przecież nie mogłyby siedzieć

w lokalu do rana. W końcu musiałyby wrócić do rezydencji i do Briana, a tego chciała uniknąć.

Nie kierowała nią w tym momencie potrzeba serca zakochanej kobiety. Czuła się jak mała dziewczynka, tęskniąca za matką, która by jej dała poczucie bezpieczeństwa, pocieszyła i doradziła, co robić. Ale przecież nie miała matki... Zdecydowała się więc na drugie, najlepsze w tej sytuacji, wyjście: na odwiedzenie ciotki Cii. Na pewno zdąży jeszcze przed północą dojechać do Nowego Orleanu.

Każdy inny skrzyczałby Zanę za wizytę o tak późnej porze, ale nie Cii. Gdy Zana zadzwoniła do niej z drogi, korzystając z przygodnej budki telefonicznej przy szosie, usłyszała w odpowiedzi, że będzie mile widziana. Dobrze, że mimo podniecenia miała jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, żeby zawiadomić ciotkę o planowanym przyjeździe. Nie na miejscu byłoby dobijać się do drzwi ciotki w środku nocy, nie uprzedziwszy jej wcześniej o wizycie.

Gdzieś w połowie drogi do Nowego Orleanu Zana zaczęła się uspokajać. Potrafiła już myśleć bardziej racjonalnie i mogła krytycznie odnieść się do swej dziecinnej chęci ucieczki. Brian zaproponował jej małżeństwo, którego przecież pragnęła, czemu więc zareagowała tak, jakby zagroził jej dożywotnią niewolą.

Pewnie oczekiwał, że padnie mu w ramiona, a nie że od niego ucieknie. Chyba się teraz o nią martwi... Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Powinna była od razu powiedzieć „tak”. Przecież Brian miał rację. Od dawna już go kochała, nawet jeśli z początku nie umiała nazwać tego uczucia po imieniu, nie zdawała sobie sprawy, że to miłość. Ale czy miłość to wszystko? Czy wystarczy, że go kocha, skoro uczuciu temu towarzyszy tyle zastrzeżeń i wątpliwości?

Przede wszystkim nie była pewna, jak się ułoży jej przyszła praca zawodowa. Nie chciałyby na dobre zrezygnować z tańca. Czy Brian zgodzi się, by kontynuowała pracę?

Ale nie to stanowiło najpoważniejszy dla niej problem. Niepokoiła się o najbliższych, o swoją wielopokoleniową rodzinę. Brian powiedział, że ją kocha i to by zupełnie wystarczyło, gdyby chodziło tylko o nich dwoje. Musiała jednak myśleć także o Russellu i Caroline. Co by się z nimi stało, gdyby na przykład Brian pewnego dnia z nią zerwał? Jak by to wpłynęło na małżeństwo ich rodziców?

Cóż więc ma robić? Może ciotka pomoże jej znaleźć odpowiedź na dręczące ją pytania. Szczęśliwie udało jej się zaparkować tuż przed dobrze oświetloną kamienicą, w której mieszkała Cil

Siedziały przy kuchennym stole, piły herbatę z rumianku i słuchały cichego mruczenia kota. Brian zadzwonił do Cil, zanim jeszcze Zana do niej dotarła. „Szalał ze strachu o ciebie” - wyznała ciotka.

- Nie mogę ci powiedzieć, jak masz postąpić, kochanie. Taką decyzję każdy musi podjąć sam. Ja nie miałam z tym żadnych trudności, gdy chodziło o małżeństwo z Justinem. Kochaliśmy się i wszyscy nasi bliscy popierali ten związek. Żałowałam tylko, że twój ojciec opuścił już nasze strony i nie był na moim weselu. Ale szybko straciłam męża. Przez kilka pierwszych lat po tej stracie myślałam, że oszaleję z bólu. No cóż? Mogę ci tylko tyle powiedzieć, że chętnie jeszcze raz naraziłabym się na te wszystkie cierpienia, bylebym mogła choć jedną godzinę spędzić z Justinem. - Głaskała Zanę po rękę, ale jej oczy były nieobecne. Myślami była przy ukochanym mężu. - Niestety, miłość nie daje gwarancji szczęścia. Chyba o tym wiesz. Może dlatego, że straciłaś matkę, boisz się znowu pokochać?

- Cil! Przecież ja go kocham...

- A więc masz już odpowiedź, na jaką czekałaś.

- Uśmiechnęła się do Zany.

Zana odpowiedziała jej uśmiechem i od razu minęła całą niepewność. Już się nie wahała. Doskonale wiedziała, co ma robić.

Droga powrotna do Natchez okropnie jej się dłużyła, jakby musiała pokonać nie trzysta, a trzy tysiące kilometrów. Wciąż patrzyła na szybkościomierz i za każdym razem zauważała, że jedzie za szybko. Zbliżał się świt, a ona tej nocy nawet nie zmrużyła oka. Teraz nie grało to już roli. Najważniejsze, by wróciła jak najszybciej do Briana.

Rezydencja wydawała się głęboko uspiona, gdy Zana otworzyła frontowe drzwi i weszła do środka. Najpierw sprawdziła, czy Briana nie ma na dole, a potem pobiegła do jego pokoju i zapukała. Odgłosy, jakie usłyszała z drugiej strony drzwi, świadczyły, że Brian pędzi, by je otworzyć. Wreszcie zobaczyła go: stał w otwartych drzwiach rozczochrany, nie ogolony, bez koszuli i w tych samych dżinsach, które nosił poprzedniego wieczoru, ale jej wydał się cudowny.

Brian! wołała już z daleka. Zgadza się! Chcę wyjść za ciebie! I rzuciła się w jego ramiona.

- Wiedziałam, że tak będzie - zwierzała im się Lucille, udając, że dopiero dziś usłyszała tę nowinę.

- Wiedziałam od dnia, gdy zjawiliście się na moim progu, szukając Russella i Caroline. Tak, naprawdę już wtedy wiedziałam... Oczywiście trochę nas wszystkich przestraszyliście tym wspólnym mieszkaniem...

- Objęła Zanę, potem Briana i tak wylewnie ich ścisnęła, że omal nie zadusiła. - To będzie wydarzenie sezonu... Zamiast planowanego balu, urządzimy wesele. Co za szczęście, że jeszcze nie zamówiliśmy zaproszeń. Weźmiecie ślub w rezydencji, tak jak nasi rodzice.

Cil odstawiła koszyk z Sidem na podłogę i zdjęła kapelusz bogato ozdobiony kolorowymi piórami.

Zgromadzili się wszyscy w holu i tu właśnie Zana i Brian uroczyście powiadomili rodziców i Cil o swoich zaręczynach.

Russell objął córkę i ścisnął rękę Brianowi. Wyglądał na bardzo szczęśliwego. Także Lucille promieniała

radością. Jeszcze bardziej uszczęśliwiona, jeśli to w ogóle było możliwe, była Caroline.

- Musimy to uczcić - zawołała. - Czy mamy szampana? - Objęła Zanę i poprowadziła wszystkich do kuchni. - Nie mogłabym być szczęśliwsza, kochanie - zapewniała po drodze przyszłą synową. - Jesteś najwłaściwszą towarzyszką życia dla Briana. Tak się cieszę...

Rozsiedli się w piątkę w kuchni, pociągali musujące wino i razem przygotowywali kolację. Brian dał Maudie wychodne na to popołudnie, ale przed wyjściem zdążyła jeszcze nakryć stół w jadalni i wstawić do piecyka ziemniaki owinięte w folię, gotowe do pieczenia. Brian i Russell wyszli na podwórze i zajęli się przygotowaniem grilla w patio. Do nich należało upieczenie na grillu wołowych filetów i przyrządzenie krewetek. Panie kroїły jarzyny na sałatkę, nacierały chleb czosnkowym masłem i cały czas rozprawiły o weselu.

Zana nie mogła się nadziwić, że nie czuje się w tej bardzo szczególnej sytuacji ani trochę speszona. Przeciwnie - była podniecona i pełna animuszu. Perspektywa bliskiego ślubu odurzała ją jak zapach kwiatu pomarańczy. Poddała się całkowicie temu odurzeniu, radości i obmyślaniu planów na przyszłość. To było cudowne...

Być może miała staroświeckie upodobania, ale miło jej było przebywać w kuchni z ciotką i macochą i nawet obserwowanie panów, uwijających się przy grillu, sprawiało jej przyjemność.

Rodzina... To przez nią miała opory, gdy trzeba było podjąć decyzję o wyjeździe do Londynu. Bardzo by jej brakowało ojca i ciotki Cii, gdyby wyjechała z Natchez. I chociaż jeszcze niezupełnie przyzwyczała się do małżeńskiego stanu Russella, wiedziała na pewno, że brakowałoby jej także Caroline.

Teraz, gdy Russell nauczył się tolerować Briana, a Brian zaakceptował małżeństwo swojej matki, stali się prawdziwą rodziną. Za nic nie chciałaby jej utracić.

Gdy towarzystwo zasiadło do stołu i podano kolację, Zana usiłowała sobie wyobrazić, jak będzie jej rodzinne życie wyglądało za jakieś pięć lat. Pewnie będzie już wtedy dziecko - myślała - może dwoje? Odruchowo pogładziła się po brzuchu. Kto wie, może na jesieni będzie już w ciąży. Zaczerwieniła się na samą myśl o tym, zwłaszcza że Brian siedział tuż obok niej. Wyciągnął cło niej rękę i wziął jej dłoń w swoją. Czyżby czytał w jej myślach?

- Wywrócę cały strych do góry nogami, ale muszę ją znaleźć - zaklinała się Cii. - Jakie by to było romantyczne, gdyby Zana nosiła tę samą suknię, którą miała na sobie w dniu ślubu nasza mama, tę, którą widzieliśmy na zdjęciu. W rodzinie Zacharych latami przechowywało się wszystkie rzeczy, więc jeśli nie zniszczyły jej myszy lub mole, być może Zana będzie mogła ją włożyć.

- Przypuszczam, że suknię schowano w cedrowym kufrze - wtrącił się Russell.

- A ja w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ją trzymano - stwierdziła Cil. - Byłam o wiele wyższa od mamy, nie było więc mowy o tym, żebym ją włożyła, gdy sama wychodziłam za mąż. Potem po bankructwie... - głos jej się załamał. To był smutny okres w życiu Cil. Zana teraz pojęła, jak ważne było dla ciotki i dla jej ojca odzyskanie ich starej posiadłości, i jak się cieszą, że pałac pozostanie w rodzinie i służyć będzie nadal potomkom rodu Zacharych. Wychodząc za mąż za Briana, uszczęśliwiła nie tylko siebie, ale całą rodzinę.

A co czuł Brian? Wydawał się szczęśliwy. Trzymał Zanę za rękę i kciukiem pieścił środek jej dłoni. Nie była pewna, czy Brian myśli teraz o ślubie, czy - co bardziej prawdopodobne - o nocy poślubnej.

Cil przyglądała im się z boku i widząc, że wymieniają uśmiechy, ostro im przygadała:

- Przestańcie robić do siebie cielące oczy! - mówiła udając srogą. - Teraz trzeba powziąć decyzję co do daty

ślubu. Co powiecie na późny wrzesień? Ogród będzie jeszcze w kwiatach i pewnie po przejściu letnich upałów znowu zakwitną róże. Ołtarz ustawimy w patio... No, i trzeba rozesłać zaproszenia...

Prrr...! Zaczekaj! - przerwał jej Brian. - Zgadzam się z tym, co powiedziałaś, ale ostateczna decyzja należy oczywiście do Zany. Moim zdaniem, wesele powinno być skromne. Przecież nie znamy w Natchez dużo ludzi. Mam rację? - Spojrzał na Zanę, jakby szukając u niej potwierdzenia. Potaknęła ruchem głowy, a on mówił dalej: - Chciałbym zaprosić wszystkich moich pracowników. Jest ich niewielu i jesteśmy bardzo zżyci. Większość z nich już się w tym czasie przeniesie do Natchez na stałe, inni dojadą, to niedaleko. Poza tym, oczywiście, będzie cała nasza rodzina i goście, których zechce zaprosić Zana. Nie chcę jednak zaprosić zbyt wielu ludzi.

Zana ucieszyła się, że Brian zahamował ciotkę w jej zapędach. Gdyby zostawić Cii wolną rękę, zaprosiłaby połowę miasta, a z weselem, nawet skromnym, i tak będzie dużo roboty. W żadnym wypadku nie zamierzała robić śpędu.

Inna rzecz, że Lucille miała tu wielu starych przyjaciół. Byli wśród nich i tacy, których znała od dziecka. Co innego Russell. Po powrocie do rodzinnego miasta raczej stronił od towarzystwa, a potem był zbyt zajęty Caroline, żeby zawierać nowe przyjaźnie lub odświeżać stare.

Zana nie znała tu prawie nikogo. Mogła na palcach policzyć mieszkańców Natchez, którzy należeli do grona jej znajomych. Był wśród nich Jeff, jego personel i kilkoro ludzi, pracujących w pobliżu jej studia. Zaliczała tu także panie, które przychodziły na lekcje aerobiku, matki jej młodszych uczennic i kilka innych osób. To wszystko!

Była daleka od tego, żeby pozbawiać Cil i Caroline okazji do dobrej zabawy na swoim weselu, ale też w żadnym razie nie godziła się na to, by miała spędzić

ten najważniejszy dzień w swoim życiu w domu pełnym obcych ludzi.

Po skończonej kolacji wszyscy pomagali sprzątać ze stołu, a potem jeszcze długo spacerowali po ogrodzie. W końcu Russell spojrzął na zegarek i obwieścił, że robi się późno.

- Ach, jakie to wszystko romantyczne. . - westchnęła zegnając się Cii. Ucałowała Zanę, uściskała Briana i razem z Russellem i Caroline opuściła rezydencję. Zana patrzyła na światła oddalającego się samochodu, póki nie zniknęły jej z oczu.

- Na pewno myślą, że jesteśmy już na górze w sypialni - zażartowała.

- To świetny pomysł - podchwycił jej słowa Brian i objął ją ramieniem.

- Nie, nie sędzę.

- Większość przyszłych małżonków otrzymuje chociaż całusa na dobranoc.

Wolałabym, żebyśmy nasze zachowali na potem. Zaczekajmy aż... - i nie dokończyła, bojąc się, jak zareaguje na to Brian.

Zamyślił się i dopiero po dłuższej chwili powiedział.

- Czekamy na noc poślubną? Proszę bardzo, jeśli tego właśnie chcesz. Ale niełatwo mi będzie czekać. Wiesz najlepiej, że nigdy nie byłem zbyt cierpliwy...

- Uśmiechnął się do niej, a ona spuściła głowę, by ukryć rumieniec. - A niech to! - zawołał nagle. - Chcę cię całować, chcę czuć twoje wargi na mych ustach. Pragnę mieć cię blisko przy sobie.

Przysunął się tak, że poczuła ciepło jego oddechu na policzkach. Objął obiema rękami jej twarz i przechylił ku sobie. Gdy ich usta się spotkały, przygarnął ją mocniej do siebie i całował z początku delikatnie, a potem coraz gwałtowniej. Zana zarzuciła mu ramiona na szyję, a jego ręce wędrowały po jej ciele, głaszcząc je i pieszcząc.

- Czy byli jacyś inni mężczyźni w twoim życiu, Zano?

Przestał ją całować, a ona, poruszona tym pytaniem, położyła głowę we wgłębieniu jego ramienia i zastanawiała się, co ma mu odpowiedzieć. Nie chciała się zwierzać. On miał za sobą bogatą szkołę życia, ona nie. Była wprawdzie osobą bywałą w świecie, ale jeśli chodzi o korzystanie z jego uciech, nie miała żadnych doświadczeń. Większość swego czasu i energii poświęciła pasji tańca. Zanim poznała Briana, skutecznie opierała się wszelkim próbom uwiedzenia jej. Nie wiedziała, czy czyni to dlatego, że jest zbyt mocno zaangażowana w taniec, czy dlatego, że żadnego mężczyzny dotąd nie kochała. Brian był pierwszym.

- Nie odpowiadaj na pytanie, które ci zadałem. Nie miałem prawa o to pytać. A poza tym myślę, że i tak znam odpowiedź - dodał po namyśle. - Nie wiem, dlaczego właśnie ja zdobyłem twoje serce, ale powiem ci, dlaczego pragnę cię poślubić. Dlatego, że cię kocham i pożądam. Pragnąłem kochać się z tobą od dnia, w którym się poznaliśmy. Marzyłem o tym, by zanurzyć ręce w twoich włosach...

Mówiąc to rozwiązał przepaskę, którą przytrzymywała włosy, a gdy kaskada bujnych czarnych loków spłynęła jej na ramiona, gładził je i rozczesywał palcami.

- Nie myślałem - rzekł, uśmiechając się do niej czule - że perspektywa nocy poślubnej z dziewczyną, która nigdy nie była z mężczyzną, może być aż tak bardzo pociągająca, i chociaż jestem wielce niecierpliwy, potrafię wytrwać. Tylko proszę cię, powiedz mamie i Lucille, żeby się energicznie wzięły za przygotowania do ślubu, bo nie mogę czekać zbyt długo...

Prawie cały następny miesiąc Brian spędził w Memphis, doglądając przeniesienia swojej firmy do Natchez. Co wieczór dzwonił do Zany, a w każdy weekend przyjeżdżał, choćby na jeden dzień. Na dowód, że o niej myśli, posyłał jej kwiaty. Czasem były to róże, innym razem kolorowe bukiety z goździków, cynii i irysów.

Jeszcze pół roku temu Zana nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić, że może być aż tak szczęśliwa. Spotkała swoje przeznaczenie. Przez całe życie słuchała opowiadań ojca o jego rodowej siedzibie. Teraz czuła, że ona sama stała się nieodłączną częścią Natchez i rezydencji Zacharych. Pamiętała jedno z często powtarzanych powiedzeń swojej matki, że „tam, na górze, są księgi, w których są losy nasze zapisane...” Czy to, co ją spotkało, też było gdzieś na górze zapisane?

Uświadomiła sobie naraz, że historia jej życia mogłaby z powodzeniem posłużyć jako baletowe libretto. Jakże często - wspominała - zdarzało jej się wyrażać tańcem rozmaite miłosne uniesienia. Udana interpretacja tych przeżyć nie opierała się bynajmniej na jej osobistym doświadczeniu. Była wyłącznie zasługą jej talentu. W rzeczywistości nigdy nie była w stanie zrozumieć ani pożądania, ani radości, jaką daje miłość do mężczyzny. Zrozumiała to dopiero teraz, dzięki Brianowi.

Nawet opatrność zdawała się sprzyjać ich związkowi. W dzień po ogłoszeniu zaręczyn Prezydium Międzynarodowych Konkursów Baletowych zaproponowało Zanie pracę w ich oddziale w Missisipi, a także członkostwo w Komitecie organizacyjnym następnego konkursu w Jackson. Otrzymała również zaproszenie do udziału w konkursach, które odbywają się poza Stanami Zjednoczonymi. Widoki na ponowne odwiedzenie Warny, Helsinek i Moskwy ogromnie Zanę uradowały. W ten sposób będzie mogła utrzymywać stały związek z pracą, którą uwielbiała i którą stawiała na drugim miejscu, tuż po tańcu.

Brian nie miał nic przeciw temu, żeby jego żona podróżowała po świecie. Zapowiedział nawet, że chętnie będzie jej czasem towarzyszył w wyjazdach. Radził też Zanie, żeby zatrzymała studio w Natchez. Choć praca przy organizowaniu konkursów baletowych zapowiadała się bardzo atrakcyjnie, Zana nie miała

zamiaru zrezygnować ze swojej szkoły tańca. Przekonała się, że bardzo lubi uczyć dzieci tańczyć.

Czekała ją jeszcze przykry obowiązek powiadomienia Kurta, że rezygnuje z pracy w Londynie. Zadzwoiła do niego i w czasie rozmowy wyszło na jaw, że w rzeczywistości nie było w jego zespole żadnego wakat. Miejsce, o którym mówił, zamierzał - trochę na siłę - stworzyć specjalnie dla niej.

Jakie to szczęście - myślała - że znowu otwierają się przede mną szerokie perspektywy, że świat międzynarodowego baletu nadal pozostanie moim światem... Tyle że braw i owacji już w jej życiu nie będzie i z tym się musi pogodzić. Coś za coś - poświęciła lata pracy na scenie, pełne oddanie sztuce i aplauz, a w zamian otrzymała możliwość wychowywania młodych adeptów baletu i... męża. Wybór należał do niej i wcale nie był trudny.

Szybko mijał czas, dzielący ich od dnia ślubu i w końcu nadeszło owo wrześnie popołudnie, na które oboje tak niecierpliwie czekali.

Zana stała w swojej sypialni przed wysokim lustrem, odbijającym całą jej postać, i co chwila patrzyła z niepokojem przez okno na groźne, burzowe chmury, które gromadziły się na niebie. Z daleka widać już było zygzaki błyskawic.

Nigdy nie była przesądna, ale tym razem zaniepokoiła się pochmurnym niebem. Przez cały tydzień ciotka Cii w kółko powtarzała, jakie to szczęście przynosi pannie młodej, gdy w dniu jej ślubu świeci słońce. Tymczasem od wczoraj słońce w ogóle się nie pokazało. Czyżby to był zły omen?

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi. Za chwilę do pokoju weszła ciotka, a za nią kocur Sid, który na dzisiejszą okazję zamiast obróżki dostał piękną kokardę.

- Pomóc ci? - spytała Cil.

- Będę ci bardzo wdzięczna. Pora włożyć suknię i przydałaby się jeszcze jedna para rąk... O mój Boże!

- zawołała nagle z przestraczem i wskazała głową na gałąź, która, pchnięta silnym podmuchem wiatru, uderzyła o szybę. - I co powiesz, ciociu, na tę pogodę? Mówiłaś, że słońce w dniu ślubu przynosi szczęście...

Zana widać nie doceniała ciotki, jeśli sądziła, że cokolwiek może ją zbić z pantałyku.

- Ach, to? - rzuciła lekceważącym tonem, jakby chodziło o błahostkę. Tymczasem z powodu złej pogody trzeba było przenieść z ogrodu do salonu sto składanych krzeseł razem ze stołami, ołtarzem, kwiatami i dwoma kandelabrami. Pawilon, który miał służyć za salę jadalną, musiano rozebrać, a bufet ustawić w sali balowej. - Nie ma się co martwić - dodała Cil. - Po prostu historia się powtarza. - I zaraz zaczęła ze szczegółami opowiadać o małżeństwie swoich rodziców. Tego dnia, gdy moi rodzice brali ślub, także padało, a przecież przeżyli ze sobą dwadzieścia wspaniałych lat, póki nie zmarła mama. Ojciec miał, być może, dyktatorskie zapędy, ale żonę ubóstwiał. Do samej śmierci trzymał w swojej sypialni portret mamy i patrzył na nią co rano, gdy wstawał z łóżka, i co wieczór przed zaśnięciem. Czasem marzę - westchnęła Cil - by spotkać jeszcze w życiu kogoś tak sobie oddanego, kogoś, kogo mogłabym kochać. - Uśmiechnęła się smutno. - Zano, kochanie, nie zwracaj na mnie uwagi. Na weselach zawsze robię się sentymentalna.

Wkładając przy pomocy ciotki ślubną suknię, Zana zastanawiała się, co mogłaby dla Cil uczynić. Wzruszoną jej słowami, postanowiła, że ją wyswata. Zacznie od celnego rzutu ślubnym bukietem, a potem dowie się, czy Brian nie zna czasem jakichś panów, nadających się na męża dla ciotki.

Zadowolona z powziętej decyzji, spojrzała z aprobatą na swoje odbicie w lustrze. Jej suknia była repliką ślubnej sukni babki, umiejętnie skopiowanej przez tutejszą krawcową. Włosy skręciła z tyłu głowy w koczek, spod którego spływała kaskada loków, przeplecionych wstążkami z koronki. Nie miała welonu. Jediną biżuterią,

poza pierścionkiem zaręczynowym, jaką na tę okazję włożyła, był sznur pereł z odpowiednimi kolczykami: prezent od Briana, który doręczono jej dziś rano.

Lucille cofnęła się o krok, żeby móc lepiej ocenić wygląd bratanicy.

- O Boże! - zawołała. - Zupełnie jakbym zobaczyła mamę, gdy była młoda. - Wyciągnęła chusteczkę spod stanika liliowej jedwabnej sukni i wytarła oczy. Zapomniała jednak, że ma przyczernione rzęsy i ciemną smugą tuszu zaplamiła oba policzki. Grzebała przez chwilę w swojej przepastnej torbie, szukając kosmetyczki. Wreszcie znalazła ją. Poprawiła makijaż i kapelusz, żeby lepiej siedział na głowie. Był to nowy, liliowy turban, dopasowany kolorem do sukni. Jak na Cii, jej strój był wyjątkowo skromny. - Gdzie też się podziewa mój szanowny brat? - niecierpliwiła się, bo zegar w holu właśnie wybił drugą.

Zana znała tak niewiele dziewczyn w tym mieście, że z konieczności poprosiła swoje małe uczennice ze szkoły baletowej, by zostały jej druhnami. W Europie często spotyka się dzieci w orszaku panny młodej. Zana, choć wywodziła się z Natchez, była widać bardziej europejska niż amerykańska. Druhny, ubrane na biało, jak ona, miały jednak sukienki przewiązane kolorowymi szarfami w pastelowych odcieniach.

W drzwiach ukazała się głowa Russella.

- Już czas! - zawołał uśmiechając się i otworzył drzwi na oścież. Rozległy się dźwięki sonaty, wykonywanej przez kwartet skrzypcowy. Cil ucałowała bratanicę i poszła wyprowadzić druhny.

Przechodząc wzdłuż szpaleru gości, Zana patrzyła na ołtarz, przed którym czekał na nią Brian, i nie miała cienia wątpliwości, że to jedyny mężczyzna, jakiego kocha i zawsze będzie kochała.

Wszystko było bez zarzutu: oprawa muzyczna, dekoracja i przebieg uroczystości, wszystko... z wyjątkiem pogody. Ceremonii ślubnej cały czas towarzyszyło

dudnienie grzmotów, dochodzące z groźnie wyglądającego nieba.

Gdy młodzi składali małżeńską przysięgę, na horyzoncie ukazał się zygzak błyskawicy i zaraz potem dał się słyszeć potężny grzmot. Zana zatrzymała się w połowie zdania, odczekała kilka sekund, po czym jeszcze raz powtórzyła słowa przysięgi. Dalsza część ślubu przeszła już bez zakłóceń ze strony żywiołów.

Na koniec Brian wziął ją w ramiona.

- Kocham cię - szepnął - i coraz bardziej podniecają mnie te pioruny. Najprzyjemniejsze rzeczy zdarzają mi się zawsze, gdy pada deszcz. Padało, gdy cię spotkałem i pada teraz, gdy cię poślubiam. Mam nadzieję, że będzie łało całą noc. - Musnął jej wargi w krótkim pocałunku, zapowiadającym czułości, które miały nastąpić później. Teraz była pora na gratulacje od rodziny i przyjaciół.

Zana czuła się cudownie. Wiedziała z absolutną pewnością, że wyszła za mąż za Briana z jednego tylko, ale bardzo ważnego powodu: z miłości!